

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.

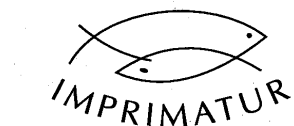


Krzysztof Wójcicki

# Bajki i baśnie gdyńskie

Ilustracje: Ola Prusinowska

WYDAWNICTWO



Gdynia 2000

Wszystkim Dzieciom,  
które wezmą do rąk tę książkę -  
z życzeniami szczęścia,  
w nowym wieku i nowym tysiącleciu

autor

# OKSYWIE



ysunięta w morze głowa oksywska spowita była tumanem mgły.

„Głowa oksywska”, jakże trafną nazwę wybrał ktoś, kto pierwszy raz dostrzegł to miejsce z morza. Od strony lądu nie zdobyłby się na takie spostrzeżenie.

Może był to któryś z dzikich wikingów, morskich rozbójników, przybywających długimi łodziami z dalekiej północy, może któryś z zapalczywych Normanów, Jutów, Danów, czy Waregów, którzy organizowali łupieżcze wyprawy na południowe wybrzeża nadbałtyckich krain?

Oksywska głowa wynurzała się dumnie z morskiej topieli, gdyż w czasach, o których chcę wam opowiedzieć, a było to naprawdę bardzo, bardzo dawno temu, Oksywie było wyspą. Mogło więc, od strony morza, rzeczywiście wyglądać jak głowa. Ale czyja? Wszak głowa głowie nie równa.

Wysłuchując się w pradawną nazwę „Oksywie”, łatwo spostrzec, że brzmi ona dość obco. Nic dziwnego, gdyż jest właśnie echem skandynawskiej mowy. A w języku ludów północy oznacza głowę byka.

- Jakiego byka? – zapytacie.

Może tego, który wyszedł z morza na brzeg greckiej wyspy Kreta i został przez króla Minosa złożony w ofierze Posejdonowi, władcy mórz?

A może w oksywskiej wyspie dostrzeżono głowę byka, w którego przemienił się Zeus, zakochany w Europie, córce Feniksa, by ją porwać? A kiedy urodziła mu dzieci, wszechwładny Zeus uczynił z Byka gwiazdozbiór na firmamencie niebieskim. Do dziś jest jednym z dwunastu znaków Zodiaku. A na niebie możecie dostrzec tę konstelację, w czasie rozgwieżdżonych jesiennych i zimowych nocy, także nad Oksywiem.

Najprawdopodobniej jednak, była to głowa stolema, olbrzyma z kaszubskiej krainy, potężnego i silnego, jak byk.

Gdy spał i spokojnie posapywał przez sen, drzewa na całej wyspie słaniały się od jego podmuchu, oddając pokłon morzu. Ale gdy stolem zaczynał chrapać, zrywał się sztorm i rozwścieczone fale uderzały z każdej strony wyspy.

Skandynawowie, którzy napadali na białe brzegi pomorskiej krainy, nie wiedzieli nic o stolemach. Ba, gdyby znali moc kaszubskich olbrzymów, nie

odważyliby się podpływać swoimi długimi łodziami, by napadać, grabić i palić kaszubskie osady.

Stolemy, olbrzymy obdarzone niezwykłą siłą, miały postać ludzką. Wysokość ich ciała trudno było objąć ludzkim okiem, gdyż w lesie głowy ich wystawały ponad czubki najwyższych sosen, a z wód zatoki, wynurzały się ponad fale.

Łatwo im było wyrwać drzewa z korzeniami, jakby to były polne kwiatki, bez trudu też mogli przenieść górę z miejsca na miejsce, jak worek kartofli. Cenny torf wydobywany z bagien i mokradeł, wykorzystywany na Kaszubach jako opał, pochodzi właśnie z tych wyrwanych drzew.

Stolem mógł nawet zdjąć chmurę z nieba i wycisnąć z niej deszcz, gdy pola były suche. Lecz tam, gdzie stanął i zostawił ślad swej potężnej, bosej stopy, nic już nie wyrosło. Dlatego też tak marna i nieurodzajna jest ziemia na Kaszubach, gdyż ją zdeptały wielkie stopy stolemów.

Miały stolemy swoje rodziny. Żyły więc także stolemki i ich, chciałyby się powiedzieć, małe stolemiątka, które z kolei wyrastały na prawdziwych olbrzymów.

Ulubioną ich zabawą było rzucanie potężnymi głazami. Kto dalej, kto wyżej, na pole, do morza...

A jeśli głaz był zbyt ciężki dla stolemka, prosił on swego tatę, by pięścią rozbił kamień na mniejsze kawałki.

Swoją nadzwyczajną siłę zawdzięczali temu, że jedli końskie mięso i pili kobyle mleko.

Rybacy spod Oksywiu do dziś uważają, że wszystkie mielizny w zatoce powstały dzięki stolemom. Półwyspy natomiast, tak na morzu, jak i na jeziorach, są dziełem stolemek. One to bowiem, chcąc usypać swym dzieciom drogę przez jezioro, czy przez morze, nabierały piachu do swych wielkich fartuchów i tak, idąc przez wodę, budowały drogę, sypiąc piasek pełnymi garściami. Aż tu nagle fartuch od ciężaru piasku urwał się i nie całą drogę na drugi brzeg, ale kawałek tylko udało im się usypać.

W ten sposób nie tylko powstał helski półwysep, ale również półwyspy na jeziorze Osowskim, Sudomiu, Gołuniu, czy na Wdzydzech.

Stolemy na ogół unikały ludzi i tylko w wyjątkowych okolicznościach zbliżały się do ludzkich siedzib. Trzeba powiedzieć, że ludzie bali się olbrzymów, które więcej czyniły szkody, niż pożytku. Nie szkodziły naumyślnie. Nie były złośliwe, czy zawistne, ale gdy tylko pojawiały się w wiosce, zamykano czym prędzej okna i drzwi chałup, ściągano suszące się na palach sieci, by ich przypadkiem nie porozrywały, a wiosła ukrywano w zaroślach, żeby ich przez nieuwagę nie połamały. Najbardziej jednak obawiano się o rybackie łodzie, gdyż stolemy chętnie wkładały w nie, swe potężne bose stopy, po czym odchodziły w drewnianych butach. Więc ten, kto zdążył zakopać swe łodzie w ziemi, by nie posłużyły stolemom za drewniaki, mógł uważać się za szczęśliwca.

Kiedy wiosną przechodziły obok kwitnących sadów, jednym oddechem strącały z drzew kwiaty. Jesienią z kolei, od ich dudniących kroków, spadały z drzew owoce.

Ród stolemów z czasem wymarł doszczętnie. Wiele z nich zginęło w walce ze smokami, zwłaszcza siedmiogłowymi, ziejącymi prawdziwym ogniem, których pełno było w owych czasach na Kaszubach.

Nie wszyscy wiedzą, że to właśnie stolemom zawdzięczamy ukształtowanie terenu. Pagórki i wzniesienia, wyspy i półwyspy, głazy i potężne kamienie, to dzieło ich silnych i potężnych rąk.

Zdarzyło się w pewnej rodzinie, że stary stolem postanowił wydać za mąż swą jedyną córkę, Ewę. Olbrzymką była nadzwyczaj okazałą. Nosiła długie, jak len białe włosy i uchodziła za najpiękniejszą stolemkę na całej oksywskiej wyspie. Nie odda jej przecież byle komu. Kandydat na męża Ewy musiał wykazać się po pierwsze siłą równie wielką, a dobrze byłoby, aby jeszcze większą niż narzeczone, po drugie sprytem, a po trzecie posłuszeństwem. No, bo cóż to za mąż, który nie jest mężem posłusznym? Żaden z takiego pożytek.

Stolemka Ewa każdy okręt przepływający po wodach zatoki mogła wziąć na ramię, ale męża wybrać sobie nie mogła. Tylko ten mógł zamienić z nią pierścionek, kto głaz rzuci dalej niż ona.

Jako pierwszy kandydat do ręki Ewy stawił się na oksywskiej wyspie młody Denga z Oksywskich Piasków. Chudy był i mizernie wyglądał.

Młody rybak nie raz widział od wschodniej strony, wybierając z sieci szproty, śledzie i pomuchle, jak zabawiają się stolemki, ciskając do wody wielkie głazy.

Kiedy usłyszał, że najpiękniejsza z nich, Ewa, ma zostać poślubiona temu, kto dalej rzuci głaz niż ona, postanowił spróbować swoich sił. No, bo jak to być może dziewczyna silniejsza od chłopaka? – myślał Denga. Jakże się mylił.

Udał się przeto na oksywską górę i stanął na samym szczycie.

- Kim jesteś i po co przybywasz? – usłyszał potężny głos niewidzialnej postaci, który spowodował podmuch, jak przy najtęższej wichurze.

- Jestem Denga, z Oksywskich Piasków. Chcę spróbować swych sił w zmaganiach o rękę stolemki Ewy.

Nagle rozległ się gromki śmiech. Denga sądził, że to nadciąga burza z piorunami.

- Ha, ha, ha, taka mizerota ma być mężem mojej córki? Ona mogła by ciebie używać, jako spinki do włosów, albo kolczyka przy uchu. Ha, ha, ha!

Ale ponieważ każdy, kto się tylko odważy, może zmierzyć się z jej siłą, więc i ty spróbuj. Widać, że odwagi ci nie brakuje, zuchwalcze.

Poczuł, jak ziemia zaczęła pod nim drżeć. Zbliżała się stolemka Ewa. Była rzeczywiście potężna. Denga pierwszy raz zobaczył olbrzymkę z bliska.

Ewa schyliła się nisko i ujmując Dengę w dwa swoje palce, podniosła go w górę, na wysokość swojej twarzy, by lepiej mu się przyjrzeć.

- No, cóż. Podobasz mi się. A najbardziej urocze są twoje piegi. Ale sam już teraz chyba rozumiesz, że nasze małżeństwo nie byłoby szczęśliwe.

Ewa wypowiadała słowo po słowie, a Dendze zdawało się, że to wściekły szkwał przesuwa się nad rozszalałym morzem. Mrużył więc oczy, ledwo łapiąc oddech. Kiedy postawiła go z powrotem na ziemi, kręciło mu się w głowie, tak bardzo, że omal się nie przewrócił.

Ród ludzki i ród stolemów nie mogą mieć z sobą nic wspólnego, pomyślał Denga i nie mylił się, tym razem, w swym sądzie.

Ale sprytny diabeł innego był zdania. Kusy Purtk wymyślił podstęp. Dobrze przecież mieć taką silną, mocną i odważną żonę, która wszystkiemu poradzi, wszystkiemu podoła, a gdy zajdzie potrzeba, stanie nawet w obronie.

Umyślił chytry piekielnik, że Ewa należeć będzie do niego.

Gdy wgramolił się już na oksywską górę, gdzie mieszkała urodziwa stolemka ze swym ojcem i stanął zadyszany na szczycie, wyszła mu Ewa naprzeciw.

Z daleka poznała, że to kawał czorta. Postanowiła więc go przeciwzyć.

- Stanę z tobą w zawody, ale przed chwilą zsunął mi się pierścionek z palca i potoczył hen, tam na dół. Bądź tak dobry i przynieś mi. I diabeł, zadyszany, nie mogąc złapać oddechu, chcąc nie chcąc, musiał zejść z góry na dół. Pierścienia nie znalazł, więc wstyd mu było z pustymi rękami wracać, a poza tym i tak nie miałby już siły, gdyż go zadyszka od piekielnej smoły i siarki okrutnie męczyła.

I wtedy ojciec stolemki Ewy wpadł w srogi gniew. Zaczął ciskać ze złości potężne głazy z oksywskiej góry.

- Jak to? Nie wydam córki za męża? Mojej jedynej Ewuni? Wszczął taką burzę i sztorm, że morze cofnęło się i Oksywie przestało być wyspą. I tak jest do dziś.

Przechodził właśnie tamtędy stolem o pięknym imieniu Adam i bardzo się zdziwił, gdy spostrzegł, że Oksywie nie jest już wyspą. Kiedy szedł tu wczoraj Oksywie oblane było wodą morską dookoła.

Dowiedział się, że ojciec Ewy postanowił wydać córkę za męża, ale ponieważ kandydaci byli nieodpowiedni, bardzo się tym zdenerwował.

- Tylko z takim zamienisz pierścionek, który dalej niż ty rzuci kamieniem. Wniosek więc jest prosty. Musisz wyjść za stolema. I nie myśl już o jakimś chuderlawym słabia-ku. Niech już oni ryby łowią, niech lepiej bronują ziemię, którą my według naszej woli będziemy kształtować. My wiemy lepiej, gdzie ma być pagórek, a gdzie dolina, gdzie jakim głazem rzucić, a gdzie płaskie i proste pole zostawić.

Usłyszał te słowa olbrzym Adam, który znał Ewę od dzieciństwa.

- Czyżbyście to mnie ojczulku mieli na myśli? – spytał szczerząc w uśmiechu wielkie białe zębiska.

- A kto wie, kto wie? Musiałbyś z moją Ewunią stanąć w zawody.

- Ileż to razy rzucaliśmy w morze wielkie kamloty, dla zabawy. Śmiechu było przy tym, co nie miara. I jak sięgnę pamięcią, zawsze byłem lepszy.

- Ano, może i teraz szczęście uśmiechnie się do ciebie?

- Wolałbym, żeby uśmiechnęła się do mnie Ewa.  
- Czy to aby nie to samo? – spytał udobruchany ojciec.  
- To samo, czy nie to samo, to się dopiero okaże – odparła Ewa, nadchodząc niepostrzeżenie. Nieraz z Adamem rzucałam głazy do wody, więc teraz nieco inne zadanie przed nim postawię.

- A cóż to za koncept nowy, Ewuniu? – pytał zaniepokojony ojciec.  
- Prędeż twoją nie będę, Adasiu, aż nie przeniesiesz lasu z tego oto pagórka, w tamtą dolinę. Zasłania mi widok na morze.

- Dobrze, z miłą chęcią, odparł Adam, zacierając ręce. Już się biorę do roboty.

- Patrzcie go, jaki chętny! – zauważyła z dumą Ewa.

Stolem Adam pracował do wieczora, a następnie noc całą, aż do rana. Sosnę po sośnie, buk po buku, brzozę po brzozie, grab po grabie prznosił, w pocie czoła, własnymi rękoma, z zalesionego pagórka, do zacisznej doliny, przesadzając drzewa tak, jak ogrodnicy czynią to z kwiatami.

O poranku prznosił mech, zwijając jak dywan, a także wrzosa i paprocie, a nawet krzaki czarnych jagód i borówek, czerwonych, jak oczy jastrzębia.

- Gotowe! – krzyknął, przykładając dłonie do ust, by głos dotarł do Ewy i jej ojca.

- Szybko się uwinął – ocenił ojciec pracę Adama. Zuch chłopak.

- Ale ja, Adasiu, prędeż twoją nie będę, aż nie pogasisz wszystkich, rozumiesz, wszystkich gwiazd na niebie, podczas dzisiejszej nocy.

- Zrobi się wówczas ciemno i żeglarze pogubią drogi – wtrącił ojciec.

- Nic mnie to nie obchodzi. Ma być tak, jak ja chcę – krzyknęła Ewa zdecydowanym głosem i tupnęła nogą tak, że ziemia na Oksywiu zadrżała.

- Dobrze, z miłą chęcią – odparł Adam. Poczekajmy do zmierzchu.

Rozgwieżdżone tej nocy niebo, migotało tysiącami gwiazd. Adam nabrał powietrze w płuca i wspiąwszy się na palcach, z całej siły zaczął dmuchać w stronę nieba. Okrutny wicher zerwał się natychmiast od jego poddmuchu, a gwiazdy gasły, jedna po drugiej, jak świece na urodzinowym torcie. I choć za każdym dmuchnięciem udawało mu się zgasić jakąś część gwiazd, to i tak wciąż jeszcze zostawała ich nieprzebrana moc.

Nie przestawał jednak dmuchać. Dał z całych sił, aż poczerwieniał od wysiłku i oczy na wierzch mu wychodziły, a gwiazdy wciąż świeciły w innej części nieba. Zgasił już Wielką i Małą Niedźwiedzicę. Zdmuchnął Gwiazdę Polarną, Wenus i całą Mleczną Drogę. Dmuchnął na konstelację Byka i Łabędzia, Orła i Wieloryba. Pogasił natychmiast. Na Syriusza dmuchał kilkakrotnie, aż w końcu przestał świecić. Podobnie było z Koroną Północy i Andromedą. Dmuchał nieprzerwanie, a wciąż najjaśniej świeciły Plejady.

Z pomocą przyszły mu czarne, nocne chmury. Zasłoniły część gwiazd. A najsilniej świecące postanowił zasłonić czarną kurtyną nocnych obłoków.



Sięgnął więc swą olbrzymią dłońią, najwyżej, jak mógł i zagarnął chmurę, nasuwając ją na Plejady.

Ciemno zrobiło się na świecie tak, że aż sowy zaczęły się niepokoić i trwożliwie pohukiwały, tracąc orientację.

- Gotowe! – krzyknął resztkami sił, bo zmęczony się okropnie tym dmuchaniem w rozgwieżdżone niebo.

- Ale to jeszcze nie wszystko! – krzyknęła stolemka Ewa w ciemność nocy. O świecie czeka cię rzut kamieniem. Już mój ojciec wybrał odpowiedni dla ciebie. Chyba nie będzie za ciężki? – zaśmiała się głośno, budząc stado nietoperzy.

Prędzej twoją nie będę, aż nie okaże się, że dalej niż ja, rzucisz tym potężnym głazem.

Zaczynało świtać. Głaz był rzeczywiście ogromny. Obok stał mniejszy nieco, ale z pewnością bardzo ciężki.

- Jesteś gotowy? – spytała Ewa.

- Tak – odrzekł Adam, okrutnie zmęczony. Jednej nocy przenosiłem las, och, drugiej gasiłem gwiazdy, uff...

- Mam nadzieję, że trzecia będzie nocą poślubną, powiedziała zadowolona Ewa. Adam zaczynał się jej podobać. Był uparty, jak jej ojciec.

Oba głowy stały nad urwiskiem. Większy dla Adama, mniejszy dla Ewy. Adam podszedł do kamienia, poklepał go otwartą dłońią, pogłaskał, wreszcie objął silnymi ramio-nami i z wielkim wysiłkiem oderwał od ziemi.

Przez moment wyglądał, jak Syzyf, mąż jednej z Plejad, kiedy oburącz dźwigał głaz ponad głową. Zebrał resztki sił w sobie i cisnął kamień, najmocniej jak mógł. Sam mało nie potoczył się w dół. Głaz leciał jakąś chwilę w powietrzu, poczym spadł na zbocze góry i zaczął toczyć się, łamiąc po drodze zarośla i krzewy. Toczył się z impetem, malejąc coraz bardziej w oczach obserwujących z góry.

- Dobry rzut, chłopcze – orzekł zadowolony ojciec. Zuch z ciebie!

- Zmęczony jestem, sił mi brak – tłumaczył zawiedzionym głosem Adam.

- Teraz kolej na mnie – powiedziała Ewa i zbliżyła się do kamienia.

- Nie musisz się wysilać – radził jej ojciec, któremu również Adam zaczynał się podobać. Był pewien, że zostanie mężem jego córki.

Tymczasem Ewa stanęła tyłem do urwiska. Podłożyła obie dłonie pod kamień i z impetem równym wyrzutni maszyny obłączniczej, rzuciła głaz za siebie.

Nie spodziewał się tego ani Adam, ani ojciec Ewy.

- A cóż to za metoda? – dziwili się obaj.

Głaz rzucony przez Ewę wznosił się początkowo ku górze, o wiele wyżej niż rzucony przez Adama, a następnie pionowo spadał w dół. Gdy zetknął się z ziemią, zaczął toczyć się i nabierać coraz większej prędkości. Również łamał wszystko, co napotkał po drodze. Toczył się, jak życie, jak los nieodgadniony. Wpatrywali się w ten pędzący kamień, ojciec z córką. Co wywróży? Jaką przyszłość przyniesie? Czy będzie gwarantem szczęścia?

Kamień toczył się z siłą, jaką nadała mu stolemka, sprawna, silna, okazała, pragnąca męża pozyskać równie krzepkiego, jak ona.

Kamień Ewy toczył się w stronę Adamowego głazu, jakby niewidoczna siła przyciągała oba kamienie do siebie. W końcu uderzył w gładz Adama i zatrzymał się.

- Mój jest z przodu! Rzuciłem dalej! – cieszył się Adam.

- Mój zatrzymał się na twoim! Gdyby go tam nie było, na pewno potoczyłby się dalej! – oponowała Ewa.

- No więc jak to z wami będzie? – spytał zaniepokojony ojciec.

- No dobrze, już dobrze, wyjdę za niego, ale musi mi obiecać, że we wszystkim posłuszny mi będzie – odrzekła Ewa, zarzucając swe ramiona na szyję Adama.

- Obiecuję, obiecuję – przyrzekał uradowany Adam, biorąc swoją przyszłą żonę na ręce.

Kamienie żyją dłużej niż ludzie i stolemy. Oba gładz od niepamiętnych czasów stały przy drodze prowadzącej do wsi Gdynia. A gdy w końcu z rybackiej wioski powstało miasto, ludzie z wdzięczności dla tych, którzy je zbudowali, przeznaczili owe gładz na cokoły pod pomniki. Wcześniej nadali tym kamieniom imiona „Adama” i „Ewy”, na cześć pierwszych rodziców, od których wszyscy pochodzimy.



# REDŁOWO



ziało się to naprawdę bardzo, bardzo dawno temu, kiedy Redłowo nazywano Radłowem. Radło zaś jako najprostsze narzędzie rolnicze, zwykły kawał zakrzywionego drewna, uzbrojony w żelazne okucie, służyło do orania ziemi. Nie odwracało i nie okładało skiby na bok, jak późniejszy pług, lecz tylko spulchniało ziemię, w którą można było sypać ziarno.

Zaorane radłem miejsce na wyniosłym wzgórzu, urwiscie spadającym do morza, nazwano więc Radłowem.

Jednak nie pola uprawne, dające złote ziarno zbóż, ani nawet pochyłe i nasłonecznione zbocza, porośnięte winną latoroślą, czy też drzewkami oliwek, z których tłoczono oliwę, stanowiły o charakterze tego nadmorskiego wzniesienia.

W centrum uwagi tak tubylców, jak i licznych przybyszów była świątynia Swarozycy, prasłowiańskiego boga słońca i ognia.

Drewniana budowla z mocnych dębów i wyniosłych sosen, stała nad samym brzegiem urwiska, u stóp którego szumiało morze. Od strony wody widoczna była z daleka zarówno w dzień, jak i w nocy, gdyż wokół świątyni wznosiły się wysokie drągi dźwigające potężne beczki ze smołą, płonąca przez całą noc. Ogień ostrzegał sterników i nawigatorów dalekomorskich korabi przed zbliżającym się brzegiem.

Do świątyni w Radłowie przybywali pielgrzymi zarówno drogą morską, jak i lądową. Co dzień na placu przed świątynią zbierały się tłumy pątników, by oddać cześć bóstwu i złożyć mu należny hołd. Wielu przybywało tu, by poprzez wróżby i przepowiednie poznać własną przyszłość.

Wyrocznie sprawowali kapłani, umiejący czytać nieznanne losy z dymów bursztynowego kadzidła, popiołu palonego ziela oraz z ruchu kopyt białego rumaka, specjalnie hodowanego w świątyni.

Kapłanów wspomagały młode dziewczęta, składające ofiary z barwnych kwiatów i wonnych ziół.

Wokół świątyni rozciągał się święty gaj, w którym rosły stuletnie dęby. Tam również odprawiano część obrzędów. Dalej rozciągały się pola orne oraz ogrody winne i oliwne. Tuż za nimi domostwa, zagrody i gospodarstwa.

Uprawą zboża, winogron i oliwek na użytek świątyni, zajmował się Radomysł, chłopak, który doskonale opanował rzemiosło rolne i ogrodnicze. Jego rówieśnicy zajmowali się hodowlą grochu, bobu, soczewicy, uprawiali wykę, len, konopie i mak. Jemu powierzono najbardziej odpowiedzialne zadanie.

Talent i jak mówiono, rękę, Radomysł odziedziczył po ojcu Radosławie, który dotąd chętnie służył radą i doświadczeniem. Radomysł od czasów postrzyżyn, kiedy jego chłopięce włosy po raz pierwszy spadły na ziemię, wyrwany spod opiekuńczych skrzydeł matki, przyjęty został do męskiego grona dorosłych. Przyuczony do niełatwej pracy siewcy, a następnie oracza, poznawał tajemniczą moc rodzącej ziemi.

- Cóż to za siła w niej tkwi, że z ziarna rzuconego w ziemię wyrasta kłos, który dźwiga ciężar dziesięciu? Jak to się dzieje, że jeden krzak winnej latorośli, wyhodowany z małego ziarenka, nosi ciężar tak wielu dorodnych kiści winogron, a gałązki oliwnego drzewka, które wyrosło z jednej pestki, obsypane są tak wielką ilością oliwek? – pytał samego siebie Radomysł.

To ziemia – matka rodzi, jak kobieta. A któż jest ojcem? – rozmyślał.

Tak, to on, tylko on, mocny i wszechwładny bóg słońca, Swarozyc, który włada wschodem i zachodem, nocą i dniem, przypływem i odpływem oraz wszystkimi porami roku.

I tak Radomysł uprawiał ziemię, która dawała plon obfity, co było zasługą boga Swarozycy. Wiadomo, że obfitość płodów rolnych zależy przede wszystkim od słońca.

Radomysł był chłopcem bogobojnym. Wiedział, że słońce i ogień są siłą nie do pokonania, więc rozumnie było się jej poddać, niż z nią walczyć. Słońce rządziło dniem, ogień nocą. Ale jedna i druga siła miała życiodajną moc. Blask słońca i ognia jednako rozświecał mroki, dawał miłe ciepło, sprawiał, że to, co urosło dzięki słońcu, można było przyrzucić do spożycia na ogniu.

W świątyni był prawie codziennie, by dziękować bóstwu za dar słońca i prosić o dobrą pogodę.

Do świątyni zwanej gontyną lub chramem wiodła jedna główna brama. Ściany ozdobione były wrytymi w drzewie postaciami zwierząt i ptaków. W wyższych partiach wisały rogi jeleni i saren. Jeszcze wyżej, tuż u spadzistej powały, gnieździły się piskliwe mewy. W głębi, tuż pod ścianą, za którą rozciągał się widok na morze, stał ozdobiony szczerym złotem drewniany posąg Swarozycy.

Do świątyni przybywali tłumnie ciekawi przyszłości wojownicy. Władcy wielu krain wysyłali tu swoich posłów z pytaniem kierowanym do bóstwa, czy rozpoczynać wojnę już, czy też poczekać na szansę pełnego zwycięstwa.

To dla nich kapłan wyprowadzał ze świętej stajni białego rumaka, który za wyrocznie był poczytywany i przeprowadzał go przez kopie, dzidy i włócznie ułożone na posadzce świątyni. Jeżeli koń przechodząc przez wojenne narzędzia, najpierw prawą nogę uniósł do góry, a potem lewą, uznawano to za szczęśliwą oznakę i wróżono pomyślność w walce.

Do świątyni przybywali pielgrzymi, by dziękować bóstwu i chwalić je za sprawdzone przepowiednie.

Do świątyni przybywali również żeglarze i kupcy z zamorskich dalekich krain.

Gdy na horyzoncie pojawiały się czerwone żagle, znać było, że zbliżają się obcokrajowcy, uprawiający sztukę kupiecką, a nie wojenne rzemiosło. Wielkie korabie o smoczycy głowach, zwykle zatrzymywały się przed radłowską mieliną, a załoga dostawała się na brzeg na łodziach, spuszcanych z pokładu. Tą samą drogą wędrował towar.

Kiedy okazały galar ze zdobionym dziobem w kształcie smoczej głowy, spuszczał czerwone żagle i wyrzucał kotwicę, Radomysł przytraczał woły do radła, by spulchnić ziemię, która przyjąć miała ziarno. Wbił uzbrojony w żelazo ostry koniec narzędzia w ziemię i przycisnął całym ciężarem swego młodzieńczego ciała. Cmoknął przeciągle, a woły ruszyły z miejsca.

Orał pole, wodząc radłem tam i z powrotem, bacznie obserwując z góry to, co działo się w dole, na wodach zatoki. On orał ziemię radłem, a żeglarze orali wodę wiosłem, sprawiając, że łodzie między korabiem, a brzegiem kursowały rytmicznie i miarowo. Morski brzeg zaludniał się powoli. Towary układano bezpośrednio na piasku i dobijano targu.

Szwedzi jak zwykle przywieźli skóry z reniferów i z fok, a nawet z białych niedźwiedzi. Radłowianie tradycyjnie wystawiali miód, wosk i bursztyn.

Gwarno i rojno zrobiło się na brzegu. Dobijano targu i już po chwili wciągano nowe towary na górę.

Żeglarze nie omieszkali oddać pokłonów bóstwu w świątyni. Wielu z nich przybyło na radłowską górę, by złożyć ofiarę i zapytać o własną przyszłość.

Kapłani mieli pełne ręce roboty, gdy wróżebne kadzielnice zaczęły snuć gęste warkocze dymu.

Dzień chylił się już ku zachodowi. Radomysł wyprzągnął woły i przed udaniem się na spoczynek zamierzał wejść do świątyni, by podziękować bóstwu za piękny, jesienny, słoneczny dzień. Szedł przez święty gaj, prosto do świątynnej bramy, gdy na drodze pojawiła się dziewczyna, ubrana inaczej niż radłowianki. Suknia i buty ze skóry renifera, włosy splecione w kilka warkoczy, na czole błękitna przepaska oraz okazałe korale z okrągłych, czerwonych ni to kamyków, ni to owoców, spowite wokół jej zgrabnej, łabędziej szyi sprawiały, że wyglądała dość wojowniczo, ale zarazem bardzo kobieco.

Powitała go uśmiechem śmiałym, może nawet trochę dzikim, ukazując nieskazitelną biel zębów.

- Mam na imię Ingrid. Jestem siostrą dowódcy tego żaglowca – wskazała głową w kierunku morza.

Radomysł wpatrzony w jej błękitne oczy, nie potrafił zebrać myśli.

- Przy płynęliśmy ze Szwecji, z Oxelö, a ty...

- Ja... ja mam na imię Radomysł – odzyskiwał głos, próbując oprzeć się czarowi jej urody. I mieszkam tu, w Radłowie.

- Tu się urodziłeś? – pytała nadal Ingrid.  
- Tak.  
- Wyjeżdżałeś gdzieś? Podróżujesz?  
- Nie, nie. Uprawiam tu ziemię, o tam, za gajem.  
- Za gajem?  
- Tak. To jest nasz święty gaj. Rosną tu bardzo stare drzewa. W koronach tych drzew mieszkają dusze naszych zmarłych. Święty gaj otacza świątynię Swaróżyca.  
- I ty w to wierzysz?  
- Tak. Tak jest.  
- Widziałeś te siedzące w koronach drzew dusze?  
- Duszy nie widać.  
- Jak czegoś nie widać, to tego nie ma – odpowiedziała zdecydowanie i tupnęła nogą.

Radomysł zastanawiał się głębiej nad jej słowami, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć.

- A zapach? Widziałaś zapach?  
- Jaki znowu zapach?  
- Na przykład kadzidła, albo kwiatów...  
- Tak, kwiaty pachną... bardzo ładnie.  
- Zapachu nie widać, a jest, prawda? Podobnie jest z duszą.  
- Sprytnie to wymyśliłeś. Opowiedz mi coś o tym waszym Swa... Swa...  
- Swaróżycu. Swaróżyca, to bóg wszechwładny. Rządzi słońcem i ogniem.  
- Ktoś go widział?  
- Każdy może go zobaczyć. Wystarczy wejść do świątyni. O, tam, na wprost.  
- Chodźmy... zaproponowała z uśmiechem młoda Szwedka i aż podskoczyła z radości.

Dopiero teraz spostrzegł, jaka jest zgrabna, szybka, zwinna, ochocza i ciekawa nowego świata.

- Jesteś tu po raz pierwszy?  
- Tu, w Radłowie, tak. Podróżowałam z bratem już parę razy do południowych brzegów Bałtyku, ale tutaj jeszcze nie byłam. Podoba mi się tu. I ty też mi się podobasz. Przypomnij mi swoje imię.  
- Radomysł.  
- Ależ tu ludzi. Ile dymu. Nic nie widzę.  
- Podejdźmy bliżej.

Zaczęli przeciskać się przez tłumy składające ofiary. Radomysł szedł przodem, bo znał dobrze przestrzeń świątyni. Ingrid schwyciła go za rękę, żeby się nie zgubić. Stanęli wreszcie przed obliczem Swaróżyca. Kapłan o długich, zaczesanych do tyłu włosach, w białej, niewieściej szacie, intonował pieśń, dosypując bursztyn do kadzielnicy. Wspomagające go dziewczęta, w nieskazitelnej

bieli płóciennych sukien, unosiły w górę zielone gałązki oliwne i poruszały się w rytmicznych płasach.

- To jest wasz bóg? – spytała Ingrid.

- To jest Swaróżyc.

- Dlaczego ma takie wielkie, złote oczy?

- Żeby widział wszystko, co się tutaj dzieje.

- To znaczy, że nas też widzi?

- Tak. I słyszy.

- Wygląda, jak umarli.

- On wieczny jest, jak słońce i ogień.

- Nie wierzę. Od kiedy umarł mój ojciec, wiem, że nic nie jest wieczne.

- Mylisz się – wyszeptał Radomysł. Dusza jest wieczna.

- Pokaż mi drzewo, na którym skryła się dusza mego taty, bo bardzo za nim tęsknię.

- Musisz poszukać sama, tam u was, w Oxelö. Kim był twój ojciec?

- Dowodził okrętem. Władzę po nim przejął mój przyrodni brat.

- Więc kiedy wrócisz tam, skąd przybyłaś, poszukaj jego duszy wśród wierchołków nadmorskich drzew. Na pewno mieszka w koronie jakiegoś dębu i czeka na wasz szczęśliwy powrót, wpatrując się w morze. Chyba, że...

- Chyba, że co?

- Chyba, że wierzycie, że dusze po śmierci zamieniają się w mewy.

- W mewy?

- Tak. I fruują całymi stadami, by nie odczuwać przygnębiającej samotności.

- Co ty mówisz?

- Słyszałem od tutejszych kapłanów, że za morzem żyją ludy, których dusze po śmierci zamieniają się w ptaki. Jeśli była to dusza sprawiedliwa, ptak jest biały, jak mewa lub gołąb, ale jeśli była to dusza grzeszna, zamienia się w ptaka czarnego, jak wrona lub kruk.

- Mój tato... był nadzwyczaj dobrym człowiekiem. Bardzo mnie kochał. I ja kochałam go nad życie. Wszyscy bardzo go lubili. Cała załoga. Dlatego nasz korab nosi jego imię – "Ladis".

Wiesz... Ingrid zmarszczyła czoło, usilnie coś sobie przypominając, on pierwszy pokazał mi słońce. Mówił, że nie ma większej siły na świecie. Raziło mnie bardzo, ale patrzyłam w tę płonącą kulę.

- Na pewno znał Swaróżycę.

- Pamiętam, jak stłukłam kiedyś, przez nieuwagę, drogocenną szklaną wazę. Wiedziałam, że wyrządziłam wielką szkodę, ale on nie gniewał się, ani nie krzyczał. Wziął jeden kawałek szkiełka, potrzymał je nad płonącym ogarkiem, aż przyciemniało, po czym zawołał mnie i powiedział:

- Patrz przez nie na słońce. Nie będzie cię razić.

Odtąd obserwowałam słońce przez przyćmione szkło. Patrzyłeś kiedyś w ten sposób?



- Nie.

- Wygląda, jak złote oko Swarożycy.

Do głosu kapłana, zawodzącego pieśń chwalebna na cześć bóstwa dołączyło głucho dudnienie kotlarzy, wystukujących taneczny rytm.

- Co to? – spytała Ingrid. Czyżby zbliżała się burza?

- To dźwięki bębnow. Za chwilę w świętym gaju rozpocznie się ofiarny taniec, na cześć świętego ognia.

- Będziemy tańczyć?

- Jeśli chcesz okazać swą wdzięczność blaskowi ognia, który daje ciepło i rozświetla mrok, chodź!

Wyszli z zadymionej świątyni, na świeże, pachnące jesiennym morzem powietrze, o lekko słonawym smaku. Była noc. Niebo migotało tysiącem gwiazd, jakby w ciemnym oceanie przepływały ławice migocących ryb.

- Spójrz – Ingrid podniosła oczy ku niebu, odchylając głowę. Radomysł mógł teraz dokładnie przyjrzeć się jej czerwonym koralom. To nie były kamienie, ani szkło. Okrągłe, regularnych kształtów czerwone paciorki, wyglądały, jak maleńkie jabłuszka.

Patrz tam, na gwiazdy. Te korale, to zwykła jarzębina. Nie myślisz, że każda taka gwiazda może być duszą zmarłego?

- Jarzębina?

- Gwiazda! Tu na ziemi gaśnie życie człowieka, a tam, na niebie zapala się jego gwiazda.

- Nie, nie... Jeśli dokładnie przyjrzesz się niebu, zwłaszcza teraz, jesienią, zauważysz, że niektóre gwiazdy spadają.

- I to właśnie mogą być dusze niesprawiedliwe. Spadają z nieba i gasną na dnie morza. A pozostałe świecą. Świecą, jak oczy Swarożycy.

Weszli do świętego gaju i poddali się tanecznym rytmom na cześć ognia. W środku gaju płonął świetlisty stos, a dookoła rytmicznie falował tłum wielbiący jasność. Wszyscy podnosili ręce i kołysząc się na boki w rytm uderzeń bębna, co pewien czas, przy mocniejszym uderzeniu, składali głęboki pokłon.

Po chwili do ogniska dotarła procesja wychodząca ze świątyni. Prowadzili ją kapłani, w towarzystwie dziewcząt, wymachujących gałązkami oliwnymi. Po chwili gałązki znalazły się w świętym ogniu. Rozległy się okrzyki uwielbienia, wydawane na cześć boga słońca i ognia.

- Muszę już wracać. Odprowadzisz mnie?

- Tak. Znam najkrótszą drogę na brzeg.

Długo stał nad spokojną, morską wodą, w której, niczym w wielkim lustrze odbijały się gwiazdy. Dopiero, kiedy usłyszał hasło "Ladis", zrozumiał, że łódź dotarła do statku. Powędrował więc na górę.

Następnego dnia Ingrid wydała mu się jeszcze piękniejsza. Świeża, obiecująca, uśmiechnięta. Ten jej zniewalający uśmiech, uderzał prosto w jego młodzińcze serce.

- Cóż to za dziewczyna? – pomyślał. Dlaczego musi wracać gdzieś za morze? Mogłaby przecież zostać tu. Słońce jest wszędzie. Tak samo wschodzi i zachodzi tam, w dalekiej Szwecji, jak i tu w Radłowie. Wiec... może...

- Dziś wyruszamy do Okselö. Wracam do mamy i sióstr. Stęskniłam się za nimi. Tyle dni w podróży... Czemu jesteś smutny?

- Smutny? Nie, tylko myślę...

- O czym?

- Czy jeszcze kiedyś cię zobaczę?

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Teraz, kiedy cię poznałam i poznałam twoją wiarę i wiarę twoich przodków, kiedy wiem, gdzie mieszkają dusze zmarłych i kiedy wiem, gdzie odnaleźć mogę duszę mego taty, czuję się bardzo blisko związana z tobą i z tym potężnym wzgórzem. I jeśli nawet ja nie zawitam w te strony, to przecież ty będziesz mógł przyplłynąć do nas. I uśmiechnęła się tak przyjaźnie i szczerze, że uwierzył w jej słowa.

- Patrzysz wciąż na moje korale. Mówię ci, że to zwyczajna jarzębina, jakiej pełno na naszym brzegu. Chcesz? Podaruję ci je. Na pamiątkę.

Wyciągnęła ręce za głowę, odpięła naszyjnik i nie wiele się zastanawiając, założyła go na szyję Radomysła.

- Noś je. Na szczęście. Żegnaj.

A kiedy odprowadzał ją do łodzi spytał:

- Chciałbyś, żeby kiedyś – kiedyś nasze dusze zamieszkały razem na jednym drzewie?

- Chciałbym.

- Naprawdę?

- Tak.

Zmrużyła lekko oczy i uśmiechnęła się. Delikatnie przesunęła dłonią po jego policzku. Następnie otwartą dłoń przyłożyła do serca.

Patrzył jak wsiadała do łodzi i starała się zająć miejsce na rufie. Odpływała stojąc. Patrzyła w jego stronę. On machał jej na pożegnanie, stojąc na brzegu, a ona stojąc w łodzi, przyłożyła obie dłonie do piersi. Po chwili spostrzegł, że jej palce tworzą kształt serca.

Gdy wrócił na górę, załoga wciągnęła już czerwone żagle i korab z wolna obierał kurs na północ.

Radomysł dotknął dłonią koralu.

- „Ja-rzę-bi-na” – sylabizował, jakby to było zaklęcie. Ileż tajemnicy kryje się w tej nazwie? – zastanawiał się, przywiązując woły do radła.

Wbił ostrze w ziemię, cmoknął na woły i zaczął orać.

Nie spostrzegł, kiedy podczas zmagania z wołami ciągnącymi radło, pękł jarzębinowy naszyjnik na jego szyi, mokrej od potu. Rozsypały się czerwone kuleczki jarzębiny po zaoranej radłowskiej ziemi. Gdy spostrzegł, że nie ma naszyjnika, było już za późno.

Zmartwiony, spojrział na morze, ale korab o czerwonych żaglach zniknął już za horyzontem, jak czerwone owoce jarzębiny znikły pod ziemią.

Posmutniał i sposepniał na długo. Nie cieszyły go ani udane zbiory winogron, ani nadzwyczajny w tym roku urodzaj oliwek.

Dopiero, gdy wiosną śniegi z radłowskich pól zlizwały ciepłe promienie słońca, spostrzegł na zielonującym polu jakieś dziwne rośliny, wróciła mu chęć do życia. Z początku wziął je za chwasty, ale silne łodygi wskazywały, że to rośliny szlachetne. Przesadził je na brzeg pola, pod lasem. Rosły szybko, okrywając się listowiem.

Jakże wielka była jego radość, gdy późnym latem, dostrzegł między listkami tych tajemniczych roślin małe, czerwone kuleczki.

- To jarzębina! – wykrzyknął radośnie.

Zerwał parę gałązek i podążył do świątyni, by złożyć je w ofierze bóstwu i by jednocześnie zapytać o własną przyszłość. Nigdy tego jeszcze nie robił, ale teraz nie mógł pohamować pragnienia.

Kapłan położył gałązki jarzębiny przed posągami Swaróżyca. Kilka małych, czerwonych kuleczek wrzucił do kadzielnicy. Po chwili odwrócił się i wypowiedział prorocze słowa:

- Odtąd już nie ziemię radłem, ale morze wiosłami orać będziesz. Czeka cię długa, zamorska podróż.

Zrozumiał Radomysł słowa wyroczni. Pokłonił się bóstwu, z wdzięczności za szczęśliwe proroctwo.

A czerwona jarzębina porosła z czasem radłowskie wzgórze tak obficie, że i dziś wydawać się może, jakby na jego stromych zboczach w wielu miejscach płonął prawdziwy, święty ogień.

# OBŁUŻE



ziało się to w czasach, kiedy dla grodu warownego na Oksywiu, okoliczne wioski wykonywały rozmaite usługi. Były takie, które dbały o żywność, tak roślinną, jak i zwierzęcą, były takie, których zadanie polegało na dostarczaniu bitnego żołnierza, wreszcie była i taka wieś, która dla tego żołnierza-wojaka szykowała broń. Cóż to była za broń w owych czasach? Prosta, ręczna, wymagająca użycia ludzkich mięśni, sprytu i szybkości. Dzidy, kopie, oszczepy, łuki i kusze wymagające strzał, noże, topory bojowe i miecze. Jednym słowem broń dla wojów książęcej drużyny. Takż i uzbrojenie: tarcze i hełmy.

Produkcja broni, jak i uzbrojenia wymagała surowca, o który wcale nie było tak łatwo. Wymagała bowiem żelaza. Groty strzał i oszczepów, kopii i dzid, topory i miecze, nie mówiąc o tarczach i zbrojach, wymagały kutego w ogniu żelaza. Skąd ogień? Wiadomo. Hubka i krzesiwo, parę iskier i płomień już gotowy. Ale żelazo? Skąd wziąć żelazo? Oczywiście z przetopionej rudy, każdy to wie. A ruda? Skąd wziąć rudę? Z ziemi, ma się rozumieć, z ziemi, która wiele skarbów kryje w swoim wnętrzu. Ale gdzie jej szukać? Gdzie i jak?

Otóż wyobraźcie sobie, że u stóp kępy, która dźwigała oksywskie grodzisko, wokół samego klifu udało się natrafić na złoża ługu, czyli czerwonego, rudawego bagna, skąd można było wydobywać surowiec przeznaczony do dalszej obróbki w specjalnych, choć prymitywnych piecach, zaopatrzonych w miechy, dymiących okrutnie, zwanych z tej przyczyny dymarkami lub dymówkami, jak wolicie.

Wypalano w nich rudę i otrzymywano żelazo, służące bezpośrednio do produkcji zbrojnego oręża.

Wydobywaniem ługowatej, czerwono-rdzawej substancji z ziemi, zajmowało się kilku śmiałków. Nie wielu posiadało dymarki.

Jednym z najśmielszych poszukiwaczy ługu był Kuba, syn Janucha, który jak nikt inny potrafił rozpalić w dymarce tak silny ogień, że z rudawego ługu srebrnymi łzami kapało żelazo. Kuba, jego jedyny syn kopał, szukał, tropił czerwienią ziemi, z łopatą w ręku, z różnym skutkiem. Oj, różnym. Czasem dzień, czasem tydzień upływał na niczym, czasem zaś od razu znajdował miejsce żelazonośne, ku radości ojca i rodziny, matki Lucy i siostry Kachny.

Kuba, jako ambitny chłopak ostro zadawał ciosy ziemi żelazną łopatą, odwalając skibę za skibą, w poszukiwaniu czerwonego ługu. Miejsca, w których udało mu się znaleźć rudę, nie były zbyt obfite, ani też bogate. Eksploatować można je było krótko, gdyż ruda szybko kończyła się i trzeba było szukać szczęścia gdzie indziej.

Zdarzyło się pewnej jesieni, że do wsi zawitał tajemniczy wędrowiec. Starzec siwowłosy, z kijem sękatym przemierzał świat w zdartych już butach z łyka, z których przezierała bosa stopa. Wędrował ubogi pielgrzym po całej pomorskiej krainie, zdając się na łaskę losu, a prawdę powiedziawszy, na łaskę dobrych ludzi. Szedł właśnie od strony Oksywia, kierując swe ciężkie, zmęczone kroki w stronę Pogórza, by dalej przez Suchy Dwór, Kazimierz, Pierwoszyno, Mosty i Mechelinki dostać się do Rzucewa i Pucka.

Wieczór jesienny zapadał się już pod pierzynę skłębionych chmur, gdy wędrowiec zastukał sękatym kosturem do drzwi pewnej bogatej wdowy. Rozległo się głucho dudnienie.

- A kogóż to po nocy niesie? – usłyszał w odpowiedzi niezadowolony kobiecy głos.

- Czy znalazłoby się może u was miejsce na nocleg, dobra niewiasto?

- O nocleg pytacie? – otworzyła drzwi z przeraźliwym skrzypieniem. Zależy dla kogo?

- Dla mnie – odparł bezradnie rozkładając ręce.

- A kto wy?

- Wędrowiec – odpowiedział szczerze.

Kobieta zmierzyła wzrokiem postać pielgrzyma, zatrzymała spojrzenie na jego butach z łyka i odparła:

- Dla takich żebraków nie ma miejsca w moim domu i chciała już zamknąć drzwi, gdy staruszek podniósł rękę, w której trzymał kij i powstrzymując ją przed zatrzągnięciem wrót, spytał:

- Może choć szklanka mleka znalazłaby się.

- Nie, nie mam mleka – skłamała.

- To być może chociaż wody...

- I wody też nie mam. Dla takich jak ty, drzwi mego domu są zamknięte.

Cóż było robić? Wędrowiec postanowił spróbować szczęścia gdzie indziej.

Zaczęło się ściemniać na dobre, gdy zastukał w okno chatki Janucha, w której pełgał jeszcze czerwony płomień. Cała rodzina siedziała przy jednym ogarku i odmawiała wieczorne pacierze.

Januch usłyszawszy tajemnicze stukanie, wstał, podszedł do okna i na widok strudzonego przybysza, zaprosił go przyjaznym gestem do środka.

Otworzyły się drzwi, powiało jesiennym chłodem.

- Pochwalony Jezus Chrystus!

- Na wieki wieków – odpowiedziała Lucja, czesząc jasne włosy swej Kasięńki.

- Siadajcie, dziadku, zapraszał Januch. Zostało tam coś od wieczerzy?

- Znajdzie się miseczka – uśmiechnęła się Lucja. Siadajcie, boście zdrożeni.

Wędrowiec zjadł ciepłą strawę, podziękował i za pozwoleniem gospodarzy ułożył się na ławie przy piecu.

Przespał całą noc, a nazajutrz, dziękując za gościnę, bardzo się zżymał, że nie ma czym zapłacić.

- Pieniędzy to ja nie mam. Nigdy nie miałem detków i nigdy mieć nie będę. Jedno tylko mogę wam zostawić, za waszą gościnność i okazane serce, jedno tylko, dobre życzenie. Jeśli jakąś robotę dziś rozpoczniecie, będzie wam ona szczęściem darzyć, powiedział z dumą, podkreślając siwe wąsiska. Ujął sękaty kostur w prawą dłoń i ruszył wolno w stronę Pogórza.

Kuba namiętnie poszukujący w ziemi miejsc oznaczonych czerwona barwą, oznaczającą obecność rudy żelaza pod darnią, wziął te słowa do serca. Chwycił swą łopatę i wybiegł z domu. Szedł przed siebie dziarsko i odważnie, z łopatą na ramieniu, mijając wcześniej rozkopane miejsca. Zatrzymał się wśród pagórków, w niewielkiej kotlinie. Jakby jakiś tajemniczy głos podpowiedział mu: „spróbuj tutaj”.

Z całej siły wbił żelazny jęzor łopaty w suchą jeszcze o tej porze roku ziemię i odwalił skibę. Poczerwieniało mu w oczach. Sądził, że to z wysiłku, ale przy kolejnym sztychu pewny był, że natrafił na rudonośną żyłę. Kopał w zapamiętaniu, odrzucając darń za siebie, kopał bez pamięci, wierząc w słowa wędrowcy: „będzie wam szczęście darzyć”.

Stanął wreszcie i otarł pot z czoła. Sam dziwił się, jak wielkiego podkopu dokonał u stóp jednego z pagórków. Stał i nie wierzył własnym oczom. Dookoła czerwieniła się zrudziła ziemia. I nie były to kolory jesieni. To była barwa surowca, z którego niedługo powstanie najprawdziwsze, najtwardsze, najmocniejsze żelazo. Z radości wbił ponownie łopatę w ziemię i odgarnął spory płat. Nagle, jakby stał się cud. Podkopany pagórek zmienił swą wierzchnią skorupę. Ziemia w tym miejscu obluźowała się i odstąpiła całą górę rudej czerwieni. Kuba aż krzyknął z radości, bo tak obfitego zbioru nie udało mu się jeszcze odkryć.

Spełniły się słowa tajemniczego wędrowca. Żmudna, niełatwa i wycieńczająca praca, naprawdę zaczęła darzyć szczęściem. Cieszył się Kuba, cieszył się jego ojciec Januch, rozpalając ogień w dymarkach, cieszyła się Lucja, a mała Kachna aż klaskała z radości.

Dziwili się ludziska ze wsi, że takie szczęście spotkało chłopaka, który usilnie szukał złóż rudy.

Byli i tacy, którzy mu zazdrościli. Ale najbardziej zazdrościła mu bogata wdowa, która nie chciała przyjąć wędrowca w swe, jak się okazało za wysokie progi. Poskapiła mu nawet szklanki wody.

Teraz, gdy sukces Kuby stał się głośny w całej wsi, bogata wdowa postanowiła odnaleźć tajemniczego wędrowca. Czym prędzej podążyła w jego ślady. Zaprzęła swoje cztery kare konie i dalejze podążyć za nim w stronę Pogórza. Spotkała go w Suchym Dworze.

- Wróćcie do mnie dobry człowieku. Ja biedna wdowa – skłamała, bo była bogata po mężu, niegodna jestem gościć tak szacownego, zacnego i szlachetnego człowieka.

- A któż mnie wczoraj przegonił? Kto twierdził, że dla takich jak ja, drzwi domu zamknięte? Kto...

- Ach, przebacz mi wędrowcze!

- Nie mam po co wracać. Idę dalej przed siebie. Idę w świat...

- Wstąpcie do mego domu. Zamieszkajcie, jak długo chcecie. Czeka na was prawdziwe łoże i pierzyna. Czeka jadło i napitek.

- Nie mam zaiste po co wracać. Ale doceniam twoje dobre serce, rozumiejąc, że ono dopiero dziś stało się dobre.

- Och, nie noście już w duszy urazy. Źle zrobiłam odganiając was od mego domostwa, ale jako wdowa, osoba samotna, boję się obcych wpuszczać – skłamała po raz drugi, bo w istocie od śmierci swego męża niczego się nie bała.

- Wierząc w dobroć twego niewieściego serca, nie wiele mogąc ci dać, bo nie wiele mam, dam ci jedno życzenie. Cokolwiek zaczniesz robić dziś, szczęściem niech ci darzy.

Wróciła wdowa do domu, usiadła na łożu i zamyśliła się.

- Po co mi tam jakaś ruda żelaza. Niech ją ten głupi Kuba kopie, żeby jego ojciec mógł w piecu wypalać żelazo. Ale ja... ja muszę mieć prawdziwe złoto... śmiała się do własnych myśli. Złoto... dużo złota. Całą górę.

Sięgnęła do skrzyni, którą trzymała pod łóżkiem. Wydobyła z niej kilka brzęczących, złotych monet.

- Och, jak bardzo ściemniały moje złote krążki. Dawno nie były w użyciu. Trzeba je obmyć w wodzie, wszak lepiej mieć złoto czyste i świecące, niż brudne i ciemne.

- Zaczepnęła wody ze studni, choć tak trudno było jej ofiarować szklanekę wody wędrowcy, by obmyć w niej, a następnie wyszorować złote monety.

W jednej ręce trzymała pieniądze i przecierała je palcami, drugą polewała wodą, chcąc zmyć ciemną patynę. Ale oto zamiast złota, zaczęło przybywać wody. Ledwo co lała z cebrzyka, a woda szumiała siłą górskiego potoku.

- Pomylił się ten stary, kaprawy dziad – krzyczała ze złością, kiedy woda swą nieo-kiełznaną siłą wyrwała monety z jej ręki i poniosła w nieznanym kierunku. To nie wody, a złota powinno przybywać! To tak mi szczęście darzy? Pragnę złota świecącego, czystego złota. Złota... złota... – krzyczała wdowa, chcąc przekrzyczeć szum rwącej wody.

A woda, jeden z czterech żywiołów obok ognia, ziemi i powietrza, z których zbudowany jest nasz świat, pędziła spod progu wdowiej chaty, w stronę dołu, z którego Kuba wraz z przyjaciółmi wydobył przepotężną ilość żelaznej rudy. Powstał w ten sposób dół między pagórkami, gdzie obluzowała się ziemia, odsłaniając czerwono – rude złoża. Gdy miejsce to wypełniła woda, nazwano je Kaczym Dołem. Zaś miejsce, gdzie ziemia się obluzowała zaczęło nazywać Oblu-

ziem. Dopiero z czasem, z powodu występującego w okolicy ługu, czyli rudy żelaza, przyjęto nazwę Obłuże. Jest to nazwa miejsca, gdzie występuje ług, surowiec z którego otrzymuje się żelazo.

Zauważcie, jak bardzo praca Kuby i jego ojca Janucha przyczyniła się do rozwinięcia rzemiosła w tej części Gdyni. Przyjrzyjcie się samym nazwom ulic na Obłuzu. Świadczą one o pracowitości rzemieślników, których usługi rozwijać się mogły w oparciu o wydobywaną z ziemi rudę, przetapianą na żelazo. Wszyscy oni pracowali narzędziami wyrabianymi z żelaza. Znacicie ulicę Frezerów, którzy zajmują się obróbką metalu lub drewna przy pomocy frezarki, znacicie ulicę Tokarską, czy też ulicę Traczy, ręcznie piłujących drzewo piłą tracką. Znacicie Bednarską, przy której wytwarzano beczki i inne naczynia klepkowe, wzmacniane metalowymi obręczami, znacicie Ciesielską i Stolarską, znacicie Snycerską z artystami rzeźbiącymi w drewnie, czy Szkutniczą, przy której powstawały łodzie, jachty i kutry, albo Flisaków, którzy robili tratwy. Metalowych narzędzi wymagali rymarze wytwarzający różne przedmioty ze skóry przy ulicy Rymarskiej, kuśnierze szyjący futra przy Kuśnierskiej, czy krawcy, mający swoje szwalnie przy Krawieckiej, nie mówiąc już o Brukarskiej, gdzie poprzez ciosanie kamieni powstawał bruk, po którym z kolei toczyły się koła, wytwarzane przy ulicy Kołodziejkiej.

Wszyscy ci rzemieślnicy rozwinąć mogli swój fach dzięki pracy Kuby i jego ojca Janucha, wypalających żelazo z czerwonego ługu, odkrytego na Obłuzu.





# WITOMINO



ziało się to bardzo dawno temu, kiedy Witomino było posiadłością rycerską władcy Witomy. Na olbrzymiej polanie wyniesionej wysoko, wysoko ponad poziom morza, ze wszystkich stron otoczonej lasami, chciał władca tej ziemi, mąż Witoma, wybudować gród warowny.

Wysokie i strome wzniesienie trudne było do zdobycia. Nawet sprytny i podstępny wróg, nie mógłby podejść pod witomińskie wzgórze, niezauważony wcześniej, czy to w dzień, czy też w nocy.

Z wysokiego urwiska patrzył Witoma, tęsknym okiem, ku młynom i kuźniom pracującym nad rzeką w rozległej Dolinie Kaczej, ku Pańskiej Drodze, wiodącej wprost do Kartuz, ku Królewskiemu Traktowi, łączącemu Gdańsk z Oksywiem, którym podróżowały kupieckie furgony, chłopskie podwozy i pańskie karoce. I dumny był, że on, Witoma, ze sławnego pomorskiego rodu, panuje nad całą okolicą, strzegąc z wysokości witomińskiego wzgórza jej spokoju i bezpieczeństwa, jak źrenicy własnego oka.

Tu, w tym miejscu, na samym środku polany, otoczonej ze wszech stron gęstym lasem, wybuduje warowne grodzisko.

- Skrzyknę najdzielniejszych rycerzy, wyćwiczonych w swym rzemiośle i stworzę tu niedostępną twierdzę, jakiej jeszcze świat nie widział, postanawiał w myślach, chodząc samotnie po polanie. Własnymi krokami odmierzał jej długość i szerokość, snuł w myślach plany o budowie grodziska, z murem oflankowanym, o zębatych basztach.

Zastanawiało go tylko jedno, dlaczego żaden z jego przodków, śmiałych i bitnych, jak on sam, Witoma z Pomorza, nie wznosił wcześniej na ziemi ojców, warownych murów, dysponując tak doskonałymi warunkami obronnymi, wynikającymi z ukształtowania terenu. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Ale nie tylko ta.

Witoma nie dość, że był młodzieńcem szlachetnie urodzonym, rycerskim i prawym, był również nadzwyczaj urodziwym chłopcem, o dobrym, choć nieco chłodnym sercu. Mimo to, podobał się pannom, które mu przedstawiano, tak ze wschodniej, jak i z zachodniej części pomorskiej krainy. Różni posłowie przychodzili doń w swaty, przyprowadzając przed jego gładkie, młodzieńcze oblicze, najpiękniejsze i najzamożniejsze córki władców sąsiednich krain. Wzdychały

one do niego, posyłając słodkie spojrzenia, próbowały oczarować niezwykłością swej urody. Jednak na próżno. Witoma nie był w stanie żadnej z nich pokochać. Jako jedyne dziecko swych rodziców, którzy szczęśliwie doczekali syna w późnych latach, kochany był ponad miarę. Na niczym mu też nie zbywało, ale uczucia jego były jakby powściągliwe, stonowane, by nie powiedzieć chłodne. Nie był wyniosły, ani pyszny, nie unosił się dumą ani też ambicją, a mimo to nie stać go było na żarliwość, poryw, zachwycenie.

Najtrudniej było mu przyznać się do tego przed samym sobą.

- Nie mogę się zakochać. Podobają mi się one, czemu nie, i te jasne ze wschodu i te ciemniejsze z zachodu, czy południa, zwłaszcza czarnobrewa i czarnookie. Ale cóż, ja chyba nie potrafię kochać. A skoro tak, pozostaje mi tylko wojenne rzemiosło. Skoro nie mogę obdarzyć żarliwą miłością niewiasty, ani też dać jej szczęścia, będę parał się sztuką militarną. Wybuduję gród warowny i życie poświęcę wojennej służbie.

Myśl o przeszłości jego rodzinnej ziemi ojców, dziadów i pradziadów, na której, mimo doskonałych warunków obronnych, nie powstał żaden warowny zamek, mąciła spokój jego duszy.

Obchodził po wielokroć całą okolicę bardzo dokładnie, znał tu już każdy kamień i każdy pień, każde drzewo i krzak. Nie znał tylko zagadki przeszłości.

Postanowił zwrócić się do najstarszych mieszkańców okolicy. Ale i oni nie wiele potrafili opowiedzieć o przeszłości tej ziemi.

W końcu trafił do chatki starego pustelnika, mieszkającego w głębi witomińskiego lasu.

Samotny eremita o białej głowie i białej brodzie, był tak stary, że sam nie wiedział ile ma lat, ale pewien był, że za czasów Boga Ojca, przez polanę na wyniosłym wzgórzu, ze wszech stron otoczoną lasem, płynął zród i że z tego właśnie źródła czerpali wodę ludzie z zamku.

- Z jakiego zamku? – spytał z niedowierzaniem Witoma?

- Ano, z tego, co tu był, przed laty.

- Kiedy?

- Ano, za Boga Ojca. Dawno, dawno temu... Z zamku nie pozostało już nic, bo został przeklęty i zapadł się pod ziemię na trzy sążnie. Pozostała po dawnym grodzisku jedynie ta Zamkowa Góra.

- Zamkowa Góra? – pytał Witoma, nie wierząc własnym uszom.

- Ano, tak nazywali dawniej to wzniesienie, dopóki nie przyjęło ono nazwy od twego imienia, Witomie.

A więc jednak, przed laty, niegdyś – niegdyś, było tu zamczysko. Cóż więc się z nim mogło stać? No, bo w takie bajki, jak zapadały pod ziemię zamek, Witoma, rzecz jasna, nie wierzył.

I znów schodził polanę wzdłuż i wszerz, przypatrując się ukształtowaniu terenu oraz starym drzewom, których wyniosłe korony niejedno z pewnością widziały.

- Gdyby one potrafiły mówić, pomyślał Witoma i usiadł pod rozłożystym bukiem.

Wpatrywał się w okolicę. W którym miejscu mógłby stać ów tajemniczy zamek? – rozmyślał. Gdzież mogłoby się znajdować wejście, gdzie wjazd i brama główna? Jeśli był tu zamek, dookoła otoczony fosą, zapewne woda z fosy pochodziła ze wspomnianego źródła, skąd czerpano również życiodajną wodę.

Witoma wstał i ruszył prosto przed siebie. Po kilku krokach natrafił na błotniste i grząskie zagłębienie.

Tak, nie było wątpliwości. Jeśli było tu kiedykolwiek jakieś źródło, to tylko w tym miejscu. Tu kończy się stary drzewostan, prowadzący do zamku. Ale gdzie znajdować się mogła ta tajemnicza budowla? Gdzie była brama główna?

Chodził Witoma, szukał, domyślał się, próbował wyobrazić sobie dawną zabudowę.

Nagle zdał sobie sprawę, że dawny zamek może znajdować się w miejscu, gdzie wznosi się tuż nad mokradłem szczyt wzgórza.

- Jakże to, zamek pod ziemią? – zastanawiał się. Ale przypomniał sobie słowa pustelnika, o zapadłym zamku. I to tylko na trzy sążnie. Nie aż tak głęboko, żeby zapadłej budowli, nie można było odkopać. Sążeń, to miara mieszcząca się w rozwartych ramionach dorosłego mężczyzny. Więc trzy takie miary, czymże są dla młodego, dociekliwego władcy?

Sam chwycił za łopatę i zaczął wbijać jej szerokie żelastwo w czarną, witoмиńską ziemię. Wykopał kilka sztychów. Bezskutecznie. Zerwał darń, przeorał czarnoziem. Nadaremnie. Nie dawał jednak za wygraną. Kopał z uporem i z mozołem. Nagle ostrze łopaty natrafiło na coś twardego, jak skała. Zadzwońił śpiewnie metal. Nie był to jednak pojedynczy kamień, lecz cały mur. A jednak...

Gdy tylko oczom jego ukazał się fragment ceglatego, czerwonego muru, wzgórze nagle drgnęło, ziemia, jakby się zatrzęsła i cała połać gleby osunęła się ze ścian zamczyska, jak topniejący śnieg z górskiego szczytu.

Oczom Witomy ukazała się przepiękna bryła zamku. Jego ściany lśniły białym blas-kiem, a promienie zachodzącego słońca odbijały się od kryształowych szyb. Przez chwilę zdało mu się, że to zamek z cukru. Dach wspierał się na wysokich, toczonych kolumnach, ze złotymi głowicami. Brama, kuta w białym piaskowcu, obejmowała swymi ramionami złote wierzeje.

Do bramy zaś wiodły schody, wyścielone wielobarwnym dywanem. Można było mieć wrażenie, jakby przed chwilą jeszcze ktoś tędy przechodził. Ale dookoła nie było żywej duszy.

A więc to prawda. Zamek stał przed Witomem w pełnej okazałości.

Nad bramą wznosił się dumnie kuty w białym kamieniu rodowy herb. Przedstawiał postać Gryfa. Fantastyczny był to twór, uskrzydłonego lwa, o głowie i szponach orła, przejęty z religii i legend Grecji, Mezopotamii i Egiptu.

Do kogo należał, kto w nim mieszkał, czy ci, którzy tu żyli, byli szczęśliwi? – rozmyślał Witom, przyglądając się tej niezwykłej budowli, dumnie stojącej na

szczytce wzgórza, na które tyle razy wchodził, które oglądał z każdej strony, ale nie przewidywał w najśmielszych oczekiwaniach, że kryje ono w sobie taki skarb.

Postanowił zajrzeć do środka. Nie brakło mu odwagi. Po schodach wyłożonych wielobarwnym dywanem, wspiął się pod złote odrzwia. Obawiał się, że będą zamknięte, ale gdy tylko nacisnął na złotą klamkę, drzwi otwały się bezszelestnie, ukazując przepastne wnętrze sieni.

Witoma rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu służby, czy choćby klucznika. Wszystko wyglądało tak, jakby tu jeszcze przed chwilą byli ludzie i toczyło się normalne, codzienne życie. Wydało mu się nawet, że czuje zapach kawy i waniliowego ciasta.

Krok po kroku przemierzał rozległą sień, stąpając po szachownicy lśniącej posadzki, ułożonej z biało-czarnych kwadratów. Oczom jego ukazały się schody, wiodące na piętro zamku. Ornamenty drewnianej balustrady zachęcały do wejścia. Zaskrzypiały schody. Jeśli ktoś tu jest, usłyszy mnie i być może wyjdzie mi naprzeciw, pomyślał Witoma i ruszył przed siebie.

Na piętrze ukazała się amfilada pokoi. Jedna komnata przechodziła w drugą. Drzwi do każdej z nich były uchylone. Pchnął lekko pierwsze, z czerwonego ciżu. Zapiszczały zawiasy, a oczy Witomy wypełniła karminowa czerwień. Była to sala czerwona. Szkarłatne ściany, rubinowy sufit, malinowe firany i zasłony, koronowy dywan i meble obite amarantowym materiałem. I ogień, ogień w kominu palił się krwistym płomieniem.

Ogień? – zdziwił się Witoma. Więc jednak ktoś tu mieszka. Poczul się jak intruz, niechciany gość w obcym mieszkaniu.

Mimo to szedł dalej. Pchnął następne drzwi i stanął w strumieniu zieleni. Soczyste zielone ściany przywoływały klimat lasu lub raczej ogrodu, sufit spowity był żywym bluszczem, dywany miały postać mchu. Przez firany, jakby utkane z poronnych leśnych mgieł, sączyło się zimne seledynowe światło. Obicia mebli – krzesel, foteli i rozłożystej kanapy jaśniały odcieniami szmaragdu. Nawet ogień igrał zielonym, bengalskim płomieniem.

Witoma uparcie kroczył dalej. Przez palisandrowe drzwi wszedł do sali błękitnej. Rozglądał się po niebiańskiej komnacie, oniemiały z wrażenia, gdy wzrok jego zatrzymał się na błękitnej sofie, dźwigającej nieruchomo leżące dziewczęce ciało. W lazurowym świetle spostrzegł dziewczynę w szatach ze złota i szafirowego jedwabiu. Tuż obok sofy na modrym dywanie leżała porzucona mandolina.

Witoma zbliżył się ostrożnie, tak by nie skrzypnęła podłoga, schylił się bezszelestnie i podniósł instrument. Patrzył na blade lica dziewczyny, która leżała na wznak, z rozrzuconymi za głowę rękami. Wyglądała zachwycająco pięknie. Nie wiedział tylko, czy śpi, czy umarła. Patrzył na nią długą chwilę, gdyż zniewalająca była jej uroda, jakże inna od tych dziewcząt, które znał. Poczul, że serce bije mu szybciej. Nigdy jeszcze nie przeżył podobnego uczucia. Nie, to nie możliwe, żeby umarła.

Na pewno tylko zasnęła, próbował przekonywać samego siebie, a serce trzepotało w nim, jak ptak zamknięty w klatce.

Ścisnął instrument i trącił struny mandoliny, wydobywając czysty, drżący, nieco łkający dźwięk.

Dziewczyna otworzyła oczy. Spojrzała na Witomę, jakby chciała coś powiedzieć. Ale zabrakło jej siły. Zbliżył się więc i pochylił nad nią. Wyszeptała ledwo słyszalnym głosem:

- Dotknij mnie.

Witoma położył swoją dłoń na jej zimnym czole, otoczonym puklem jasnych włosów. Blade jej usteczka natychmiast zaróżowiły się. Ponownie otworzyła oczy i zatrzepotała powiekami.

- Co za jasność – odezwała się słabym głosem.

- Jasność? Słońce już zachodzi.

- Tyle czasu spędziłam w ciemności. Tak długo, tak długo.

- Razi cię światło?

- Bądź tak dobry i zasłoń okno. Od tych promieni będę miała migrenę.

Witoma jednym skokiem znalazł się przy oknie i odciął blask zachodzącego słońca, zaciągając granatowe zasłony.

- Dziękuję. A teraz zbliż się i podaj mi rękę.

Natychmiast znalazł się przy niej.

- Potrzymaj choć przez chwilę moją dłoń w swojej, a odzyskam energię, która kompletnie ze mnie uszła.

I trwali tak przez długą chwilę, patrząc sobie w oczy.

Powracało do niej życie. Na bladych dotąd licach, pojawił się życiodajny rumieniec, wstępował w nią nowy duch. Uśmiechnęła się.

- Jak ci na imię? – spytał.

- Damroka.

- Księżniczka...

- Królewianka – odparła dumnie. Jak mnie odnalazłeś?

- Szukałem zamku, a w zamku odnalazłem ciebie.

- Co jedno ludzkie pokolenie wynurza się on z głębi ziemi i czeka na swego wybawcę. Na kogo więc czekał?

- Na imię mam Witoma. Pochodzę z pomorskiego rodu.

- Witoma? Czy to zdrobnienie od Witosława?

- Tak mówią.

- A nie mówią, że tego, kto odnajdzie mnie w zamku moich ojców, przywitają tu jak króla? Usiadła na sofie, spuszczaając na błękitny dywan bose stopy.

Spójrz, jaki to wspaniały zamek. Kiedy mój złoty trzewik znów dotknie zamkowej podłogi, znikną wokoło głuche bory, które jak pamiętam szczelnie okalały zamkową polanę, a w miejsce lasu pojawią się chaty szczęśliwych ludzi, którzy podobnie, jak ich król, królowa i królewianka, czekają wybawienia.

Och, ty mój wybawco! Znowu uśmiechnęła się, odsłaniając perłową biel zębów. Spojrzała na Witomę spod długich rzęs bardzo czule i obiecująco.

I wstanie nieznanemu światu lud, o którym dziejopisarze dawno przestali pisać i znów pługami będzie orał pomorską ziemię i statkami będzie pływał po bałtyckich wodach. I przypomni sobie świat, że ten kaszubski lud żył już niegdyś-niegdyś, w dawno minionych czasach i dziwić się będzie, że znowu żyje.

- Jakże się dostanę przed oblicze króla? – spytał Witoma, porwany wizją Damroki.

- Zbudzi się uśpiony, gdy tylko dotknę trzewikiem zamkowej posadzki, a wraz z nim królowa, matka moja i cała służba. Podaj mi więc, proszę, moje złote trzewiki. Muszą być, gdzieś tu, przy sofie.

Witoma schylił się usłużnie i pod sofą dostrzegł złote trzewiki królewianki. Przyklął na jedno kolano, jak rycerz składający przysięgę wierności i pomógł jej włożyć bosą stopę do trzewika. Podziękowała mu za to błogim uśmiechem. Witoma dostrzegł jednak w jej uśmiechu coś więcej niż błogość. W rozpromienionych oczach Damroki dostrzegł wdzięczność.

Gdy tylko stanęła na posadzce, życie wstąpiło w martwy dotąd, uśpiony zamek. Zrobiło się rojno i gwarno. Zagrała muzyka, a skulone dotąd kwiaty w oknach, wystrzeliły feerią bajkowych kolorów od jaskrawej czerwieni, po żółć, fiolet i amarant.

Zewsząd dochodziły ludzkie głosy.

- Damroka, Damroka! Słysząc było nawoływania, niosące się po komnatach. Gdzie jest Damroka? Król prosi ją na posłuchanie.

- Pójdźmy razem, zaproponowała. Król i wysoka rada na pewno zechcą poznać swego wybawcę. Chodź, przedstawię cię memu ojcu.

Szerokimi schodami dostali się na drugie piętro zamku, gdzie znajdowała się sala tronowa, lśniąca nieskazitelną bielą, oślepiająca blaskiem złota i kryształów. Na widok Damroki i Witomy zagrały fanfary, a sekretarz, z długim łabędzim piórem w ręku zapowiedział:

- Królu, oto córka twoja, w towarzystwie jakiegoś... tajemniczego... młodziana. Stanęli przed obliczem władcy, oddając mu należny hołd.

- Ojczy, Damroka przyklękła z prawej strony tronu i pocałowała ojca w rękę, stoi przed tobą mążny Witoma, który wybawił nas wszystkich, przywracając życie.

- Czekaliśmy na ciebie, młody człowieku, długie, długie lata. Ale widać, pisane było ci to odkrycie. Nic nie dzieje się bez racji, wszystko swoją ma przyczynę. Ty przyczyniłeś się do szczęścia mojego ludu i lud mój nigdy ci tego nie zapomni. Dziś dzień się już kończy, więc przyjmij zaproszenie na uroczystą wieczerzę, a jutro... jutro mianuję cię dowódcą moich wojsk.

Po wieczerzy, gdy zamek otuliły mroki nocy, król zaprosił Witomę na rozmowę do swego prywatnego apartamentu.

- Obserwowałem was cały wieczór. Wpatrzona była w ciebie, jak w obraz. Tańczyła tylko z tobą, innym odmawiała, gdy ją o taniec prosili.

- Masz królu nadzwyczaj piękną córkę.

- Tak, w istocie jest bardzo ładna, ale... cóż... Nie mogę tego przed tobą ukrywać. Ona... ona ma... serce z bursztynu.

I król zapłakał rzewnymi łzami, ukrywając twarz w dłoniach, przyozdobionych królewską biżuterią.

Nigdy nikogo nie pokocha. Jej bursztynowe serce nie jest zdolne do miłości.

- Czy ona o tym wie? – spytał Witoma martwym głosem.

- Oczywiście. Nie jest już dzieckiem. Pokochać może jedynie kogoś, kto podobnie jak ona ma serce z bursztynu. Dobranoc chłopcze, śpij spokojnie. Król zęgnął się, powstrzymując łzy.

O poranku Witoma wyszedł na dziedziniec. Niskie słońce z trudem przebijało się przez poranne mgły. Las rzeczywiście znikł, a w miejscu drzew stały chaty, zagrody, domostwa, które podobnie jak zamek, niegdyś zapadły się pod ziemię, a teraz na powrót, z dumą świadczyły o niezłomności kaszubskiego ludu.

Damroka czekała na ten moment od świtu. Spozrzegła Witomę z okien swej błękitnej komnaty i innym wyjściem z zamku, wybiegła mu na spotkanie. Powitała ją braterskim uściskiem, choć miał pragnienie ucałować jej policzki, ciepłe jeszcze od snu.

- Mam prośbę, ale musisz być ze mną szczerzy i odpowiadać szybko na pytania, zgoda?

- Zgoda, odpowiedział z uśmiechem.

- Jaką mnie znajdujesz, mów, jak mnie widzisz, mów szybko, jaka ja jestem, ha?

- Zdaje mi się...

- Mów od razu, nie zastanawiaj się, proszę...

- Mam wrażenie... jakbym cię znał od dawna. Od młodości, od dzieciństwa. Jakby łączyło nas coś więcej, o wiele, wiele więcej niż uroczysta wieczerza na zamku i kilka niezapomnianych tańców.

- I ja mam takie wrażenie, Witomie. Cóż to jest?

- Złudzenie...

- A jeśli nie, jeśli naprawdę znaliśmy się wcześniej? Cóż to jest w takim razie?

Zapadło długie milczenie. Przyłożyła swoją drobną dłoń do jego dłoni. Poczowała uścisk. Powędrowali razem ścieżką przez park.

- Masz bardzo dobrą i łagodną naturę, próbował w dalszym ciągu odpowiadać na jej pytania. Pięknie się uśmiechasz, delikatnie, a tak wyraziście, że w uśmiechu tym objawia się cała twoja dziewczęca duszyczka. Widzę ją wyraźnie, poznaję i rozumiem. Jesteś chętna i uczynna, potrafisz się dzielić wszystkim, co masz. Jesteś mądra i uprzejma, grzeczna i taktowna. Podobasz mi się. Bardzo.

Damroka na te słowa odpowiedziała mocniejszym uściskiem dłoni.

Szli przez park, wśród potężnych buków, których korony wyłaczało poranne słońce.



- Witomie, nazwałeś i potwierdziłeś obecność tych cech mojej natury, które dostrzegałam w sobie, ale nie byłam ich pewna. Nie miałam pewności, czy widzę siebie prawdziwą. Czy ja naprawdę taka jestem?

- Tak. Taką masz duszę.

- Skoro tak, to dlaczego moje otoczenie tego nie potwierdza? Rodzice, pokojówki, służba, cały dwór... Dlaczego ludzie mi najbliżsi są w stosunku do mnie niemi?

- Bo myślą, że ty masz...

- Co, co takiego mam? Ty jeden, tyś potwierdził moje istnienie. Ciebie jednego pokochałam.

Stanęli pod szerokim, bukowym pniem. Damroka oparła tył głowy o korę. Jej jasne, pszeniczne włosy wplątały się w chropowate bruzdy. Patrzyli na siebie, jak wtedy, gdy leżała na sofie, a on trzymał jej rękę, przywracając życie.

- Kochałem cię, zanim cię poznałem. Byłaś moim jedynym marzeniem.

- Ale ja...

- Tęskniłem za tobą, wołałem po nocach...

- Ale ja mam...

- Ileż to razy wyobrażałem sobie twą postać...

- Ale ja mam serce z bursztynu, czy więc naprawdę będę mogła cię pokochać? Mogę pokochać tylko tego, kto również ma bursztynowe serce, jak ja.

- Najdroższa, jakie to szczęście, że cię odnalazłem. I ja mam serce z bursztynu. Nie mogłem dotąd pokochać nikogo, ale teraz... teraz jestem najszczęśliwszy z ludzi.

- Damroka zmrużyła oczy. Tylko ona potrafiła śmiać się oczami. I to podobało mu się najbardziej. Zbliżył do niej swoją twarz i ustami dotknął jej ust.

- Kocham cię, Witomie, usłyszał. Przytulił ją mocniej, tak, że poczuła, jak bije jego bursztynowe serce, po czym wyznał jej miłość.

Gdy się o tym król dowiedział, radości na zamku nie było końca. Jeszcze tego dnia ogłoszono zaręczyny.

Ślub wzięli w oksywskim kościele. Ona, biała jak anioł, szła obok Witomy ubranego z srebrzystą zbroją. Długi, śnieżnobiały welon spływał z jej głowy aż do ziemi. Szli w stronę płonącego blaskiem świec ołtarza, by ślubować sobie miłość, wierność i uczciwość, aż do śmierci.

Żyli długo i szczęśliwie, w zamku, w którym dowództwo objął dzielny Witoma, a jego imię dało początek nazwie Witomino.

# GRABÓWEK



osłuchajcie, posłuchajcie! Opowiem wam dziś o obrzędzie tak starym, jak życie ludzkie stare jest na ziemi. Nikt już z żyjących nie może wam tego opowiedzieć, tylko ja, Jan. Opowiem wam, jak to bywało we wsi Grabowo, nazwanej tak z powodu olbrzymiej ilości rosnących wokół niej grabów, do dziś zresztą zwanej Grabówkiem.

Ja, Jan, opowiem wam, jak to bywało na wigilię świętego Jana, kiedy to dzień i noc walczą ze sobą, by w końcu doprowadzić do zwycięstwa dnia nad nocą, kiedy to światło bierze górę nad ciemnością.

Wieś, w której przyszedłem na świat i w której dawno, dawno temu umarłem, słynęła na całą okolicę z istniejącej tam warzelni i słodowni oraz browaru, w którym produkowano piwo. To browar właśnie czynił ze wsi miejsce ważne i cenne. Zwłaszcza od czasu, kiedy powstała tu karczma, tuż przy Królewskiej Drodze, wiodącej z Gdańska, aż do Pucka. Odwiedzali ją liczni goście, przejeżdżający nadmorskim gościńcem.

Z czasem przy grabowskiej karczmie powstał przystanek dylizansu pocztowego. Tu zmieniano konie, by po krótkim popasie ruszyć w dalszą drogę.

Ale nasza wieś słynęła nie tylko z piwa, które lało się coraz szerszą strugą. Wokół siedlisk rosły przepotężne graby, o szarych pniach, gładkiej korze, obsypane liśćmi w kształcie elipsy, na końcu jakby nieco zastrzone, które trzymają się na gałęziach do późnej jesieni. Drewno grabowe, jak wiadomo jest bardzo twarde. Najlepsze do wyrobu kół. Wiele więc było we wsi Grabowo warsztatów kołodziejskich. Nie trzeba daleko szukać, mój ojciec był kołodziejem, więc wiem coś na ten temat.

Życie płynęło tu spokojnie, chyba, że w sobotę czeladź w karczmie podocho-ciła sobie więcej, niż nakazywał rozsądek i młody chmiel mocniej zaszumił w młodych głowach.

Wtedy bywało gorąco, ale na ogół los mieszkańcom sprzyjał, zwłaszcza, że wieś miała również odwieczne prawo połowu ryb na pełnym morzu. Nikt więc nie chodził głodny, ani zaniedbany.

Jaka była tego zasadnicza przyczyna, trudno dociec. Przecież w sąsiednich wsiach, bieda zaglądała do okien niejednej chałupy, płonęły domostwa i stodo-

ły pełne siana i brogi ze zbożem, pojawiała się zaraza lub przychodziło morowe powietrze. A u nas w Grabowie mieszkańcy śpiewali:

Wsi spokojna, wsi wesoła,  
który głos twej chwale zdoła?

Choć wiadomo, że nie zawsze tak było. Nie od razu.

Żyłem w tej wsi dość długo. Bardzo długo. I swoje wiem. Wiem również, że szczęście i jaki-taki dostatek pojawił się we wsi za sprawą kani.

A tak, tak, kani. Dziwicie się? No to posłuchajcie, a zdziwicie się jeszcze bardziej.

W wigilię świętego Jana, mojego patrona, mieszkańcy wsi na okolicznych wzgórzach, przygotowywali ognie na wysokich drągach, kiedy tylko najkrótsza noc położyła się na ziemi.

Przyglądałem się z ukrycia, jak starsi chłopcy wkopują w ziemię długą żerdź, z przybitym na górze kołem. Wiem, że koła pożyczali od mojego ojca, który prosił o zwrot w stanie nienaruszonym, a oni przybijali koło do drąga, by postawić na nim beczkę z płonącą smołą.

Pewnego lata, właśnie w wigilię świętego Jana, przypatrywałem się tym przygotowaniom jak zwykle z ukrycia, aż zupełnie bezwiednie wyszedłem na rozstajne drogi, przy starym cmentarzu. Stała tam jakaś ciemna postać, niczym samotna, przydrożna figura. Z początku przestraszyłem się i było mi jakoś nieswojo, ale kiedy okazało się, że to nie żadna figura, tylko prawdziwa, żywa staruszka, która na dodatek zaczęła na mnie machać, poszedłem w jej stronę.

- Wiedziałam, że do mnie przyjdiesz, Janku. Chodź ze mną.

Zastanawiałem się, skąd mogła wiedzieć, że przyjdę i skąd znała moje imię? I zastanawiam się do dziś, choć już dawno nie żyję.

Nie poprowadziła mnie przez Grabowo, lecz poprzez okoliczne wzgórza. Mimo swoich lat, z łatwością wspinała się po stromiźnie.

Dopiero teraz zobaczyć mogłem, jak wiele drągów powbijano w ziemię i ile beczek ze smołą zapłonęło dzisiejszej nocy.

Staruszka podeszła do młodej brzoźki, o zielonych listkach, niewiększych od paznokcia, wyjęła spod drzewa przygotowane wcześniej wianki i kwiaty. Zaczęła przyozdabiać drzewko, pomagając sobie kolorowymi wstążkami, które wyjmowała z rękawa swej czarnej sukienki. Kiedy drzewko, kolorowe niczym choinka było już ubrane, schyliła się i zgrabnym ruchem wycięła je z ziemi, przy pomocy ostrego kozika.

- To dla ciebie, Janku – powiedziała.

- Dla mnie? Ale po co?

- Za chwilę ze wsi wyruszy procesja, a ty będziesz szedł na jej czele.

- Nie jestem ministrantem.

- Nie szkodzi, zaśmiała się staruszka. To procesja bez księdza. Wigilia Nocy

Świętojańskiej, to nie Boże Ciało.

- Więc co to za święto?

- Święto, nie święto. Obrzęd starszy niż chrzciny i bierzmowanie razem wzięte. Ścinanie kani.

- Ścinanie kani? – zapytałem zdziwiony, tym bardziej, że przed chwilą widziałem ścinanie brzozy. Co to jest takiego?

- Kania, każdy to wie, jest ptakiem. Ale dziwny to ptak. Nieposłuszny i krnąbrny.

- Jak niektóre dzieci.

- Mam nadzieję, że nie ty. To ptak drapieżny, należący do rodziny sokołów, ale dziarscy chłopcy potrafią schwytać kanię w sieci. I już mają tę łajdaczkę, od wczoraj.

- Łajdaczkę?

- Taka jest kania. Sama nieraz widziałam, jak podczas posuchy, lata wokół checzy i woła „pić, pić, pić”.

- Każde dziecko w czasie posuchy tak woła.

- Ale dzieciom wolno pić, ile tylko chcą. A kania nie. Jej wolno pić tylko wodę deszczową i do tego zebraną w zagłębieniach kamieni. Żadnej innej.

- Dlaczego?

- Kania popełniła kiedyś grzech.

- Jaki grzech?

- Gdy na Kaszubach była wielka susza, tak wielka, że powysychały wszystkie jeziora, rzeki, a nawet ich źródła, ptaki nie miały co pić. Wtedy Pan Bóg polecił im wykopać studnię. Wszystkie ptaki natychmiast zabrały się do roboty. Z mozołem uderzały dziobkami w twardą, wyschniętą ziemską skorupę. Tylko kania nie chciała kopać studni, żeby sobie nóg nie pobrudzić. I od tego czasu nie wolno jej pić wody poza tą, co w kamieniu stoi.

- To straszne – odrzekłem.

- Ale to jeszcze nie wszystko. Od tego czasu kania cierpi nie tylko za swoje winy, ale także nasze, ludzkie. I dlatego raz do roku wiodą ją na ścięcie.

- Obcinają jej głowę?

- Tak. Potężnym toporem.

- Ale dlaczego?

- Żeby oczyścić ludzkie plemię, z win, występków i grzechu.

- Jak to oczyścić? – pytałem, nie wiele z tego rozumiejąc.

- Zmazać nasze winy jej krwią.

Tego było już za wiele. Nie chciałem słuchać dalej jej opowieści.

- O, widzisz? Tam, już się zbierają. Już formują procesję.

Rozchyliła gałęzie świerku. Spojrzałem w dół. U stóp wzgórza zobaczyłem długi rząd dziewcząt i chłopców, ubranych barwnie, pomachujących kolorowymi wstążkami. Tuż za nimi z wielką dostojnością szedł Książę, ubrany w biały płaszcz i trójgrania-stą koronę. Za nim stał nieruchomo Kat, o strasznym

wyglądzie, przyodziany w czerwień, z okrytą twarzą, a w tym okryciu były wypalone dwie duże dziury na oczy. Na jego ramieniu spoczywał wielki, nagi topór.

- Tym toporem Kat obetnie jej głowę.

- Komu?

- Kani.

- Zabije ptaka?

- Tak. Poleje się krew. A ten ubrany na czarno, to Sędzia. Bo wszystko odbyć się musi zgodnie ze starym prawem. Sędzia odczyta wyrok, ale wiadomo już, że będzie to wyrok skazujący. Na śmierć.

- A gdzie jest kania?

- Rakarze przywiązują ją do drąga, powróstem za nogi.

- Będzie wołała "pić! pić!"

- A niech sobie woła psia jucha i tak jej łeb odpadnie.

- No, pora już na ciebie, Janku.

- Na mnie? – spytałem z przerażeniem.

- A tak, bo to ty właśnie poprowadzisz tę procesję.

- Ja? – dziwiłem się. Ale dokąd?

- Tak. Ty pójdziesz na przedzie, trzymając przed sobą to umajone drzewko.

Wzięła mnie za rękę i razem zbiegliśmy ze wzgórza.

Na dole okazało się, że ludzi jest o wiele więcej. Wyległa z domów prawie cała wieś. Gdzieś w tłumie stał zapewne mój ojciec, z grupą kołodziejów. Na samym końcu szykowała się orkiestra: diabelskie skrzypce, burczybas, trąbki i klarnety, wielki bombardon i czynele, olbrzymi helikon a nawet mała cytra.

Staruszka podeszła ze mną do Księcia, oddała mu głęboki pokłon, a on skinął lekko głową, zatrzymał wzrok na mnie. Nie wiedziałem, co mam robić. Próbowałem schować się za umajone drzewko, które oburącz trzymałem przed sobą. W końcu Książę uśmiechnął się i był to widoczny znak akceptacji. Powędrowaliśmy do przodu.

- Dokąd będziemy szli? – spytałem szeptem.

- Nie martw się, poprowadzę cię, choć sama będę w ukryciu, odpowiedziała staruszka i znikła w zaroślach.

Nagle pojawili się starsi chłopcy z długim drągiem wycelowanym prosto w niebo. Na końcu żerdzi szamotał się uwiązany ptak. To była kania.

- Ruszaj! – usłyszałem donośny głos, gdzieś z tyłu, za moimi plecami. Ruszyłem z umajoną brzoźką. Orkiestra zaczęła grać miarowo, w rytm marszowych kroków, raczej wolno i smutno. Dźwięki orkiestry co chwilę zagłuszał ostry i przeraźliwy pisk kani: „pić! pić”!

Jak można tak męczyć ptaka, pomyślałem, czy to nie za sroga kara za jej lenistwo? Przecież ludzie, dorośli i dzieci także bywają leniwi, ale nikt im za to głowy nie obcina.

Zrobiłem kilka kroków, gdy z boku dostrzegłem ukrytą w zaroślach staruszkę. Znów machała na mnie, jak wtedy na rozstajach dróg. Skinąłem głową, na znak, że ją widzę.

Szliśmy nieco pod górę, kierując się na szeroki plac, otoczony wysokimi, rozłożystymi grabami. Na środku placu stał słupek, wbity w ziemię, długi na łokieć i przyozdobiony wieńcami. Wszyscy ustawili się wokół słupa i zaśpiewali. Orkiestra zagrała nieco żywiej.

Kanio, kanio, kanio nieszczęśliwa,  
jesteś, jesteś prawie ledwo żywa.  
Pić, pić! głośno wołałaś po lesie,  
teraz kat już topór na cię niesie.

A chłopcy, którzy nieśli kanię przywiązaną do długiej żerdzi, tak, by każdy mógł tego ofiarnego ptaka dostrzec nawet z daleka, przywiązywali ją teraz z pomocą Rakarzy do słupa, stojącego na środku grabowego placu.

Kiedy skończyła się pieśń, wystąpił Kat z błyszczącym toporem i wymierzył trzydzieści kroków wzdłuż i wszerz. Wszyscy się przed nim rozstępowali, a on podniesionym głosem wołał:

Ustępujcie ludzie miejsca,  
żeby nie było nieszczęścia.

Ruszcie na trzydzieści kroków,  
matki, strzeżcie dzieci z boku,  
by nie stały blisko kata,  
bo to byłby koniec świata.

Zaraz kania umrze snadnie,  
za grzechy ludzi przykładnie.

Teraz kanię ściąć już trzeba,  
za grzech ludzki, by do nieba  
człeczka dusza doleciała.  
Kara to iście nie mała.

Ledwie ucichł głos Kata, a już Księżę w białym płaszczu przemawiał w te słowa:

Ludu, mój ludu,  
czekasz pewnie cudu.  
Brud spadnie z duszy,  
szatan kopię skruszy.

Twa dola taka –  
zginąć miał ptaka,  
a ptak ofiarny,  
los odwróci marny.

Człek będzie błędził,  
a sędzia – sądził.  
Co los przeznaczy,  
każdy zobaczy.

Sędziego dajcie,  
jemu ufajcie.  
On wie, co robić,  
by duszę zdobyć.

Po tych słowach Księcia, wyszedł na podwyższenie, ubrany w czarną togę Sędzia. I wtedy podeszła do mnie staruszka, ukryta dotąd w zaroślach.

- Teraz nastąpi najważniejszy moment. Sąd nad kanią. Sędzia przedstawi wszystkie występki i zaniedbania mieszkańców Grabowa. W końcu, za ludzkie grzechy zetną kanię. Wiec słuchaj...

Sędzia wyciągnął zwój spisanych przewin mieszkańców naszej wsi, nabrał powietrza i donośnym głosem zaczął czytać:

- Oskarża się pozwaną tu kanię, za wszystkie spowodowane klęski, nieurodzaj i głodny rok, za kiepskie połowy rybaków, za szkody w drobiu i w przychówku, za pijaństwo i rozpustę, za kłamstwa i wiarołomność, za brak miłości bliźniego i za pożądlivość, za kradzież, za brak czci dla starszych i niewiast, za złości i sprzeniewierzenia, za niegodziwość i lenistwo. To wszystko, co złe, słabe i chore w nas było w minionym roku, stało się za sprawą kani, którą za chwilę dosięgnie sprawiedliwość. Śmierć, śmierć, śmierć jej po trzykroć.

Do słupa, przy którym szamotał się przywiązany powrośtem ptak, zbliżał się dużymi krokami Kat.

- Pić! pić! – wołała kania. Pić! pić!

- Napijesz się zaraz własnej krwi, odrzekł Sędzia i były to z pewnością ostatnie słowa, które mogła usłyszeć kania.

Kat jedną ręką przycisnął ciało ptaka do słupa, drugą zaś spuścił lśniący w blaskach zachodzącego słońca topór.

A kiedy głowa kani spadła pod katowskim toporem, najzwawszy z chłopców, na wyścigi z rówieśnikami, wbiegł na szczyt wzgórza, zapalił smołę w beczce i łańcuchem wciągnął ją na pal.

Po chwili na wszystkich wzgórzach wokoło zapaliły się ognie, jak gwiazdy, które zeszyły z nieba na naszą kaszubską ziemię i zajaśniały pełnym blaskiem we wsi Grabowo.

Po ścięciu kani taki żal ścisnął mi serce, że zapomniałem, gdzie jestem i po co. Przepatrywałem własne moje grzechy i zaniedbania. Wszak to i ja nie zawsze mówiłem prawdę, nadużywałem ludzkiej cierpliwości i zaufania, zwłaszcza mego ojca, kołodzieja. Spijałem żółte, gorzkie piwo z niedopitych dzbanów, pod nieobecność karczmarza, zaciągnąłem się raz i drugi tytoniowym dymem. Oj, huncwot ze mnie i łotr nie lada jaki. Jabłka z sadu, nie moje, podbierałem, nie ładnie, nie ładnie. Mówiłem, że idę do krów, a szedłem nad rzekę, patrzeć, jak się dziewczęta kąpią i w słońcu wygrzewają. Oj, całkiem niedobrze. Żle, źle... I za to musiała zginąć ta niewinna kania, pod toporem kata. Musiała? Ależ nabroiłem w tym roku, powtarzałem samemu sobie. Usłyszała moje słowa staruszka, która właśnie w zaroślach się ukazała.

- Nabroił, a teraz boi się, jak kania na świętego Jana.

Moje rozmyślenia przerwała głośna muzyka, tym razem żywa i skoczna.

Zdążyłem tylko zauważyć, że każdy chłopiec podarował wybranej dziewczynie swoją czapkę, a ta oddawała mu ją, przybraną kolorowymi wstążkami i tańczyła z nim przez cały wieczór.

Zwłoki kani pochowano w głębokim dole, u stóp wzgórza, gdzie rozpalono duże ognisko i zabawa zaczęła się na całego.

Orkiestra przygrywała, a chłopcy i młodzieńcy popisywali się skokami przez ogień.

Zabawa trwała do świtu, który przyszedł o wiele wcześniej, niż można było się spodziewać. Była to przecież najkrótsza noc w ciągu całego roku.

Tuż przed świtem raz jeszcze wystąpił Księżę w białym płaszczu.

Tańczcie wesoło, to nocy kres,  
Już nie rozpoznasz: anioł to czy bies.

Tańcuj człowieku, śmieję się mocno żyj,  
patrz wciąż przed siebie, nie spoglądaj w tył.

Jeśli ci złamał duszę jakiś grzech,  
nie myśl, że to jest życia twego pech.

Twój los odkupi żywej kani krew,  
choć leży ścięta, jest w niej życia zew.

Nie pamiętam, co się działo ze mną w owej chwili. Widziałem lud tańczący wokół umajonego słupa, zbryzganego krwią ptaka. Wokoło na wzgórzach paliły się ognie, ale największy i najgorętszy płonął w moim sercu. Czułem, jak staję się oczyszczony z win, zaniedbań i grzechów. Czułem, jak staję się lepszy, mądrzejszy, doskonalszy. Czułem, że żyję... na nowo. To był prawdziwy cud.



Rozglądałem się dookoła w poszukiwaniu staruszki. Chciałem jej opowiedzieć o wszystkim. Lecz w ciemnościach, rozświetlanych płonąca smołą, nie mogłem jej dostrzec.

Do dziś nie wiem, kim była naprawdę.

Mogłem jedynie przypuszczać, że była Czarownicą. Ale o tym cicho, sza. Gdyby ktoś się dowiedział, oboje spłonęlibyśmy na stosie.

Najważniejsze było to, że czułem się oczyszczony. Jakby ktoś zdjął ze mnie cały ciężar moich win. Pomyślałem wówczas, że dobrobyt naszej wsi musi w jakiś sposób łączyć się z tym starym obrzędem. Oczyszczenie duszy gwarantowało rozkwit i tłuste lata.

Czułem się, jak nowonarodzony, choć wiedziałem, że poczucie to okupione jest krwią niewinnego ptaka, pochowanego wśród wyniosłych grabów, od których wzięła nazwę nasza wieś Grabowo, dzisiejszy Grabówek.

# KARWINY



ziało się to bardzo, bardzo dawno temu, kiedy nasza mowa brzmiała nieco inaczej niż dziś, choć każdy doskonale ją rozumiał.

Na miasto nie mówiono gród tylko gard, a stary gród to był Starogard. Na krowę zaś mówiono karwa, wiec łąki, na których się pasły, nazywano Karwinami.

Duże były stada na Karwinach, ale też i łąki rozległe, dorodne, porośnięte soczystą trawą.

O tym, że z krowy duży jest pożytek wie przecież każde dziecko, które rano grzecznie zjada zupę mleczną lub przynajmniej wypija kubek mleka.

Niejedna rodzina utrzyma się przy krowie, jeśli tylko o nią odpowiednio zadba.

Karwa, czyli łąka dla krów zamieszkała była także przez ludzi. Byli to głównie pasterze, doglądający trzody, która wypasana na łąkach przez letnie miesiące, w ogóle nie wracała do obór. Doiło się je na polu rano i pod wieczór.

Jesienią i zimą więcej było pracy w oborach, gdyż trzeba było zmieniać siano, karmić i doić.

Ale za to latem, praca pasterzy sprowadzała się głównie do pilnowania stada. Można więc było i poleżeć na łące, patrząc w płynące po niebie obłoki, można było pograć na fujarce lub po prostu pomarzyć, jak to miał w zwyczaju jeden z pasterzy, Jozkiem zwany.

Jozek mieszkał na Karwinach, wraz ze swą żoną Teklą, w skromnej pasterskiej chacie. Uprawiali swój ogródek i warzywnik dla własnych tylko potrzeb, gdyż dzieci jeszcze nie mieli. Żyli przykładowo i uczciwie, szanując się nawzajem oraz szanując własną pracę.

Tekla pomagała przy dojeniu, Jozek zaś całymi dniami wypasał, podśpiewując radośnie lub grając na fujarce, jaką sobie z wierzbiny wystrugał.

Bywało, że musiał jechać na rynek do Kartuz, zwłaszcza wiosną, by dokupić cielaki do stada. Dostawał wtedy od pana rogowe, specjalny dodatek za każdą zakupioną sztukę. Sporo się przy tym musiał natrudzić, targował, zbijał cenę, w końcu kupował i doprowadzał do stada na Karwinach.

Jozek z Teklą żyli pracowicie i zgodnie.

Nie podobało się to diabłu, kusemu Purtkowi, który w tamtych czasach krążył jeszcze po ziemi.

Zaczął więc myśleć ów Piekielnik, jakby tu duszę pasterza zdobyć.

Kusił go na wiele rozmaitych, sobie tylko wiadomych sposobów. Kusił go we dnie i w nocy. Kusił go na jawie i w snach. Nijak nie mógł osiąść hardej, odważnej i męskiej duszy Jozka, pasterza.

Ale uparty był Piekielnik. Wpadł więc na pewien koncept.

Tuż za ogrodem Jozka i Tekli, gdy oboje byli zajęci pracą przy krowach na karwińskich łąkach, diabeł przeorał pazurami kawał nieuprawianej ziemi. Zasadził na niej tabakę, roślinę iście diabelską. Udeptał ziemię kopytem i splunął siarczysto, by le-piej rośło.

A kiedy wzeszła, wysoka na jeden metr, obsypana zielonkawo-żółtym kwieciem, diabeł przywołał Jozka i rzekł:

- Hej pasterzu, tyś podobno bardzo jest mądry?!

- A i owszem, niczego mi nie brakuje.

- Ale tego, jak się nazywa to, com tutaj zasadził, przez całe swoje życie nie zgadniesz.

- To zielsko, też mi wielkie mecyje?

Podszedł bliżej. Schylił się. Ogląda, ogląda, wącha, dotyka, ale jak żyje takich dziwnych kwiatów i takich liści długich i grubych, skórzastych, jakby jęzory przedpotopowych gadów, jeszcze nie widział.

- No? – zaśmiał się Piekielnik z przekąsem. Nie będzie ci łatwo odgadnąć!

- A w czym ty Paskudniku o końskiej nodze, możesz lepszy być ode mnie?

- Jak to? – zdziwił się diabeł.

- Co ty wiesz, to i ja wiem.

- Takis pewny siebie, jakby ci rogi urosły.

- Dowiem się, jak to twoje zielsko się nazywa, odparł ambitnie Jozek.

- Ba, ale kiedy? – zapytał chytrze diabeł.

- Daj mi choć trzy dni.

Diabeł aż podskoczył z radości. O to właśnie mu chodziło.

- Zgoda, zgoda, zgoda. Trzy dni. Pamiętaj, jeśli zgadniesz, pole z tym zielkiem należy do ciebie, ale jeśli nie zgadniesz, twoja dusza należeć będzie do mnie. I basta. Ani słowa więcej.

I diabeł znikł, jakby się zapadł pod ziemię.

- Trzy dni – pomyślał Jozek i zmartwił się trochę. No i trzy noce – przypomniał, dodając sobie otuchy.

Jednak, gdy wrócił do domu, całkiem zmarkotniał.

- A cóż ty dziś Jozku, jesteś jakiś nie swój?

- Swój, nie – swój, twój, nie – twój...

- No to czyj, u licha?

- Ot, dobre pytanie. Może ja już do czorta należę, do biesa, okrutnego Piekielnika?

- Mój ty jesteś Jozku i wara Purtkowi od mego męża! Ślubowałaś?
- Ślubowałem.
- Kochasz mnie?
- Kocham.
- To tyś mój.

Ale, gdy Jozek opowiedział dokładnie swojej kochanej Tekli o zajściu z diabłem, doszedł sam do wniosku, że łatwiej było założyć się o własną duszę w porywie gniewu, niż w istocie odgadnąć nazwę tajemniczego zielska.

Tekla na to wszystko roześmiała się głośno i serdecznie.

- Ty pasterz doświadczony, a nie wiesz, że trzeba od razu chwycić byka za rogi? To samo z diabłem. Pozwól mężu, już ja to załatwię.

- Myślała do północy, myślała noc całą, nad ranem wpadła wreszcie na pomysł. Zerwała się pierwsza z postania.

- Wstawaj Jozek, krowy trzeba doić. Szybko, szybko...

- Wstał Jozek z łoża, jak co rano. Przeciągnął się rozkosznie. Resztki snu spłynął z głowy zimną wodą i z cebrzykiem pobiegł na karwińskie łąki.

- Wrócił po chwili, niosąc ostrożnie pełny cebrzyk, starając się nie uronić ani kropli.

- A teraz lej szybko mleko do centryfugi.

- No coś ty, Tekla? Odstawić je musimy na pański stół.

- Rób, co mówię. Lej do wirówki i zakręć korbą ile sił.

- Po co ci śmietana?

- Śmietana? Ja potrzebuję masła. Dużo masła.

- Masła? – zdziwił się Jozek, jakby pierwszy raz to słowo słyszał. To nie dla nas. To nie na nasz stół. Przecież my jemy chleb maczany w mleku.

- Rób, co ci każe. Jeśli nie chcesz przegrać z diabłem.

Wlewa więc Jozek mleko do centryfugi, wiruje, wiruje z całych sił, aż się gęsta śmietana odkłada. Zbiera ją łyżką drewnianą i wkłada do maselnicy. I już ubija miarowym, dudniącym łomotem. Łup, łup, łup stuka drewniany ubijak, łup, łup, łup powstają małe żółte grudki, łup, łup, łup już pełna maselnica żółtego, pachnącego masła.

Otarł pot z czoła, patrzy, a Tekla zupełnie naga przed nim stoi i mówi:

- Co się gapisz? Wysmaruj mnie masłem. Całą.

- Całą... masłem... pytał Jozek, nie wiedząc o co chodzi. A potem będę cię jadł?

- Oj, przegrać chcesz Jozku, własną duszę przegrać chcesz z tym piekielnikiem. Smaruj!

I Jozek, nałożywszy sobie masła na dłonie, zaczął rozprowadzać je po całym ciele Tekli. Wysmarował ją, jak jałówkę przed pieczeniem, aż świeciła cała w blaskach porannego słońca.

- A teraz weź nóż i przetnij pierzynę.

- Co znowu? Psuć naszą puchową kołdrę? Przecież to niemądre!

- Więc uważasz pewnie, że lepiej popsuć własną duszę? – spytała z wyrzutem. I już Jozek nożem rozcina poszwę kołdry. Wysypuje się pierze na podłogę.

- Ostrożnie, ostrożnie, kieruj wszystkie pióra na mnie. Albo lepiej będzie, jak ja się w tym pierzu wytarzam. I Tekla, wysmarowana masłem, położyła się na rozciętej kołdrze. Pióra przylepiły się do skóry.

Wstała. Przykucnęła. Zatrzepotała rękoma, jak skrzydłami. Do złudzenia przypominała ptaka. Wielkiego ptaka, o niespotykanych rozmiarach.

- Uważaj, bo pofruniesz – przestrzegał przerażony Jozek.

- Nie obawiaj się, zostanę z tobą. A teraz spróbuję uratować twoją duszę.

I tak wystrojona w białe piórka, wyszła z chaty, przez ogród, prosto na diabelskie poletko.

Kiedy diabeł dostrzegł to zjawisko, wielce się zdziwił, bo ani na ziemi, ani w piekle nie widział jeszcze takiej... dużej... kury.

Nie, to nie kura, przecierał oczy z niedowierzaniem. Jakie duże jajka musiałyby znosić. To sowa.

Podszedł bliżej i zaczął klaskać w dłonie, by ją odstraszyć.

- Uciekaj stąd – krzyczał. Wyłaż z mojej roli, brzydka sowo!

A gdy głośne klaśnięcia nie poskutkowały, zaczął rzucać w nią polnymi kamkami.

- Precz, precz z mojego pola. Zniszczysz całą plantację. Nie dla ciebie tabakę sadziłem, głupia sowo. Trzymaj się z daleka od mojej tabaki.

Gdy tylko Tekla usłyszała to dziwnie brzmiące słowo „tabaka”, dużymi skokami wycofała się z diabelskiego poletka i czym prędzej wróciła do domu.

-Wygrałeś, Jozku, wygrałeś! – wołała radośnie od progu. Powiesz temu smętnemu Purtkowi, że jego ziele to tabaka.

- Tabaka?

- Tak, tabaka, tabaka. Dusza twoja uratowana. Wygrałeś. Ale zanim pójdziesz do diabła, proszę umyj mi plecy.

W południe wyszedł Jozek na pole. Kręcił się tam już diabeł, zacierając szponiaste dłonie.

- No i co? Dusza twoja będzie moja. Już niedługo.

- Oj, chyba jesteś w błędzie, biesie.

- Coś mi się wydaje, że wciąż nie znasz nazwy tego zielska. Robisz tylko dobrą minę do złej gry.

- Otóż mylisz się piekielny kuternogo. To jest tabaka.

- Ach, zgiń, przepadnij – zaklął diabeł. A ja myślałem, żeś ty ciemny, jak tabaka w rogu! – krzyknął i ze złości zamienił się w płomień. Zniknął nagle, jakby zapadł się pod ziemię.

„Tabaka w rogu” – powtórzył Jozek, próbując zrozumieć sens tych słów.

Minęło srebrzyste lato, nadeszła złota jesień. Tabaka na diabelskim poletku uschła i szcerniała.

Pewnego jesiennego dnia przechodził przez Karwiny zakonnik ze zgromadzenia braci Kartuzów. Pytał o Pańską Drogą, którą najłatwiej dostać się do Kartuz. Zatrzymał się u Jozka, gdy tylko spostrzegł wysuszone ziele.

- Pochwalony, dobry ludzie.
- Teraz i na wieki – odpowiedział Jozek.
- Hodujecie tabakę?
- A gdzie tam, sama wyrosła.

- Samo nic nie rośnie, jeśli nie ma woli bożej. Ale skoro rośnie wam tabaka, dam wam starą, dobrą recepturę, jak z niej zrobić doskonały proszek. Jeśli szczyptę tego specjału nosem wciągniecie, rozweseli was, pokrzepi, doda zdrowia i pogody ducha. Kichniecie sobie raz i drugi, na zdrowie.

Zakonnik wsunął na głowę kartuzi kaptur swego czarnego habitu i zaczął recytować z pamięci:

Masz tu recept od tabaki,  
a przy tym nie byle jaki.  
Liście dobrze pomielone,  
łodygi drobno skruszone,  
następnie włóż do donicy,  
odrzuć co liche do śmieci.  
W donicy kręć tabacznikiem,  
skrapiaj trochę arszenikiem.  
Kichniesz niby stara krowa  
i zażywka już gotowa.

Jozek, jak usłyszał, tak zrobił. Nakichał się przy tym z Teklą, jak nigdy dotąd. Śmiechu było co nie miara.

Garść tego proszku zabrał ze sobą na karwińskie łąki, by poczęstować pasterzy. Spodobało się wesołe kichanie. Zasmakowała im tabaka. Prosili o jeszcze.

Wystarczyło zapytać, „chceme le so zažec?“, a już czarny proszek pojawiał się na wierzchu dłoni. Wciągany nosem rozweselał towarzystwo w najbardziej nawet smutnych chwilach.

Ale jak tę tabakę nosić, jak ją przechowywać, zastanawiał się Jozek. W szmatkach – niewygodnie, w chusteczkach – nieporęcznie. I wtedy przypomniał sobie słowa diabła, z którym zakład o własną duszę wygrał. „Tabaka w rogu”. To jest pomysł. Ileż to narzędzi powstaje z krowich rogów, tu na Karwinach, gdzie łąki czernią się i bielą od dojnych krów. Ileż instrumentów i ozdób. Róg myśliwski, używany w czasie polowania, którym myśliwi dają sygnał rozpoczęcia i zakończenia łowów lub pokotu, czyli ułożenia upolowanych zwierząt szeregiem, według hierarchii łowieckiej. To prawda, że krowie lub bycze rogi nie są tak piękne jak jelenia, czy sarny, ale ile z nich pożytku.

I Jozek tabakę nosił właśnie w krowim rogu.

Z czasem, kiedy rozpowszechnił się zwyczaj zażywania tabaki, zaczęto z krowich rogów robić bardzo ozdobne tabakiery.

Krowi róg przepiłowywano na trzy części, z których powstawały dwie tabakiery i z ostrego zakończenia – rożek. Kawałki rogu smarowano łożem, a następnie kładziono na rozżarzone węgle, by zmiękły. Wówczas nadawać im można było rozmaite kształty. Najbardziej popularny okazał się wygięty na podobieństwo ptasiego dzioba, rożek. Mały, poręczny, mieszczący się w kieszeni i łatwy w użyciu. Zawiera czarny proszek z diabelskiego ziela, który wszystkich rozwesela. Na weselach i na chrzcinach, w całej Gdyni i w Karwinach.

# POGÓRZE



bardzo, bardzo dawnych, królewskich i książęcych czasach, kiedy połączone wojska nieprzyjacielskie zadały cios księciu gdańskiemu, raniąc go dotkliwie, zebrał on swych zaufanych wojów i rzekł:

- Przegraliśmy, broniąc naszej ojczyzny. Trudno. Ale nie wszystko stracone. Wędrujmy tedy w stronę wschodzącego słońca, by uniknąć ponownego starcia z nieprzyjacielem. Odpoczniemy. Wzmocnimy się. Pokrzepimy. Da Bóg, doczekamy lepszych czasów.

Szli krok za krokiem w zwartym szyku. Już nie tak bojowi, jak dawniej, nie tak zwarci i dumni. Szli przez torfy i bagna pomorskiej krainy, którą zawładnął wróg, spod znaku czarnego krzyża. Smutni byli. Przegrani. Pobici. Smutny był gryf – drapieżny orzeł z lwimi łapami, na chorągwiach i tarczach rycerskich.

Szli w stronę wschodzącego słońca, aż przez ziemię lęborską i pucką, przez Rzucewo, Mrzezino, Pierwoszyno i Kosakowo dotarli na Pogórze, które księżniczka Zwinisława, żona Mściwoja I, wraz z Oksywiem i Obłuzem, zapisała pannom norbertankom w Żukowie.

Gdy wojsko gdańskiego księcia dochodziło do wyniosłych wzniesień Pogórza, jedno z nich otwarło się nagle. Zmęczeni długim marszem wojacy usnęli w ciepłym i przytulnym wnętrzu góry. Do snu ukołysały wycieńczonych rycerzy, potężne dęby, odwiecznie porastające szczyt nadmorskiego wzgórze.

Wojsko śpi pod ziemią, ale czujne jest, uważne i przytomne. W każdej chwili gotowe do ataku, jeśli tylko przyjdzie czas. Nikt nie wie, kiedy chwila ta nastąpi, ale wiadomo, że wojsko zbudzi się i zerwie na równe nogi, kiedy lemiesz pług, który orze ziemię, natrafi na ukryty w jej czarnych brzdach cynowy dzwon.

Na jego głos zerwie się śpiące wojsko i wyruszy z ukrycia do boju, czterema bramami, które otworzą się w stokach góry na cztery strony świata. Bój to będzie straszliwy, ale zwycięski. Wróg się tego wojska boi. Wie, że żadna siła mu się nie oprze. Wie, że wojacy nocą robią manewry. Ćwiczą wytrwale.



Hartują się i zagrzewają do walki. Nocną porą, z głębi ziemi dochodzi szcęk oręża, chrzęst broni.

A lud kaszubski dumny jest i cieszy się ze swego wojska, bo wie, że gdy przyjdzie czas, Pomorze odzyska wolność, a ziemia kaszubska dawną wielkość i chwałę.

Pogórze było wsią o siedmiu gburskich zagrodach i pięciu czynszowych. Jedna z bogatszych, gburskich zagród należała, z dziada pradziada do rodu Kąkolów.

Uprawiali oni swoją ziemię i prowadzili gospodarstwo. Nie rybaczyli. Trzymali się ziemi, a nie morza.

Minęły wieki. Przeszły lata. Śpiące wojsko nadal przebywało we wnętrzu góry, a wróg nadal gnębił kaszubską krainę. Cieniem na jej łąkach, polach i lasach kładł się już nie czarny krzyż, lecz czarny orzeł. Ale metoda była wciąż ta sama: zabrać kaszubską ziemię, zabrać kaszubską mowę, zabrać kaszubską duszę.

W checzy Abrama Kąkola mówiło się po kaszubsku. Jego żona i dwie córki rozmawiały i modliły się w języku ojców. Poza domem panował niepodzielnie język niemiecki. I nie było sposobu, żeby się inaczej porozumieć.

Córki Abrama, Róża i Lila uczęszczały do niemieckiej szkoły, bo innej nie było. I w tej szkole musiały mówić po niemiecku.

Zdarzyło się, że w czasie przerwy, obie siostry, wyciągając z tornistrów śniadanie, zaczęły rozmawiać, tak jak w domu, po kaszubsku. Usłyszał to woźny.

- Verfluchte Donnerwetter! – zaklął po niemiecku. Za to kaszubskie gadanie nie minie was kara!

Chwycił Różę i Lilę za warkocze i zaciągnął do kozy. I tam wymierzył im karę chłosty. Kijem po plecach. Zapłakane wróciły do domu.

- Nie chcę chodzić do takiej szkoły! – protestowała Róża.

- Nie będę się więcej uczyć po niemiecku! – wtórowała jej Lila.

- O co chodzi, moje panny? – spytał ojciec surowym tonem.

- Spójrz na ich plecy. Są sine od bicia, odezwała się bliska płaczu matka.

Wówczas ojciec posadził obie dorastające córki na kolanach. Różę na prawym, Lilę na lewym i rzekł:

- Miałem dziś bardzo piękny, lecz dziwny sen. Szedłem zboczem naszych podgórszych wzniesień. Idę, idę, aż tu nagle widzę, że dym się z ziemi wydobywa. Co u licha? – myślę sobie. Ognisko ktoś pali na szczycie? Podchodzę bliżej, dym zasnuwa mi oczy, jak mgła, ale dostrzegam ogień. Czerwone płomienie wyrastają z ziemi, jak czarodziejski kwiat. Podchodzę jeszcze bliżej, aż tu raptem z tych płomieni wylatuje orzeł i wzbija się w górę. Zdziwiony

byłem tym niecodziennym widokiem, no bo orzeł z ognia i w dodatku złotopióry? Co to może znaczyć?

- Sen mara, Bóg wiara – wtrąciła matka.

- Ale nie dawało mi to spokoju – opowiadał dalej ojciec. Więc poszedłem do starego leśnika, który umie czytać w ludzkich snach. Opowiedziałem mu, co mi się w nocy przyśniło, a on na to:

- Abramie! Dym i ogień, to wojna, a orzeł, to przecież nasza Polska, która w tej wojnie powstanie!

- A ja na to, że polski orzeł jest przecie biały, a nie złoty.

Mądry starzec zbliżył swoją pooraną zmarszczkami twarz i wyszeptał:

- Zrozum, Abramie, orzeł to Polska, a złote pióra znaczą, że dla naszej ojczyzny, której dziś nie ma na żadnej mapie świata, złote czasy nastaną.

I co wy na to, moje panny?

- Kiedy to nastąpi? – spytała Róża.

- Kiedy woźny kij na naszych plecach połamie! – odrzekła Lila i zaczęła recytować wiersz Bernarda Sychty.

Boże Ojcze, twoje dzieci,  
proszą wciąż o lepszą dolę.  
Rok po roku marnie leci,  
odczuwamy złą niewolę.

Boże patrz, my na kolana  
upadamy dziś w pokorze.  
Polska łzami, krwią zalana,  
krwią i łzami wskrzesz ją Boże.

Że tak będzie, serce czuje,  
dusza myślą w niebo wzłata.  
Polskę naszą Bóg miłuje,  
wskrzesz ją Panie, w krótkie lata.

Pewnego wieczoru odwiedził gościnną checz Abrama Kąkola staruszek leśniczy. Przyszedł z wielką, grubą księgą.

- A wiesz Abramie, co tu jest napisane? Czytajcie, o tu, tu.

Abram wziął księgę, usiadł przy stole pod naftową lampą.

- "Proroctwa królowej Sybilli" – uroczyście odczytał tytuł.

- Tu, w tym miejscu, tu, czytaj głośno.

- „Wybuchnie wojna między licznymi narodami. Wielu pożegna się z życiem. A ci, którzy przy życiu zostaną, będą całować ślady stóp ludzkich, z ra-

dości, że są jeszcze inni ludzie na ziemi. Stanie się to wszystko za panowania cesarza, który będzie miał jedną rękę suchą i z tego powodu zawsze z prawej strony będzie na konia wsiadał” – ojciec czytał powoli i z namaszczaniem.

- A właśnie! Czy to aby nie cesarz niemiecki, Wilhelm II? – zapytał gość.

- A juści to on! – zgodził się ojciec. To on lewą rękę ma suchą i bezwładną, jak gałąź. I zawsze z prawej strony konia dosiada.

- To by znaczyło, że wojna wybuchnie. Niebawem! – przepowiadał starszek, wyciągając w górę wskazujący palec.

- I że w tej wojnie Polska powstanie? – dopytywał się ojciec.

- Ćśśś... – starszek położył palec na ustach. Ani słowa więcej. Ja też nikomu o tym nie powiem. Stary jestem i śmierć już pewnie kosę na mnie klepie. Czy doczekam lepszych czasów?

Miała Róża narzeczonego, Antka – kowala. Dobre było chłopisko, obrotne i pracowite. Kochał się w Róży na zabój, chociaż jej rodzicom wydawało się, że to za wcześnie, by o takich sprawach myślała, ale miłość, jak i śmierć nie zna dnia, ani godziny.

Pewnego wieczoru Róża odwiedziła Antka w jego kuźni. Późno się już zrobiło, a oni stali przy kowalskim palenisku, wpatrzeni w siebie, oblani czerwienią żaru. Nagle usłyszeli czyjeś ciężkie, głośnie kroki.

- Kto to może być? – zaniepokoiła się Róża. Antek wyteżył słuch. Głuche dudnienie słyhać było coraz wyraźniej, jakby ktoś wielki i ciężki zbliżał się dużymi krokami.

Nagle zaskrzypiały drzwi i oczom ich ukazała się postać rycerza w zbroi.

Czerwone płomienie igrały miedzianym blaskiem na jego pancerzu.

- Jezus Maria! – krzyknęła Róża i schowała się za wielki miech.

Rycerz jedną ręką podniósł przyłbicę i donośnym głosem zapytał:

- Czy mógłbyś podkuć setkę koni?

- Sto koni, czterysta podków, tysiąc dwieście gwoździ... rachował szybko Antek. Owszem, czemu nie? Podkuję i setkę.

- Ale szybko, bo robota pilna.

- W tydzień podkuję wszystkie.

- W tydzień... zgoda. Zaczynamy od jutra.

- A co to za wojsko, rycerzu? – spytał Antek.

- To śpiące wojsko. Śpimy tu na Pogórze już paręset lat. Leżymy na posłaniach z wrzosów, mchów i paproci, zakuci w zbroje, w hełmach na głowach i z szerokimi mieczami przy bokach.

- I nikt tam do was nie zagląda?

- Chyba tylko Smętek, który tu grasuje na pogórskich ścieżkach, wzniesieniach i wydmach. Dlatego też smętna jest dola nasza i my sami smętni jeste-

śmy. Ale niedługo, niedługo już ruszymy w bój. I ruszą inni, śpiący w górach pod Starogardem, Chełmnem i Gniewem, w górach pod Puckiem i pod Sułęczynem i w Łysej Górze pod Gostomiem. Rycerz spuścił przyłbicę i odmaszerował chrzestując zbroją.

- Stu rycerzy, słyszałeś? W tych czasach? To dopiero będzie jazda!

Zbliżała się jesień. Siał trzeba było oziminę. Abram Kąkol zaprzął konia do pług. Wbił lemiesz w czarną ziemię. Orał w pocie czoła, krojąc glebę, by przyjąć ziarno.

Nagle coś jakby szarpnęło pługiem, aż się koń znarowił. Lemiesz zahaczył o przeszkodę.

- Kamień to, czy korzeń u licha?! Wiśta! – zawołał na konia. Ściągnął lejce. Na próżno.

- Wio, Gniady! – świsnął batem. Bez skutku. Pług ani drgnie. Tylko głucho dudnienie dobiega z ziemi, jakby rozkołysał się podziemny dzwon.

Od tego dźwięku zadrżała ziemia na całym Pogórze. Rozstały się na oścież cztery bramy najwyższej góry, na cztery strony świata. Zewsząd dał się słyszeć tętent kopyt końskich. Śpiące wojsko, obudzone głosem dzwonu, ruszało do ataku.



# CISOWA



isy rosły tu od niepamiętnych czasów. Choć najstarsze z zasłyszanych opowieści łączą je z osobą króla, Bolesława I, zwanego Chrobrym.

A było to tak.

Nad potokiem wypływającym z lesistych wzgórz, pojawiły się ludzkie siedliska, gospodarstwa i zagrody. Woda zawsze łączyła ludzi. Pozwalała też wykorzystywać własną siłę. Więc młyny, tartaki, czy kuźnie stawiano zazwyczaj nad wartkim potokiem, który napędzał ich obrotowy mechanizm, siłą płynącej wody.

Ale woda, zwłaszcza nieregulowana, kryje w sobie nieobliczalną siłę. Zabierały więc spiętrzone, wiosenne wody potoku, biegnące nieposłusznie, poza wcześniej wyżłobionym korytem, uprawną ziemię, pastwiska i łąki. Po kawałku, cicha na ogół i spokojna woda, rwała brzegi, zaorane, zasiane, koszone, pielęgnowane pracowitą ludzką ręką.

Jakże to tak? Człek z mozołem uprawia, stara się i troszczy, a potem woda bezwzględna i ślepa, jak los żywota, zabiera ludzką pracę i obraca ją w niwecz?

Zdarzyło się, że przejeżdżał przez osadę, Drogą Królewską, wiodącą dawnym szlakiem bursztynowym z południa Europy nad Bałtyk, król Chrobry, zmierzając do Kołobrzegu, by tam wśród wierutnych pogan biskupstwo zakładać. Królewski orszak minął właśnie Chylonię i zatrzymał się na rozkaz króla, zachwyconego pięknym krajobrazu, tuż nad potokiem.

- Konie rozkulbaczyć! Popas zrobimy w tej tu okolicy! – padły kolejne rozkazy.

Mieszkańcy zagród najpierw z niepokojem przyglądali się wojom królewskiej drużyny, uzbrojonym w łuki, oszczepy, topory bojowe, miecze oraz czerwone tarcze z wizerunkiem białego orła, a gdy rozniosła się wieść, że to sam król zawitał w te strony, postanowili oddać mu należny hołd.

Chrobry król przysiadł na granicznym kamieniu i ze smakiem zjadał sarni udziec. Usługiwało mu dwóch przybocznych: jeden z dzbanem wina, drugi z tacą chleba.

Wieśniacy oddali należne honory władcy. Król wstał, odrzucił sarnią kość, wytarł dłonie w siwiejącą brodę i zapytał:

- A co ja mogę dla was zrobić?

- Poradz nam królu, jak powstrzymać tę wodę, by przestała nam zabierać naszą drogą ziemię, która żywi nas i żywi naszą trzodę?

Zamyślił się król głęboko, aż przysiadł na kamieniu. Przyboczny dolał mu wina.

- Ano, jest sposób. Stary i pewny. Posadźcie nad potokiem drzewa. Korzenie wzmocnią grunt, schwycą grudy ziemi w swoje szpony i już jej nie oddadzą krnąbrnej wodzie. Najlepiej posadźcie cisy. Będzie tu jeszcze piękniej.

Orszak ruszył w swoją stronę, na zachód, do Kołobrzegu, a mieszkańcy osady, nękaniej nieposkromioną wodą, posłuchali królewskiej rady i posadzili nad potokiem cisy, drzewa o czerwono-brązowej korze, o igłach płaskich i nieostrych.

Z czasem zaczęto ów potok, płynący teraz wśród drzew statecznie, dostojnie i majestatycznie, nazywać Cisową Strugą, czy wręcz Cisowianką. Osada zaś zyskała piękne miano: Cisowa.

Po wyjeździe królewskiego orszaku, rozniosła się wieść na całą okolicę, że tak przemożny władca musiał tu oprócz cennej rady, jakieś skarby i klejnoty zostawić. Kielichy, naczynia, złote bransolety, pierścienie wysadzane drogocennymi kamieniami. Wszystkie te kosztowności ponoć w jednym miejscu, gdzieś w trawie pozostać miały.

Minęły lata, setki lat od tamtej królewskiej wizyty, a ludzie w Cisowej wciąż skarbów tych szukają.

Wciąż mają nadzieję, że uda im się odnaleźć pozostawione klejnoty i odmienić w ten sposób niełatwy los własnego żywota.

Wiadomo, że znaleźć je można tylko w czasie jednej, jedynej i w dodatku najkrótszej nocy. To noc świętojańska. Wiadomo też, że skarby ukryte są w miejscu, gdzie w czasie tej jednej, jedynej nocy, zakwita cudny kwiat paproci.

Tak przynajmniej twierdzi Borowa Ciotka, która podczas świętojańskiego wieczoru, zanim zapadnie noc, takie wymysły snuje, siedząc z dziećmi przy ognisku.

A dzieci, jak to dzieci lubią słuchać opowieści, zwłaszcza w czasie tak niezwykłej nocy.

Borowa Ciotka w szacie czerwonej, jak cisowy pień, przewiązana zielonym pasem z igliwia, usiadła właśnie przy małym ognisku, do którego dorzucała nasiona cisu, czarne kuleczki otoczone czerwoną osnówką. Dawały one przyjemną woń, choć wiadomo, że spożywać ich nie można, gdyż są trujące. Z tych samych powodów nie można spać w cieniu cisów, gdyż można się już z takiego snu nie obudzić.

Borowa Ciotka, opiekunka borów i lasów nosiła na czole diadem z szyszek. Chroniła leśne ostępy, broniąc wędrowców przed błędnymi ognikami, które diabelską mocą, mogą człowieka na złą drogę wyprowadzić.

Kiedy Borowa Ciotka opowiadała dzieciom przy ognisku bajki świętojańskie, dorośli stroili zielenią domy i figury przydrożne.

Niewiasty ognie rozpałały, kadzidła z ziaren bylicy czyniąc. Rzucały w ogień zielsko piołunowe. Ogień był to niezwykajny, lecz ofiarny, więc czysty być musiał, rozpalony dawnym sposobem, przez pocieranie dwóch kawałków drewna. Sypano zioła do świętojańskiego ogniska, skacząc przez płomienie, dla oczyszczenia duszy i ciała. Z tych samych powodów przeprowadzano przez świętojański żar bydło, by było zawsze silne, płodne i młeczne.

Dziewczęta wiły wianki z kwiatów, zapalały na nich świece i wpuszczały do Cisowianki, czyniąc wróżby małżeńskie i baczenie śledząc, który wianek z którym się połączy.

Zasłuchany w opowieści Borowej Ciotki mały Antek, nie zauważył, kiedy sam Rokitnik zbliżył się do ogniska, przynosząc pełne garści rozmarynu. Rokitnik był to duch psotny i figlarny, nie czyniący zła, ale potrafił zwodzić ludzi, plątać ścieżki, mylić drogi.

Borowa Ciotka dorzuciła szczyptę rozmarynu. Ogień strzelił większym płomieniem. Zapachniało słodko.

- Pamiętać musicie o jeszcze jednym, najważniejszym warunku – przypominała Borowa Ciotka, grożąc długim, kościstym palcem. Kiedy już znajdziecie się w lesie, jeśli w ogóle tam będziecie, bo to wielki strach wędrować po ciemnym borze, nie wolno wam się odwrócić, nie wolno spojrzeć wstecz, nie wolno obejrzeć się za siebie. Ani razu. Bez względu na to, co się będzie działo za waszymi plecami, idźcie przed siebie, aż ujrzycie cudny kwiat paproci.

Teraz, właśnie teraz, jest najlepszy czas po temu, by szukać skarbów w lesie, między gałęziami paproci. To pewne. Jak również pewne jest to, że o północy zakwitnie wśród nich, ten cudowny kwiat. Ale kto się odważy wejść do ciemnego lasu? – pytała Borowa Ciotka. Odpowiedziała jej głucha cisza. Takich śmiazków należało szukać raczej wśród dorosłych.

- Och, jak bardzo przydałyby się królewskie skarby, moim siostrom i braciom – pomyślał Antek. Ojciec – cieśla, ciężko pracuje, matka pracuje, a my wciąż chodzimy boso. Ledwie na jedzenie wystarcza.

- Nagroda jest wielka, ale wymaga odwagi. Nie wiadomo, co tam w lesie na człowieka czyha, co Mornica i Mogilnik na dzisiejszą noc przygotowali? – pytała Borowa Ciotka, wyciągając chude dłonie w stronę płomieni. Przynieś mi jeszcze Rokitniku wierzbowych gałązek. Będziemy do świtu palić świętojański ogień.

- Ulżyłbym drogim rodzicom moim, ulżyłbym kochanemu rodzeństwu – rozmyślał dalej Antek.

Gdy Rokitnik oddalił się, by spełnić prośbę Borowej Ciotki, Antek mimo strachu, obaw i niepewności, postanowił spróbować.

- Idę! – powiedział sobie, z całą mocą dziecięcego ducha. Idę! Ale czy wrócę? – odezwał się w nim głos sumienia. Jeśli nie wrócę, zginę, utopię się w leśnym bagnie lub zostanę pożarty przez wilki, czy niedźwiedzie, to i tak domyślą się wszyscy, że szukałem skarbów świętojańskiej nocy, nie dla siebie przecież, nie dla siebie. Idę!



Gdy ogień przygasł nieco, mały Antek wstał bezszelestnie i niepostrzeżenie wymknął się do lasu. Obejrzał się raz jeszcze za siebie. Wszystkie dzieci siedziały grzecznie wokół ogniska i czekały na następną opowieść Borowej Ciotki.

Antek przypomniał sobie najważniejszy warunek: w lesie nie może oglądać się za siebie, nie może odwracać się i spoglądać wstecz, bo cały czar nocy świętojańskiej pryśnie w jednej chwili i szansa znalezienia skarbów przepadnie. Więc był to ostatni raz, kiedy mógł obejrzeć się wstecz.

Teraz wchodził już w ciemnozieloną otchłań lasu.

Jak trudny i straszny jest to moment, wie tylko ten, kto sam znalazł się w takiej sytuacji. Pobudzona strachem wyobraźnia, nadaje zwykłym kształtom drzew, krzewów, czy kamieni niecodzienną postać.

Nagle widzisz przed sobą nieznaną osobę, diabła lub potwora, niewiedząc, że to przydrożny jałowiec. Cóż strach ma wielkie oczy.

Antek szedł powoli, ostrożnie. Wyciągał ręce przed siebie, wytrzeszczał oczy. Jego małe serduszko trzepotało z lęku, jak ptak schwyty w sieci.

- Nie dla siebie to robię – powtarzał w myślach, nie dla siebie.

Dookoła widział płonące ogniska, w niezbyt głębokim lesie, ale gdy uszedł parędziesiąt kroków, zapadły egipskie ciemności. Jedynym znakiem życia były dzikie śpiewy, skaczących przez ogień, które niosły się leśnym echem, hen, hen, po całej okolicy.

Blask ognisk przytłumiły coraz gęstsze zarośla. Jedynie gwiazdy migocące na niebie, rozsypywały tu i ówdzie świetlisty, seledynowy pył. Z czasem światło księżycy oblało srebrem czubki chwiejących się w objęciach wiatru drzew.

Złowróźnie pobłyskiwały szerokie kałuże wody na trzęsawiskach. Z błotnych torfowisk wydobywało się długie i ciężkie stękanie, jakby się w nich ktoś topił.

Na uroczystkach zapalały się ogniki – żywy znak, świadczący, że w tym właśnie miejscu diabły pieniądze przesuszają.

- Niech one robią swoje, a ja wiem swoje – upewniał samego siebie mały Antek, ostrymi oczami wpatrując się w mroczną pustkę.

Nagle w ciemności zabłyszczały czyjeś zielone oczy. To lis, powiedział szepem Antek, choć dobrze wiedział, że mogły to być wiecznie głodne ślepia rysia, czy żbika.

Dobrze widoczna w księżycowej poświacie ścieżka, wiła się wśród strzelistych dębów, rozłożystych buków, klonów, jarzębin i cisów, o czerwono-brązowych pniach, które teraz, podobnie jak wszystkie drzewa, spowite były czernią nocy.

Nie był tylko pewien, czy to z ludzkich domostw dochodziło ujadanie psów, czy też, o zgrozo, było to nocne wycie wilków.

Po chwili wściekle szczekanie ucichło i dało się słyszeć krzyk nadlatującej sowy. Antek skulił głowę w ramionach. I znów trwożliwe ujadanie roznosiło się daleko i szeroko po leśnych błotach i trzęsawiskach, jakby zbliżało się rozwścieczo-

ne stado. Antek wiedział dobrze, że jedynym ratunkiem w takiej sytuacji jest ucieczka na drzewo.

Nagle z oparów i błotnych mgieł zaczęła wynurzać się nadludzkich rozmiarów postać, głową przewyższająca najpotężniejsze sosny. Dużymi, dudniącymi krokami przecięła drogę Antkowi. Chłopiec w obawie przed rozpoznaniem, położył się na mchu.

To stolem, pomyślał w duchu, choć sądził dotąd, że żyją one tylko kaszubskich bajkach. A teraz słyszał na własne uszy, jak ziemia dudniła głucho pod jego ciężkimi krokami. Sosny dotykane przez olbrzyma, falowały, zrzucając na ziemię grad szyszek.

- A więc to jednak prawda. stolemy – wielkoludy obdarzone niezwykłą siłą, żyją naprawdę, rozmyślał Antek, tuląc do zimnego, wilgotnego mchu, rozpaloną twarz. Tak bardzo chciał się przyjrzeć postaci Stolema, tak bardzo chciał ją dokładniej poznać, zwłaszcza, że miał teraz ku temu niepowtarzalną okazję. Musiałby jednak odwrócić się, by spojrzeć za siebie wstecz, gdyż postać wielkoluda minęła go obojętnie, a tego, jak wiadomo nie można mu było zrobić. Cały czar nocy świętojańskiej prysnąłby, jak mydlana bańka.

Podobnie wyglądało spotkanie Antka z Mornicą. Demon ten wyjątkowo antypatyczny, o postaci starej, brzydkiej baby, roznosił o północy zarazę po wsi. Zarazę, czyli „czarną śmierć”.

Mornica naprawdę roznosiła chorobę. Bali się jej starzy, bali się i młodzi, ale sposobu na nią nie było.

Takoż i z Mogilnikiem, który wciąż pojawia się tam, gdzie z kamieni usypane są samotne groby, stare kurhany, czy zapomniane mogiły. Od mogiły właśnie bierze swoje imię. Wiezorami słyhać zwykle, jak płacze, zwłaszcza nad mogiłami samobójców.

Właśnie doszły do uszu Antka jego zawodzenia i szloch. Oznaczało to, że zbliżał się do czyjejś mogiły. Nieswojo zrobiło mu się na duszy. Pomyślał, że jego siostry i bracia spożywają teraz z rodzicami skromną wieczerzę, zalewajkę, albo rybną zupę, pewnie martwią się o niego, bo późna to już i ciemna pora. Ale cóż to będzie za radość, kiedy on, mały, bosy Antek przyniesie jeszcze dzisiejszej nocy całe naręcza kosztowności.

- Muszę, muszę odnaleźć kwitnący tej nocy kwiat paproci, upewniał się Antek w swym postanowieniu.

Nagle jeleń ogromnej wielkości z krzyżem świecącym seledynowym światłem między bujnym porożem, pędził jak szalony ponad trzęsawiskiem, sypiąc spod kopyt stos świecących iskier. Tuż za nim pojawiły się pochrzające dziki, łyskające białymi kłami, z pianą ociekającą z wydłużonych pysków. Dalej gnały płochy sarny, sprytne lisy, wciąż niespokojne o swój byt zające i pewne swego, harde wilki.

Antek zatrzymał się machinalnie. Już, już chciał wzrok odwrócić za siebie, gdyż takich dziwów nie widział jeszcze, jak żyje, ale w porę przypomniał sobie

o warunku Borowej Ciotki. Jeśli tylko raz obejrzysz się za siebie, czar tej nocy pryśnie.

Za zwierzyną, na wielkim, czarnym koniu, pędził szalony hrabia, Albert der Wilde, von Krockow z Krokowej, który co roku, w noc świętojańską przemierzał te leśne ostępy, z trzema wielkimi hartami u boku. Od tętentu końskich kopyt zakołysało się trzęsawisko. Nic dziwnego, że hrabią z Krokowej do dziś na Kaszubach straszą dzieci, mówiąc, że jeśli będą niegrzeczne, to porwie je szalony, Albert von Krockow. Ten sam, który na Herrenbergu, Pańskim Wzgórzu pod Krokową kazał się pogrzebać wraz ze swym ukochanym koniem i trzema ogarami.

Nie przypuszczał mały Antek, że kraj, w którym się urodził i żył, to kraj mameł i czarów.

Naraz, nisko nad leśnymi błotami dostrzegł migocące małe światełko. Wyglądało ono tak, jak gdyby człowiek niósł zapaloną latarnię.

Przeżegnaj to, Antku, znakiem krzyża, dobiegł go głos sumienia. Jeśli to człowiek – pospieszy ci z pomocą, a jeśli to diabelski fortel, to i tak nie dasz sobie z nim rady.

I tak skacząc z kępy na kępę, wiedziony błędnymi, diabelskimi ognikami, dotarł bosy Antek do polany, wyścielonej aksamitnym mchem. Wśród leśnych mchów, obsypanych srebrnym światłem księżycy, unosiły się szerokie liście paproci. W takim miejscu trafić się mógł tajemniczy kwiat, który zakwita raz w roku, w noc świętojańską. Ten, kto go znajdzie i zerwie, stanie się szczęśliwy i bogaty. O tym właśnie marzył młody Antek, nie dla siebie pokonując strach leśnej, świętojańskiej nocy. Nie dla siebie.

Na tle szerokich liści paproci, nie wierząc własnym oczom, niespodziewanie dostrzegł jaśniejący wszystkimi barwami tęczy, prawdziwie kwitnący kwiat paproci. Wyciągnął w jego stronę obie ręce. Był już pewien, że szczęście należy do niego i że dzisiejszej nocy, ten wielobarwny kwiat stanie się jego własnością.

Tymczasem przeraźliwy, druzgocący, powalający z nóg ryk niedźwiedzia, tuż za plecami Antka, był tak straszny, że chłopiec odwrócił się mimowolnie, chcąc ustrzec się od niechybnej śmierci i spojrzął za siebie. Dostrzegł ciemne, wełniane futro niedźwiedzia, który stał na tylnych łapach, wyprężając się w gotowości do zadania śmiertelnych ciosów, przednimi łapami.

I był to ostatni z obrazów tej niesamowitej, świętojańskiej nocy, podczas której można było znaleźć królewski skarb. W okamgnieniu czarodziejska moc opadła. Las stał się zwykłym lasem, w którym od czasu do czasu zbudzi się niespokojny, czujny nieto-perz lub sowa po pierwszym, płytkim śnie, zaczniesz nagle niespokojnie pohukiwać.

Antek dostrzegł kwitnący tej nocy, nieskończenie piękny, spowity w blaskach tęczy, kwiat paproci. Lśniły przed nim szczerozłote, królewskie skarby, ale strach o własne życie i o chłopięcą duszę sprawił, że odwrócił głowę. Czar prysnął, a wielobarwny kwiat paproci, świecący niezgłębionym blaskiem, zgasł, jak błędny ognik na uroczysku.

Nie wszystko jednak przepadło. Antek w dalszym ciągu, uparcie, choć nadaremnie szukając cudownego kwiatu, doczekał w tym miejscu świtu. Pierwszym widokiem, jaki dotknęły jego oczy w blaskach porannej zorzy, były cisy, drzewa o czerwono-brązowej korze.

Po chwili pojawił się Rokitnik.

- To ty jeszcze nie śpisz, wisusie? Borowa Ciotka pytała o ciebie i wysłała mnie, bym cię odnalazł. Co tu robisz?

- Przyglądam się cisom.

- O, to wspaniałe drzewa. Rzecz można królewskie. Mocne, elastyczne i giętkie, to najprawdziwszy skarb tej doliny. Drewno twarde i sprężyste doskonale nadaje się do budowy domów, stawianych bez użycia żelaza. Nawet gwoździe produkować można z tak twardego drewna.

Nie mówiąc o meblach, łukach, kuszach i innych podobnych narzędziach.

Wracaj do domu, do łóżka, ale już, póki ojciec i matka się nie przebudzą. A rano opowiedz swemu ojcu, cieśli, jaki znalazłeś skarb dzisiejszej nocy. Opowiedz o tym wszystkim mieszkańcom wioski. Niech wiedzą co mają.

I tak, za sprawą Antka, cisowe drewno okazało się ważniejsze niż świętojańskie skarby. To najprawdziwszy skarb tej okolicy, która do dziś nazywa się Ciso-wa.



# CHWARZNO



ziało się to w czasach dawnych, książęcych, kiedy to ziemią pomorską władali książęta kaszubscy, a dokładnie ostatni z nich, Mściwoj II. Mądry był to książę i zaiste bardzo dobry władca, dbający o swoich poddanych, zwłaszcza w starciach z natrętnymi Krzyżakami, którzy zawładnąć chcieli pomorską krainą.

Waleczny, a nieustraszony Mściwoj, za zasługi na polu bitewnym podarował część książęcego majątku ziemskiego dwóm swoim kuzynom: Stefanowi i Albrechtowi, którzy byli jego najbardziej oddanymi rycerzami.

Ziemia, jaką w nagrodę otrzymali mężni rycerze rozciągała się między Witominem, a Wiczlinem. Uprawiali ją z niemałym trudem i w pocie czoła okoliczni chłopci, którym zajęci wojennym rzemiosłem rycerze, powierzyli swoje dobra.

Uprawiali je, ocierając pot z czoła, gdyż nie była to ziemia łatwa ani do skopania, ani do zaorania. Słaba, piaszczysta, nieurodzajna, licha, jak większość ziem na Kaszubach. Ale mądrzy chłopci, w trosce o plon znaleźli sposób, by tę ubogą kaszubską ziemię choć trochę wzmocnić. Za przykładem dziadów i pradziadów, wysiewali specjalny rodzaj owsa, tak zwany chwartz, który tu w miarę dobrze wschodził, a przede wszystkim wzmacniał słabo rodzący grunt.

Na innych ziemiach dojrzewała pszenica, z której piecze się przepyszne, chrupiące bułeczki, złościło się żyto, z którego powstaje pachnący chleb.

Tu, na tych polach za witomińskim lasem rósł jedynie niski i na ogół marny owies zwany chwartzem. Nie należy mylić go z chwastem. Było to mimo wszystko zboże uprawne i jadalne, jedyne, jakie dało się w tej okolicy wyhodować.

W owych czasach zatargi z Krzyżakami spowodowały, że do walki stanąć musieli nie tylko rycerze broniący księstwa, czy mieszczenie, stający w obronie miast, ale również i piechota chłopska.

Zdarzyło się tak, że chłopci z dóbr rycerskich Stefana i Albrechta stanąć musieli w bitewnych szrankach. Na gospodarstwach pozostały więc same kobiety i dzieci.

Jak świat światem, bieda nigdy nie przychodzi sama, ale zawsze wiedzie za sobą jeszcze jakieś nieszczęście. Tak też i stało się w owym czasie. Nastąpiła bieda, a w ślad za nią pojawił się głód.

Kobiety mimo wysiłku nie nadażały z pracami w polu. Nie zebrały plonu.

Początkowo dobre dla siebie, życzliwe i wyrozumiałe sąsiadki pożyczaly sobie nawzajem, co tam która miała, tej co brakowało. Ale późną jesienią nawet zapasy się skończyły. Najtrudniej było o chleb. O powszedni chleb, o który każdy prosi w modli-twie, by go w domu nigdy nie zabrakło.

Matki, troszcząc się o los swoich dzieci, którym coraz częściej burczało w pustych brzuchach, skrzętnie zbierały w lesie jagody, borówki, maliny, jeżyny i grzyby, a następnie buczynę, kasztany i żołądzie. Te ostatnie meły na żarnach i z otrzymanej niby mąki próbowały zacząć ciasto. Kiepski był to zaczyn, kwaśny, chleb powstawał z niego gorzki, właściwie nie bochen, a placek, niewyrośnięty i z zakalcem.

Gdy skończyły się żołądzie i kasztany, biedne matki w rozpaczy próbowały zamiesić ciasto ze startej na proszek kory, odłupanej ze ściętego drzewa, ale kto by tam zjadał korę? Chyba tylko kornik, a i ten najmniejszy z chrząszczy dostaje się chętniej do miąższu drzewa, niżli pożera gorzką korę.

Ale gdy spadł pierwszy śnieg, głód zapanował na dobre. Okolica wyglądała przepięknie, jakby przyprószona prawdziwą białą mąką. Lecz samym widokiem, choćby był najpiękniejszy, nikt się przecież nie naje.

Zdarzyło się w pewnej chłopskiej chałupie, że głód przyparł do pustych ścian pięcioro dzieci. Dwie dziewczynki i trzech chłopców ślaniało się z wycieńczenia, a ich matka lamentując, rwała włosy z głowy. Sama już dawno straciła swój maczyny, mleczny pokarm, by choć najmłodszą dziecinę wykarmić. Wyglądała przez okno na zmrożone pola, w nadziei, że dojrzy kogoś, kto będzie mógł jej pomóc. Wyglądała na ściśnięte mrozem, oblodzone drogi, ale znikąd nie było nadziei. Spoglądała z żalem na swe pociechy, z których już żadnej pociechy nie miała. Wołałaby pewnie w takiej chwili, żeby nigdy nie przyszły na świat, skoro ten świat wyżywić ich nie może.

- Pójdą na tamten świat, pójdą nieboraki, jeden po drugim, jak Bóg miły, łkała głosem coraz słabszym.

Nagle, z daleka, na tle ośnieżonych pagórków od strony Witomina, wyłoniła się męska postać. Była nieco przygarbiona, jakby niosła ciężki worek, zarzucony na plecy. Przez chwilę owej zrozpaczonej matce wydawało się, że mężczyzna niesie wiązkę chrustu, ale po chwili okazało się, że to worek.

- Worek, jak worek, ale co w nim? – pomyślała z nadzieją, że chłopisko, które nie poszło na wojnę, z racji sędziwego wieku, czy choroby uratuje jej płaczącą z głodu dziatwę.

Może dźwiga groch, ach jakież byłoby to szczęście, może choć bób, albo jabłka. Ugotowałaby na ogniu, utarła, soku narobiła, bo dzieciaki na wodę już nawet patrzeć nie chcą. A może on po prostu niesie mąkę? Och cóż to dopiero byłaby za radość, dostać tak ze dwie, albo lepiej trzy garście. Niech by tam była nawet ciemna, nie pytlowana, niech by tam chociaż razowa była, już ona sobie poradzi. Upięcze podpłomyki, żuru nagotuje, cóż to będzie za święto w domu, jakie wesele.

A niechby tam nawet była nasza, swojska z chwartzu zmielona, nasza kochana owsianka, to czyż nie dziękowała by Opatrzności Bożej za łaskawość i miłosierdzie?

Chłop z workiem na plecach podszedł już na tyle blisko, że kobieta zdołała rozpoznać w nim sąsiada. Dalekiego co prawda, aleć zawsze z jednego siedliska.

Zarzuciła na siebie zgrzebną zapaskę, bo zamróz chwycił tego dnia siarczysty i wyszła mu naprzeciw.

- Szczęść Boże, gospodarzu.

Gbur spostrzegłszy niewiastę, chciał udać, że jej nie dostrzega i skręcił w bok.

- Szczęść Boże – chciała powtórzyć głośniej, ale wydobyła z siebie ledwie słyszalny szept.

Mężczyzna domyślając się jej potrzeby, od której nie były wolne przecież i inne gospodynie we wsi, kluczył drogami, chcąc zmylić ślad i jak najkrótszą drogą dostać się do swojej chaty, by w niej ukryć wór mąki i zaspakajać własny głód. Ona jednak lepiej znała okolicę i po chwili znów szła naprzeciw niego.

- Szczęść Boże, dobry człowieku. Postuchajcie mnie przez chwilę. Cierpię z moimi dziateczkami srogi głód. Domyślam się, że macie w tym worku cosik do jedzenia, a ja, a my od wielu dni niczego nie mieliśmy w ustach. Podzielże się choć odrobiną tego, co tam dźwigasz, a ja, a my oddamy ci w dwójnasób, w trójnasób, jak tylko mąż mój z bitwy powróci.

- A co ja tam mam, co ja dźwigam z takim trudem, durna babo, pot z czoła mi spływa, bo mąkę, albo groch niosę? No to ja wam powiem, że niosę kamienie, z takim mozołem. Skłamał chytry gbur. Kamienie, rozumiesz ty...

- Poznaję, że to mąka. Macie umazany mąką rękaw waszej kapoty. Wracacie od młynarza, dajcie choć trzy garsteczki, choć dwie...

- Kamienie będziecie jeść? Kamienną zupę gotować? A smacznego życzę, gotujcie, gotujcie.

- Widzę, że macie twarz i wąsiska uwalane mąką. Ulitujcie się, jeśli nie nade mną, to nad moimi dziećmi... poumierają z głodu.

- Czy ty w ciemnię bita, nie rozumiesz, że ja kamienie na nowe klepisko do sto doły niosę? Najpierw przygotuję nowe klepisko z tych to kamieni, potem chwartz wymłóczę, potem zaniosę na własnych plecach do młynarza, potem, dopiero potem, gdy będę od niego wracał, tą sama drogą dam wam mąki ile chcecie – kłamał dalej chytry chłop. A to białe na moich wąsach, to szron.

- Jeśli to nawet nie pszenna, żytnia, czy razowa, ale nasza owsiana, nasz kochany, dobry chwartz, to dajcie choć garsteczkę, Bóg wam wynagrodzi, za wasze dobre serce, prosiła ze łzami w oczach.

- Zejdź mi z drogi, bom srodze zmęczony od tego tu stania z workiem na plecach.

- Jeśli to nawet nie jest mąka, nasza dobra owsianka, to mogą być płatki...

- Płatków śniegu sobie nazbieraj, ty... Nie wytrzymał ciężaru i postawił worek



przy drodze. Widzisz jaka chmura nadciąga? Będzie sypać, więc zbieraj...cha, cha, cha, jak ci się płatków zachciało.

- Zlitujcie się, bo pomrzemy, wszyscy pomrzemy.

- Zejdź mi z drogi, muszę iść dalej, muszę te kamienie do stodoły zanieść. Schylił się, chcąc chwycić worek, by zarzucić go ponownie na plecy, ale worek ani drgnął. Spojrzeli sobie w oczy.

- Dajcie choć na bułeczkę, dajcie choć na podpłomyk, na jeden bochenek owsiany, prosiła, połykając gorzkie łzy.

- Co jest u licha? Jaki ciężki wór? Czy to ja tak osłabłem?

Męczy się chciwe chłopisko, próbuje ze wszystkich sił oderwać wór od ziemi, ale ni jak nie może. Łapie z góry, wór ani drgnie, łapie z dołu oburącz, nie może ruszyć z miejsca.

- Ejże, czy to jakieś czary? Niosłem mąkę owsianą, a tu nagle... ech tfu, co ja mówię, niosłem kamienie, no i... nagle przymarzły do ziemi. Poczekam aż mróz zelżeje. I ruszył przed siebie niepokieszony.

Kobieta również wróciła do chałupy. Dzieci umilkły. Posnęły. Sprawdziła każde z osobna, czy aby nie umarło z głodu, ale wszystkie oddychały jeszcze, słabym, gasnącym oddechem.

Bieda, która jako się rzekło, nigdy nie przychodzi sama, ale zawsze wiedzie za sobą jeszcze jakieś nieszczęście, ma to do siebie, że sama odchodzi.

Tak też się stało. Odeszła bieda wraz z powrotem dzielnych wojowników. Dzielni rycerze Stefan i Albrecht odprowadzali do wsi swoich chłopów, okazując im wdzięczność i szacunek z powodu ich odwagi i męstwa w starciach z Krzyżakami. A gdy zobaczyli jaki głód zapanował w siedlisku, przyzwolili chłopom korzystać do woli z zapasów zamkowych spichlerzy i spiżarni, przez całą zimę, przednówek i wiosnę, aż do pierwszych zbiorów. W ten sposób głód został zażegnany, a rycerze mogli się odwdziżyć wiernemu chłopstwu za poświęcenie na polach walki. Dzieci znów zaczęły bawić się, tańczyć i śpiewać.

Po okolicy szybko rozniosła się wieść o tym, jak chciwemu gburowi, co zmieciony chwazt na plecach dźwigał, worek w kamień się zamienił. Ten kamień stoi do dziś, w tym samym miejscu, a miejsce to, należące dawniej do dwóch rycerzy księcia pomorskiego Mściwoja, nazwano Chwarznem.

# BABIE DOŁY



ośrodku Kępy Oksywskiej, tuż nad morzem znajduje się głęboki jar, noszący nazwę Babie Doły. To najdłuższy i najdziwszy nadbrzeżny wąwóz. Długi prawie na dwa kilometry, zarosły krzakami janowca o żółtych kwiatach i zielonych strąkach, krwistego głogu, brunatnej grabiny oraz nadmorską, wiecznie zieloną sosną.

Ten niedostępny parów był siedzibą pracowitych borsuków i chytrych lisów.

W dole, w pobliżu morza wąwóz rozszerzał się coraz bardziej, tworząc obszerne polany z kępami buków i z olbrzymimi paprociami, wielkości dorosłego człowieka. U samego ujścia rosły gęste, kolczaste, o kłujących pędach osty nadmorskie, jakby stały na straży, strzegąc jakiejś tajemnicy.

Kotlina spadająca prosto w niebiesko-zielone wody Bałtyku, była miejscem dawnej, bogatej osady. Podobno istniały tu niegdyś ludzkie siedliska, ale pewnej burzliwej nocy, w czasie srogiego sztormu, rozszalałe morze wdarło się do kotliny i zabrało wszystkie chaty. Ciężki, morski piasek pokrył ślady dawnego osiedla.

Mieszkańcy Kępy Oksywskiej omijali to miejsce z daleka. Myśliwi nie schodzili do parowu, wiedząc, że o lisa w nim nie trudno, ba, nawet kłusownicy rezygnowali z zakładania w tym miejscu swoich sideł i wnyków.

- Dlaczego? – spytacie.

Otóż po pierwsze lękali się zatopionych niegdyś żywcem mieszkańców, których dusze w czasie burzliwych nocy, wciąż wołały o ratunek, a po drugie bali się starych bab, gnieźdzących się w głębokiej jamie, strzegących podobno olbrzymich skarbów.

Nikt ich nigdy nie widział. Nie wiadomo również ile ich było, ale powszechnie uważano, że mogą to być czarownice. Podejrzewano, że wycinają one krzaki janowca, na miotły, przy pomocy których fruwały z jednej łysej góry, na drugą.

Widywano po wielokroć na tle rozgwieżdżonego nieba, jak ze świstem suną na miotłach, z Kacka do Wierzchucina, z Wierzchucina do Gostomia, z Gostomia do Wieżycy, a z Wieżycy do Sopotu. Na sabat.

Omijali nadmorski parów szczególnie młodzi chłopcy, gdyż stare baby, podejrzewane o rzucanie czarów, miały zwyczaj prosić napotkanych chłopców, aby im pomogli odnieść całe naręcza naciętych gałęzi janowca do ich chałup.

Rzecz w tym, że one żadnych chałup nie miały. Żyły w grotach, wyżłobionych w glinianych zboczach parowu. Tam miały swoje pomieszkanie. Paliły ogień, gotowały, suszyły zioła i czyniły czary.

Zwabionych obietaną nagrodą chłopców, więziły najpierw w swoich pieczarach, a później sprzedawały za talary bałtyckim piratom, na ich zbójckie, czarne statki. Piraci potrzebowali młodych chłopców do pracy na okręcie. Młodym adeptom sztuki żeglarskiej natychmiast wybijali przedni ząb, albo co gorsza, wykłuwali oko, by ze wstydu nie wracali już nigdy do rodzinnego domu.

No, bo jakby miał się pokazać jeden z drugim, matce, ojcu, siostrom, czy braciom, bez zęba lub oka?

Młodzi, zwabieni przez staruchy i oddani piratom, szybko poznawali zbójcki kodeks. Ukraść komuś, to żadne zło i żaden grzech, ale zabrać coś komuś na okręcie, przywłaszczyć sobie czyjąś własność, znaczyło skazać siebie na obcięcie prawej dłoni. Mimo tak srogiej kary, dochodziło wśród piratów do kradzieży na statkach. To dlatego, niektórzy piraci, w miejscu dłoni nosili hak lub zwyczajny pogrzebacz, który nieudolnie zastępował utraconą dłoń.

Żaden z przywabionych przez złe staruchy młodych chłopców, nie ujrzał już ani swoich bliskich, ani swej rodzinnej wioski. Przepadał bez śladu, jak kamień w wodę. Znikał za horyzontem. Rozpływał się we mgle.

W niebezpieczeństwie pozostawały również małe dziewczynki, które piraci porwali na handel i sprzedawali w zamorskich krajach na targu niewolników.

Więc, gdy tylko na horyzoncie pojawiał się statek dwu lub trzymasztowy, z bocianim gniazdem i z czarną flagą z trupią czaszką i dwiema skrzyżowanymi pischzelami, na całej Kępie Oksywskiej ukrywano wszystkie dzieci. Te grzeczne i niegrzeczne. Bo grzecznych szkoda było, a niegrzeczne zawsze przecież mogą się poprawić, więc też byłoby ich żal, gdyby je piraci porwali.

Cóż to bowiem było za życie u piratów? Od rana pokład szorować ryżową szczotką, cerować żagle igłą z ości rekina, czyścić wysokie buty z cholewami, z czarnej skóry, panom oficerom, żeby błyszcząły, jak grzbiet fok, wynurzającej się z wody.

Wiadomo było, że najlepiej błyszczą szorowane wodą z cukrem. Ale jaka kuchnia wyda cukier do czyszczenia butów? Trzeba więc było cukier podkraść, a to z kolei groziło obcięciem dłoni. Musieli się więc chłopcy pokładowi uciekać do innych sposobów, a na oficerskich butach z cholewami wciąż widniały białe zacieki od morskiej, słonej wody.

Jasiek i Benio, dwóch braci z Oksywskiej Kępy leżeli właśnie zakopani w sianie rodzimej stodoły, gdy rozeszła się po wsi wieść, że na horyzoncie piracki trójmasztowiec się pojawił. Co jakiś czas, bowiem, do oksywskiego wybrzeża przybijały okręty piratów, zwożąc zdobyczne łupy, pochodzące z morskich napadów i rabunków.

Rodzice chłopców, w trosce o życie swych synów, ukryli ich w sianie i zabronili nawet głośno oddychać. O rozmawianiu, czy śmianiu się w ogóle nie było mowy, gdyż można było w ten sposób rozdrażnić niejedno pirackie ucho. Nie było również mowy o wychodzeniu z ukrycia.

Ale chłopcy, jak to chłopcy, młodzi, nieopierzeni i bez doświadczeń, chcieli świat poznawać na własną rękę. Rozebrali się niemal do naga, wypchali swoje ubrania sianem i pozostawili dwie kukły w stodole. Sami zaś udali się potajemnie na morski brzeg, tam, gdzie najdłuższy i najdzikszy jar uchodzi do morza. Ukryli się w kłujących ostach. Z zarośli spojrzeli w stronę morza. Piracki trójmasztowiec widać było, jak na dłoni. Cóż to był za wspaniały widok. Czarne burty okrętu lśniły w południowym słońcu. Na najwyższym maszcie, tuż nad bocianim gniazdem łopotała na wietrze piracka, czarna flaga, z wizerunkiem trupiej czaszki.

Na pokładzie panował ruch i zgiełk, jak na rynku w dzień targowy. Piraci dźwigali ciężkie skrzynie i toczyli ogromne beczki.

Okręt stał ćwierć mili od brzegu. Z pokładu zwodowano łodzie, na których umieszczano skrzynie i beczki, by transportować je dalej na brzeg.

A pracą na brzegu kierowały już staruchy. Jedna skrupulatnie liczyła skrzynie i beczki, druga zaś kierowała tragarzy w stronę wąwozu.

- Co może być w tych skrzyniach? – spytał szeptem Jasiek.

- Złoto... poruszał ustami Benio.

- A w beczkach?

- Talary. Ani słowa więcej, jeśli ci życie miłe, skarcił brata.

Chłopcy w milczeniu śledzili dalszy bieg wypadków.

Wiosłowe łodzie nieustannie kursowały między stojącym na kotwicy okrętem, a piaszczystym brzegiem, dostarczając skarby, zrabowane podczas pirackiego rejsu. Gdy cały towar został przekazany i ukryty w tajemnych czeluściach wąwozu, na brzegu znów pojawiły się obie staruchy. Jedna trzymała na postronku dwóch młodych chłopców, druga trzy małe dziewczynki. Płakały one rzewnymi łzami i błagały i litość.

- Nasi rodzice wykupią nas, podajcie tylko cenę, zlitujcie się, nie wysyłajcie nas w zamorskie kraje...

Ale okrutne staruchy nie okazały litości. Popychały je, by szybciej wsiadały do wiosłowej łodzi. Same pomogły piratom zepchnąć łódź na morze. Na nic się zdały łzy i głośne łkanie.

Do chłopców, którzy mieli związane ręce podeszło dwóch piratów. Jeden miał czarną opaskę na lewym oku. Znać, że został porwany za młodu i pozbawiony oka. Drugi, w miejscu prawej dłoni przytwierdzony miał żelazny hak. Widać, że parał się złodziejskim rzemiosłem.

- Otwórz gębę! – wrzasnął na chłopca. I chłopak stojący przed nim otworzył z prze-rażenia usta, a wtedy on, wprawnym ruchem wybił mu hakiem przedni ząb.

Zatrwożyli się obaj bracia, ukryci w krzewach kłującego ostu, sądząc, że drugiego z chłopców, pirat ostrym hakiem pozbawi oka.

- Teraz kolej na ciebie. Pozbawię cię przedniego zęba, żebyś nie myślał więcej o powrocie do domu. Otwórz gębę! I w podobny sposób uderzył drugiego hakiem w górną szczękę. Teraz dwaj okaleczeni chłopcy, trzymając związanymi rękoma krwa-wiące usta, wchodzili do łodzi. Staruchy machały im na pożegnanie miotłami, uwitymi z gałęzi janowca.

- Jak myślisz, spytał szeptem Jasiek, czy to są czarownice?

- Nie wiem, a właściwie nie jestem pewien. Ale możemy się o tym przekonać – wyszeptał blady z przerażenia Benio.

Istniał bowiem jeden, jedyny sposób, by sprawdzić, czy niewiasta żyje w zmowie z diabłem. Była to metoda znana obu braciom. Należało złapać węza, uciąć mu głowę, do pyska wetknąć ziarno grochu i zasadzić w ziemię. Wyrosła z pyska gadziny roślinę, zerwać podczas księżycowej nocy, pójść z nią rano do kościoła i tam, wewnątrz świątyni, podczas nabożeństwa, zgnać w trójkąt. Następnie wystarczy poprzez ten trójkąt spojrzeć na podejrzaną o czary niewiastę, by rozpoznać w niej czarownicę, po beczcze smoły nad głową.

Tak też zrobili obaj bracia. Groch w pysku gada podlewali obficie, tak, że łodyga wzeszła szybko. W oksywskim kościele na porannej mszy uczynili z niej trójkąt, z którym udali się do tajemniczego wąwozu. Ukryli się tym razem wśród olbrzymich paproci, wielkości dorosłego człowieka. Odczekali na stosowny moment, aż na brzegu pojawiła się starucha z naręczem janowca naciętego na nową miotłę.

Namierzili ją swoim niezawodnym przyrządem i z przerażeniem spostrzegli nad jej głową beczkę z gorącą, parującą smołą.

- To czarownica – wyszeptał struchlały Benio. Spójrz...

Chciał podać Jaškowi trójkąt z grochowej łodygi, gdy usłyszał nad sobą piśkliwy głos drugiej staruchy:

- A co wy tu robicie smarkacze?! Podglądacie nas? Ładnie to tak?

I starucha złapała Jaška za jedną, Benia za drugą rękę.

- Mam was, wisusy. Mam. Trzymam. Mocno trzymam i już nie wypuszczę.

Poczuli obaj, jak wbija swoje długie, twarde paznokcie w przeguby ich rąk.

- A teraz – do pieczary! Szarpnęła nimi i ruszyła przed siebie.

Chłopcy, mimo przerażenia, nie tracili głowy. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Nie będą służyć czarownicom, nie będą służyć piratom, nie dadzą sobie wybić przedniego zęba, ani wykłuć oka. Muszą uwolnić się, za wszelką cenę. Czarownica trzymała kurczowo, z całej siły zaciskając swe dłonie na chłopięcych rękach. Szarpała nimi, pociągała w złości.

- Chodź tu jeden z drugim, nauczymy was moresu.

Wyszli na brzeg. Na ten moment czekali bracia. Spojrzeli raz jeszcze na siebie i w tym samym momencie Jasiek prawą, a Benio lewą nogę podstawili pod nogi czarownicy. Fiknęła kozła, przewracając się na grząskim piasku. Chcąc ra-

tować się przed upadkiem, puściła ich ręce. A chłopcy lotem błyskawicy popędzili po brzegu. Usłyszeli tylko piskliwe pogroźki czarownicy, otrzępującej spódnicę z mokrego piasku:

- Poczekajcie, poczekajcie, już ja was urządzę!

Zziajani dobiegli do rodzimej zagrody. O wszystkim opowiedzieli rodzicom. Wiadomość o czarownicach z nadmorskiego jaru, rozniosła się po całej kępie oksywskiej. Dotarła nawet na dwór pomorskiego księcia Świętopełka, który osobiście polecił zorganizować zbrojną wyprawę, a skarby i kosztowności wydobyte z ukrycia w morskim jarze, przenieść do skarbcza książęcego w Gdańsku, by zasilić fundusz militarny w planowanej wojnie z Krzyżakami.

Mężczyźni z Kępy Oksywskiej, skrzyknęci pod kościołem Świętego Michała Archanioła, patrona rybaków i żeglarzy, uzbrojeni w kosy, widły, siekiery i bosaki, zapalili smolne żagwie i ruszyli całą gromadą w stronę przeklętego jaru.

Zaczynało dmuchać od morza złowrogo, jakby zbierało się na sztorm.

- Wykurzimy stare baby raz na zawsze.

- Spalimy je na stosie, bo to czarownice.

- Końmi porozrywamy bieśnice na ćwierci i damy rybitwom na pożarcie.

- Za ich zbrodnie.

- Za krzywdę naszych dzieci.

- Śmierć, śmierć, po trzykroć śmierć.

Morze huczało niespokojnie. Silne podmuchy wiatru rozpałały żagwie, a mężczyźni szli zdecydowanym i pewnym krokiem, aby dochodzić sprawiedliwości, przy pomocy siły.

Gdy zdecydowani na wszystko stanęli nad wąwozem, sztorm rozszalał się na dobre. Wściekłe grzywacze niemiłosiernie biły o brzeg, wdzierając swe spienione wody w każde zagłębienie, parów, czy kotlinę. Widzieli z góry, jak okrutne, rozszalałe morze wdziera się w odludny wąwóz i potężnym, spienionym swym jęzorem wybiera to wszystko, co kryły jego czeluście. Skrzynie pełne złota, beczki pełne talarów, na koniec dwie stare baby, handlujące dziećmi i czyniące czary, pracujące dla piratów i będące w zмовie z diabłem.

Pokrzykiwały:

- Ratunku! Ratunku!! – chwytając się brzegów skrzyni i beczek Na próżno jednak, na próżno.

Okrutne, lecz sprawiedliwe morze wylizywało wszelki ślad czarodziejskiej obecności.

Na koniec nieokiełznane morskie prądy podmyły zbocza wąwozu i zawaliły kotlinę ścianami piachu.

Gdy w końcu nasycone gorzką i słoną zemstą uspokoje morze cofnęło się, w miejscu głębokiego, długiego parowu pozostały niemałe doły.

Z powodu starych, okrutnych bab, jakie niegdyś mieszkały w tym odludnym jarze, miejsce to zostało nazwane, ku przestrodze następnych pokoleń, Babimi Dołami. I taką nazwę zachowało do dziś.



# KACK



otok płynął tu od niepamiętnych czasów. Wypływał z wysokich lesistych wzgórz, wesoło toczył swe szmaragdowe wody środkiem długiej, cudnej doliny, by zgodnie ze swym przeznaczeniem dotrzeć w końcu do modrych wód Bałtyku.

Dolina była rzeczywiście niezwykle piękna. Wypełniał ją świeży zapach młodych, soczystych traw, unoszący się po same szczyty okolicznych wzgórz, porośniętych gęstym lasem. Ich zbocza, wyłożone żarnowcem, rozświetlały okolicę, roztaczając dookoła oślepiający blask, zwłaszcza w słoneczne dni.

Nazywano ją Doliną Kaczego Potoku, ale równie dobrze można było ją nazywać Doliną Szczęścia, gdyż ludzie żyjący nad Kaczym Potokiem byli szczęśliwi.

Wartki strumień, w którym pluskały się pstrągi i łososie, umożliwiał pracę młynów i piarni. Stanowił również napęd hamerni, czyli kuźni.

Dostatnio i szczęśliwie żyło się mieszkańcom tej doliny, zwłaszcza w młynskiej osadzie. Bo wiadomo, młyn niejednego wyżywi. Jak powiadają: „Młynarska świnia, księżęca gospodynia i ekonomski koń, to jedno.” Wszyscy oni dobrze się mają.

A kamienie w takim młynie, stojącym nad potokiem obracają się same. I dolny – nieruchomy, tak zwany „leżak” i „biegun” – ruchomy, umocowany na wrzecionie, z „okiem” w środku, przez które wysypuje się ziarno, między trące kamienie.

Kaczy Potok nazwę swą zawdzięcza kaczkom, które nad potokiem, całymi dniami szczypały przepyszną, soczystą trawę, a pod wieczór taplały się w jego wodach.

Z czasem od Kaczego Potoku nazwę przejęła również osada, zwana Kackiem. Jej dziedzicem był pan Piotr, sędzia ziemski, który miał jedyną córkę, Małgorzatę.

Wiadomo było, że to ona właśnie przejmie w przyszłości dziedzictwo. Jedy-naczka.

Małgorzata, dziewczyna o jasnych, pszenicznych włosach i błękitnym spojrzeniu, była pracowitą panną, praktyczną i zapobiegliwą. Sama dbała o ojca, o dom i całe gospodarstwo, gdyż matki już na świecie nie miała.



Jak mówią: „U kogo matka, u tego główka gładka”.

Ojciec, mimo, że od pewnego czasu sam wychowywał i troszczył się o swą ukochaną córkę, jak wiadomo matki nie mógł zastąpić. Ale za to Małgosia starała się we wszystkim zastąpić matkę. Od świtu do nocy poświęcała czas sprawom domu i gospodarstwa. Miała wiele przyjaciółek. Za chłopakami nie oglądała się, uważając, za nauką ojca, że na wszystko w życiu przychodzi właściwy czas.

Była młoda, ładna, wesoła. Nie stroniła od zabaw i tańców, ale serca nie okazywała jeszcze żadnemu mężczyźnie.

Być może dlatego tak bardzo zdziwiło ją zachowanie tajemniczego mężczyzny i nie pierwszej już młodości, o nazwisku Lasota Gęsk z pobliskiego Orłowa.

Lasota był guślarzem. Potrafił leczyć, z najcięższych nawet chorób, czyniąc guśta, stosując zaklęcia, a nawet czary.

Małgosia, dziewczyna praktyczna, gospodarna i pracowita nie lubiła tych zjawisk o tajemniczej mocy. Nie lubiła również Lasoty Gęska, a nawet trochę się go bała.

Lasota był przystojnym mężczyzną, o nienagannych manierach, długich, czarnych włosach, zaczesanych do tyłu i czarnej brodzie, która czyniła go pełnym powagi i dostojenstwa guślarzem.

Lasota Gęsk upodobał sobie Małgorzatę i postanowił wziąć ją sobie za żonę. Obmyślił wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Najpierw swaty, czyli wreje, ze wszystkimi szykanami, jak nakazywał obyczaj.

Uda się więc do Małgosi, córki dziedzica i przedstawi jej całą sprawę, jeśli się zgodzi, a zgodzi się niechybnie, gdyż Lasota Gęsk partią jest poważną, szanowaną i uznaną w okolicy. Następnie odbędą się zrekowine, czyli zaręczyny, a w końcu ślub i wesele.

Tak myślał Lasota, zarzucając do tyłu czarną grzywę i głaszcząc swą czarną brodę. Małgosia myślała jednak inaczej.

Kiedy więc Lasota pojawił się w domu pana dziedzica, Piotra, który piastował urząd sędziego ziemskiego, Małgosia po prostu wyszła z domu, nie wiele sobie robiąc, z najzupełniej poważnych propozycji guślarza z Orłowa.

- Jak mogłaś, córuś moja, tak postąpić? – pytał zatroskany o jej los ojciec. Wiedziałaś przecież, że pan Lasota złoży nam wizytę w wiadomej sprawie.

- Jak to wiadomej? - Małgosia próbowała się usprawiedliwić. Mnie o niczym nie było wiadomo.

- Ależ to najprawdziwsze wreje, moja córko. Tak właśnie wyglądają swaty. A ty masz już swoje lata i czas ci za mąż iść.

- Źle wam ze mną, tatulku? – bliska płaczu Małgosia obejmowała ramionami szyję ojca. Źle?

- Dobrze. Bardzo dobrze, ale o twoje szczęście zatroszczyć się muszę. Znaleźć odpowiedniego męża wcale nie jest tak łatwo. Na całe życie...

A pan Lasota jest człowiekiem ustatkowanym, szanowanym, znającym swój

fach znachora, guślarza, który chorobę odczynia, czarami ulgę ludziom przynosi...

- Ale ja się go trochę boję. On ma takie ostre spojrzenie. Jego oczy, jak czarne diamenty, aż kłują, kiedy patrzy.

- Przyzwyczaisz się.

- Nigdy.

- Pokochasz go...

- Nigdy! – zdecydowanie krzyknęła Małgosia i wybiegła z domu.

Chodziła długo nad brzegiem Kaczego Potoku. Rozmyślała o ojcu, o Lasocie i o sobie, aż zmarła i wróciła do domu. Kończył się listopad. Jesienna szaruga dawała się we znaki.

Na samym początku grudnia Lasota Gęsk ponownie pojawił się w domu dziedzica Piotra, tym razem z dwoma pierścionkami, złotymi, jak włosy Małgosi.

- Zaręczynowe. Dla mnie i dla ciebie, Małgorzatko, oznajmił miłym głosem Lasota.

Ale dziewczyna nawet nie spojrzała. Wybiegła do kuchni. Ojciec z gościem pozostał sam.

- Moje zamiary są czyste. Na tegoroczne Gody pragnę poślubić waszą córkę. Urządzimy ucztę nad ucztami, z tłustych potraw i wystawnych win. Urządzimy ucztę, jakiej świat nie widział, by godnie uczcić nasz związek. Czy coś, a może ktoś stoi na przeszkodzie?

- Nie, nie, skądże, zaczął się tłumaczyć ojciec Małgorzaty. Zresztą najlepiej będzie, jak porozmawiacie razem.

- Ale ona mnie unika. Czuję to. Może mnie nie lubi?

- Mówiła, że się boi... to znaczy... obawia.

- Obawia się? Czego?

- Tego nie wiem. Ach, takie tam babskie gadanie, machnął ręką ojciec i sięgnął po kielichy, chcąc poczęstować gościa winem. Nalał czerwonego, jak krew trunku. Na Gody, powiadacie. Zaiste, najlepszy to czas, między Bożym Narodzeniem, a świętem Trzech Króli.

- Może na Sylwestra? – uśmiechnął się Lasota.

- Czemu nie? Czy to nie najlepszy czas, kiedy cała wieś wygania stary rok przy pomocy dzwonek, kołatek i grzechotek, którymi rozbrzmiewa Dolina Kaczego Potoku? Czy to nie najszczęśliwszy czas, kiedy w sadzie, w oborze, w chlewie, na polu, zaklina się urodzaj na cały przyszły rok? Jędrne jabłka, jędrne gruszki, jędrne śliwy, jędrne gęsi, kaczki, cielaki i jagnięta. Jędrne żytko na ten Nowy Rok.

- Jędrne i zdrowe dzieci, które przyjdą na świat w przyszłym roku. Ach, cóż to będzie za czas szczęśliwy?!

Tymczasem w drzwiach stanęła Małgosia z wazą parującej zupy.

- Och, co za uprzejmość i uczynność, co za maniery i wychowanie? – zachwycał się Lasota, mrugając znacząco w stronę ojca. Nie uciekła tym razem, dobra, miła dziewczyna.

Tymczasem Małgosia, nie zważając na przymilne słowa Lasoty, postawiła wazę na stole, rozstawiła talerze i zaczęła nalewać.

- A cóż to za wyborna zupa? – pytał miłym głosem pan Gęsk.

Gdy Małgosia wlała parę łyżek ciemnej strawy do białych talerzy, ojciec sądził po kolorze, że to jego ulubiona zupa grzybowa, z borowikowych kapeluszy. Gdy jednak sięgnął łyżką do ust, okazało się, że jest to... czarna polewka. Zbladł z przerażenia. Lasota Gęsk rozpoznał strawę chwilę później, po charakterystycznym zapachu. Nawet łyżki nie wziął do ręki.

- Czarna polewka? – zapytał, a w jego głosie słychać było gniew. Czernina z kaczki krwi? Dajesz mi kosza, droga Małgorzatko. Odmawiasz swoich względów. Nie będzie więc godów na Gody, nie będzie pierścionków i zaręczyn. Wszystko przepadło.

Lasota Gęsk wstał i jednym ruchem ręki odgarnął włosy do tyłu. Ano... zobaczymy! – rzucił na odchodnym i wyszedł z domu dziedzica.

- Nie chcesz go, twoja sprawa, ale żeby tylko się nie mścił, odrzekł ojciec. Z takim guślarzem, magiem, zaklinaczem, nigdy nic nie wiadomo.

Minęła wigilia i święta. Kończył się stary rok.

Pan dziedzic i jego córka, zapomnieli już o niewczesnych zalotach orłowskiego guślarza. Zwłaszcza, że Małgosia coraz śmielej spoglądała w oczy Sylwinowi z Kolibek, który kształcił się w Gdańsku. Ale guślarz, tak poczuł się dotknięty odmową zaręczyn, a następnie ślubu, że nie zapomniał o swej krzywdzie i niezawinionym wstydzie.

- Użyłaś Małgorzatko czarnej polewki, ja użyję czarnej magii. Zobaczymy, kto na tym lepiej wyjdzie. Albo ja będę twoim mężem, albo ty nigdy za mąż nie wyjdiesz.

Późnym wieczorem, ostatniego dnia roku, Lasota Gęsk zbliżył się niepostrzeżenie do wrót zagrody dziedzica. Dostrzegł przez okno Małgosię, szykującą się do sylwestrowej zabawy i spoglądającą w lusterko, stojące na stole. Utkwił w nią swój czarny wzrok, zmarszczył czarne brwi i wypowiedział czarne słowa guślarskiego zaklęcia. Podziałało natychmiast. Na stole, obok lustra, w którym jeszcze przed chwilą przeglądała się Małgosia, stała żywa kaczka. Miała pomarańczowy dziób i pomarańczowe, trójpalczaste pletwy. A na pamiątkę jasnych, pszeniczno-złotych włosów Małgosi, guślarz wyczarował kaczce złote pióra.

Zadowolony z czarów Lasota zaśmiał się złowróźnie i czym prędzej czmychnął do swego Orłowa.

- A to dopiero ojczulek się zdziwi, kiedy zamiast swej jedynaczki, zobaczy kaczkę, jakich pełno nad Kaczym Potokiem, pomyślał Lasota, docierając do swego domostwa. Czar działał.

Serce Lasoty wypełniała zawiść. Jego ambicje zostały urażone, a imię wystawione na szwank. Zawziętość była tak dojmująca, że zastosował kolejną karę dla krnąbrnej jego zdaniem Małgorzaty. Postanowił wysłać złotopiórą kaczkę, na obce wyspy zimnego morza, by była z dala od domu.

Na jeden tylko wyjątek przyzwalał. W ostatnim dniu każdego roku, a więc wtedy, gdy mieli się pobrać, mogła pojawić się w rodzinnym Kacku.

Odtąd raz tylko w roku wolno jej było wrócić zza sinych mór. Cały rok czekała na ten jeden, jedyny wymarzony dzień, kiedy to niskim lotem krążyła nad utraconą ojco-wizną. Trzepocząc zamasyżycie skrzydłami, słała złote piórka, na pociechę mieszkańcom Doliny Kaczego Potoku.

Rozniosła się wieść po całej dolinie, że tego, kto znajdzie takie złote pióro spotka szczęście. Byli tacy.

Na całych Kaszubach wierzone, że właśnie tego ostatniego dnia w roku, wywróżyć można przyszłość.

Starzy ustawiali w łupinach orzecha zapalone świece, uważnie śledząc, czyja najdłużej palić się będzie, ten miał sędziwej doczekać starości. Kobiety wróżyły z wosku i z fusów kawy, rzucały także za siebie trzewiki, chcąc wiedzieć, jak szybko za mąż wyjdzie jedna z drugą. Gdy rzucony trzewik ustawiał się przodem do drzwi, oznaczał, że dziewczyna szybko opuści rodzinne progi. Ale najczęściej i najchętniej dziewczęta z Doliny Kaczego Potoku wybierały się sylwestrową porą właśnie nad Kaczę. Wiadomo było, że niektóre z uronionych piórek złotopiórej kaczki wpadały do potoku.

Tego dnia młode kacewianki, przyjaciółki Małgosi klękały nad brzegiem Kaczej i czekały, czekały. Licja, Hańcia, Jopka, Jewka i Cila. A kiedy nadpływały złote piórka, migoczące oślepiającym blaskiem, musiały mrużyć lub zamykać oczy, tak silne biło od nich światło. Na oślep więc zanurzały ręce w zimnej wodzie i starały się wyłowić złote piórka.

I cóż? Jedna złapała źdźbło słomy, druga kawałek drewna, trzecia szyszkę, czwarta martwą pszczołę, piąta strzęp sieci. Zasmuciły się, gdy otworzyły oczy. A złote piórka popłynęły dalej, aż dotarły do fal Bałtyku.

Jaka to wróżba? – spytacie.

Posłuchajcie jeszcze chwilę.

Ta, która złapała źdźbło słomy, wyszła w nowym roku za gospodarza. Ta, której w ręce wpadł kawałek drewna, została żoną cieśli. Ta, która wyłowiła szyszkę poszła za drwala. Ta z martwą pszczołą pokochała bartnika, a ostatnia ze strzępem sieci, została żoną rybaka.

No i jak tu nie wierzyć w sylwestrowe wróżby?

Tylko żal Małgosi, zamienionej w złotopiórą kaczkę. Może to jednak lepszy los, niż być żoną guślarza?



# CHYLONIA



ziało się to bez mała trzysta lat temu, kiedy to w Chylonii, cud się zdarzył niezwykle na górze, wysokiej na dwieście stóp i mocno pochylonej.

Stała tam kaplica i cudowna figura świętego Mikołaja w biskupiej sutannie koloru dojrzałej wiśni, gdyż święty Mikołaj był biskupem. Od dzieciństwa wrażliwy na ludzką niedolę, wspierał biednych, wspomagał chorych, samotnych i opuszczonych. Ale nade wszystko kochał dzieci. Grzeczne.

Kilka kroków od kaplicy znajdowała się studzienka świętego Mikołaja, z której woda miała właściwości ozdrowieńcze. Ale zły jakiś człowiek, konia ślepego pod nią przyprowadził i obmył mu oczy kaprawe, przez co cudowną swoją moc utracił.

Ciągnęły w stronę chyłońskiej góry tłumy pielgrzymów, a kupcy i żeglarze, których w Gdyni nigdy nie brakowało, przed każdą podróżą prosili swego patrona o opiekę.

Pochyloną górę nazwano świętą, albo Górą Świętego Mikołaja. Z powodu wielkiej pochyłości owej góry, z dawien dawna wieś położoną u jej stóp nazwano Chyłowem, a następnie Chylonią. I tak jest dziś.

Górę okrzyknięto świętą, gdy ukazał się na niej mieszkańcom znad chyłońskiego potoku, patron ich kościoła, dobrze znany wszystkim, tak starym, jak i młodym, dorosłym i dziatwie – prawdziwy święty Mikołaj.

A było to tak.

Pewnego mroźnego poranka, kiedy chyłońskie dzieci podążały z lampionami na roraty, święty Mikołaj postanowił zejść z postumentu, stojącego przed kaplicą, by rozgrzać się nieco. Mróz bowiem był tęgi tej nocy i święty Mikołaj, mimo, że święty, mógłby się okrutnie przeziębć.

Kiedy dzieci weszły do kaplicy, święty zeskoczył z cokołu. Zrobił kilka przysiadów dla rozgrzewki, zacierał dłonie, chuchał, przytupywał, aż zmarznięte wrony, przerażone nieco tym widokiem, odfrunęły nad chyłoński potok, przy którym pracowały dwa młyny, górny i dolny.

Gdy święty Mikołaj rozgrzał się nieco, postanowił pójść do Gdyni, by spotkać się ze swym przyjacielem, świętym Janem Nepomucenem, stojącym przy Królewskiej Drodze, tuż przed wjazdem do wsi. Była to dobrze wszystkim znana tra-

sa, gdyż tą właśnie drogą podążał konno, kurier pocztowy z Berlina do Królewca przez Wejherowo, Chylonię, Gdynię, Oliwę i Gdańsk.

Święty Mikołaj wziął ze sobą worek na prezenty, ujął mocno swój biskupi pastorał i ruszył przed siebie, po chrupiącym śniegu.

Gdy dochodził do wsi Gdynia, gwiazdy pogasły i niebo jaśniało już łososiową zorzą.

- Pochwalony, święty Janie!

- Na wieki wieków...

- Amen, amen. Nie zmarzłeś? Dziś w nocy taki zamróz chwycił, że aż strach stać tak nieruchomo. Postanowiłem przybiec tu, do ciebie, byśmy razem mogli się trochę rozgrzać. Poza tym jutro są moje imieniny, dzień świętego Mikołaja, więc muszę zbierać dużo prezentów, by starczyło dla wszystkich chyłońskich dzieciaków. Pomożecie mi w tym święty Janie?

- A z miłą chęcią, święty Mikołaju.

- No, to skacz.

I święty Jan Nepomucen jednym susem opuścił przydrożną kapliczkę. Nie spojrzawszy, jak głęboki śnieg pod nią napadał i zapadł się w śniegu po pas.

- Na zdrowie wyjdzie ci ta śnieżna kąpiel, śmiał się święty Mikołaj.

- Ech, komży tylko szkoda, cała przemoknie.

- Śnieg suchy, bo mroźno, aż para bucha z ust. Ale my, te nasze święte szatki, gdzieś musimy zostawić, bo jak nas ludzie zobaczą, to nie przepuszczą i starania nasze o prezenty spełzną na niczym.

- Wstąpmy do karczmy na Kolibkach, to już niedaleko stąd, przy świętym Józefie. Może i jego uda się nam zwerbować.

Ruszyli dziarsko przed siebie. Gdy dochodzili do kolibkowskiej karczmy, słynnej na całą okolicę, od kiedy król Jan Kazimierz, młodszy syn Zygmunta III Wazy, zatrzymał się był w niej na obiedzie.

Przedtem weszli jednak na poranne pacierze do kościoła świętego Józefa, który sam hrabia, generał Józef Przebendowski, właściciel dworu w Kolibkach, przed laty ufundował.

Święty Józef zgodził się im towarzyszyć. Pomogli mu zejść z ołtarza, gdyż miał już swoje lata.

Wszyscy trzej wstąpili do karczmy, gdzie raczyli się owsianką na mleku. Tam też zostawili swoje święte szaty, przywdziewając na siebie szubę i kożuchy, które wisały w sieni.

- Nie wiadomo czyje są, ani do kogo należą. Tyle ludzi tu zachodzi, to może i kto zostawił – dziwiła się karczmarka.

- Zimą? Dziwne to – zauważył święty Jan Nepomucen.

- Ale panowie tylko pożyczają. Przecież oddacie...

- Oddamy, oddamy jeszcze dziś.

I trzech mężczyzn odzianych w grube kożuchy i podbitą futrem szubę wyszło na mróz. I szli od Kolibek przez Orłowo do wsi Gdynia. Zatrzymywali się po dro-

dze w domostwach, co bogatszych gburów, w chatach rybackich, w chłopskich zagrodach. Nastawiali wór świętego Mikołaja na ofiarowane rzeczy. Były to zabawki, czy ubranka, z których wyrosły już dzieci, czasem jakieś owoce, jabłka, czy gruszki, przechowywane w sianie, kryjące w sobie wszystkie zapachy i smaki lata, konfitury w słoikach, kandyzowane śliwki, a także łakocie, którymi każde dziecko lubi sobie osładzać gorzkie chwile.

Dobrzy ludzie nie szczędzili im serca, okazywali swą dobroć jedynie za słowa: „Bóg zapłać”.

To już jutro nadejść miał ten najbardziej ulubiony dzień adwentu, czasu oczekiwania na narodziny Jezusa, dzień świętego Mikołaja.

Worek wypełnił się po brzegi, aż święci pańscy zaczęli obawiać się, czy nie pęknie od nadmiaru prezentów, gdy tym czasem drogę trzem towarzyszom zastąpił koń, a na nim wójt, zaś ze wszystkich stron zaczęli nadbiegać ludzie.

- Łapaj, trzymaj złodzieja! – krzyczał wójt, spinając konia, który aż przysiadł na zadzie, a przednimi nogami wierzgał w powietrzu.

- W imieniu prawa aresztuję was, pod zarzutem kradzieży, włamań i rozboju – wójt wykrzykiwał każde słowo.

- Potwierdzamy to, my przysięgli – wykrzykiwali zdyszani, a para buchała im z ust.

- I my, ławnicy, potwierdzimy to w sądzie.

Tymczasem dwóch osiłek krępowało ręce świętych, powrozem.

Worek, widoczny dowód przestępstwa, podano wójtowi.

- Do sądu z nimi!

- Przed sąd!

- Do sędziego!

- Nareszcie ich mamy, rabusiów, rzezimieszków! – wołali poszkodowani, przez jakichś nieznanymi sprawców.

I tak skrupowanych świętych Mikołaja, Józefa i Jana Nepomucena przed sąd przywieźli.

- Wstać, sąd idzie – krzyknął woźny. Weszło trzech sędziów do izby. Wstali wszyscy, po czym znów usiedli na drewnianych ławach.

- Rozpoczynam rozprawę przeciwko trzem złoczyńcom, którzy od pewnego czasu nie dają spokoju mieszkańcom naszej wsi i okolic. Włamują się do domostw i kradną, co popadnie. Zgłoszono również dwa pobicia. Widziano trzech mężczyzn w długich kozuchach z workami na plecach. Ani chybi, że to wy.

- Imię?

- Mikołaj – odezwał się jako pierwszy, gdyż miał poczucie, że to on właśnie jest powodem tego zamieszania i że naraził świętych współbraci na taki szwank.

- Nazwisko?

- Święty.

- Święty, a kradnie? – zaśmiał się sędzia, a po sądowej izbie przeszedł szmer.

- Urodzony?



- W Patarze.
- Gdzie? – spytał pisarz sądowy.
- W mieście Patara, w Azji Mniejszej. Daleko stąd.
- Piszcie: azjata – nakazał sędzia.
- Następny. Imię?
- Jan.
- Nazwisko?
- Nepomucen.
- Urodzony?
- W Nepomuku.
- A to gdzie?
- Koło Pragi, w Czechach.
- Aż z Czech przyjechał tu kraść?
- Dalej! Imię?
- Józef.
- Nazwisko?
- Święty.
- Ach, to brat tego z Azji. Piszcie: azjata.
- Ale ja się urodziłem w Palestynie.
- No, to piszcie: Żyd.

Ufff, wreszcie koniec tych formalności. Możemy zabrać się do sądenia. Ale co im sądzić? – pyta najstarszy sędzia tego po prawej stronie. A tamten mu do ucha szepce, ale tak głośno, że cała izba i oskarżeni słyszą:

- Śmierć.
- Co im sądzić? – pyta tego po lewej.
- Śmierć – wyszeptał przez bezzębne usta.

Wstał najstarszy sędzia i nabrawszy powietrza, donośnym głosem zawołał:

- Wszyscy trzej będą wisieć. Jeszcze dziś.

W izbie powstał zgietk. Jedni wołali: powiesić, powiesić! inni: tylko wychłostać ich! jeszcze inni: do więzienia!

Zasmucili się święci pańscy. Sposepniali. Święty Józef spuścił nisko głowę i wodził palcem po zakurzonej podłodze.

Nagle rozległy się trzy głośne uderzenia drewnianym młotkiem.

- Macie coś na swoje usprawiedliwienie? – spytał sędzia.

Zaległa martwa cisza.

- Pytam, czy coś macie na swą obronę?

Cicho było, jak makiem zasiał.

- A ty co tam piszesz? Do ciebie mówię, Żydzie.

- Piszę na ciebie wyrok – odezwał się Józef, głosem bardzo poważnym.

- A jaki to wyrok piszesz na mnie palcem po kurzu? – zapytał z przekąsem sędzia.

- Coś ty wczoraj wieczorem robił?

Sędzia otworzył szeroko oczy. Zbladł i zaniemówił z przerażenia.

- Czy nie przegoniłeś z progu swej chaty biednych, głodnych dzieci?

- A skąd wy to wiecie, Żydzie? – spytał sędzia drżącym głosem.

- A ty coś wczoraj wieczorem robił? – zwrócił się święty Józef do tego po prawej.

Drugi sędzia otworzył szeroko gębę ze zdziwienia.

- Czy nie biłeś własnych dzieci kijem sękatym, aż do krwi? Tak uczysz sprawiedliwości?

- A ty? – zwrócił się do tego po lewej stronie.

Ale ten zaczął kręcić bezzębną głową i machać rękami, żeby tylko święty Józef nie spytał, bo wstydu wielkiego na całą wieś by mu narobił.

I znów zaległa w sądowej izbie grobowa cisza.

Święty Józef podniósł się z ławy i powiedział do swych towarzyszy: pójdźmy stąd, bracia.

Na to sędzia główny, który nie mógł uwierzyć w to, co się stało, zapytał:

- A skąd wy o tym wszystkim wiecie?

- Wiemy, bo jesteśmy święci. Ja jestem święty Józef, a to święty Jan Nepomucen i święty Mikołaj. Widzimy ludzkie dusze, a najbardziej wyraziście te, zbrukane grzechem.

Szuba i kozuchy nie nasze są. Pożyczone. To one zmyliły was. A w worku są prezenty dla dzieci. Niesłusznie wzięliście nas za złodziei.

I święci zaczęli przeciskać się przez sądową izbę, zmierzając ku wyjściu, a ludzie w ciszy czynili znaki krzyża.

Święty Mikołaj odebrał wór pełen prezentów od woźnego sądu i trzech święci towarzysze ruszyli w drogę powrotną.

Przed wieczorem dotarli do kolibkowskiej karczmy. Opowiedzieli karczmarce o całym zdarzeniu. Oddali złodziejskie kozuchy i szubę. A po kolacji rozeszli się, każdy w swoją stronę. Święty Józef został na Kolibkach, święty Jan Nepomucen wrócił do Gdyni, a święty Mikołaj powędrował do Chylonii. Było już zupełnie ciemno, kiedy wdrapał się na Świętą Górę i znów stanął na postumencie, w biskupiej sutannie i z pastorałem w ręku. Tuż obok stał potężny wór prezentów. Rozdawać je będzie jutro wszystkim grzecznym dzieciom z Chylonii, wsi pod pochyłą górą. Jutro też będzie z nimi zjeżdżał na sankach, z pochyłego stoku, bo bardzo je wszystkie kocha i czuły jest na ich prośby.

A ludzie, jak to ludzie, uznali, że to cud prawdziwy. No, bo każdy widział, że figura świętego Mikołaja stała na postumencie, potem znikła na cały dzień, a następnie w cu-downy sposób powróciła na swoje miejsce. Zrazu sądzili, że to niecna sprawka luteranów, innowierców, których podejrzewali o kradzież figury, ale skoro święty wrócił, to znaczy, że cud działał.

A święty, radosny i uśmiechnięty tak szusował na sankach z dziećmi, że kilka razy spadła mu czerwona czapka z białym pomponem. Śmiechu było przy

tym, co nie miara. A tam, gdzie spadła czapka, natychmiast wytryskało źródło z wodą, która okazała się skuteczna w uzdrowieniach.

Wszystko to działo się wokół świętej, pochyłej góry, od której pochodzi nazwa Chylonia.

# KOLIBKI



amiećacie sylwestrowe wróżby nad Kaczą? Pamięćacie pięć dziewcząt z Doliny Kaczego Potoku, które w sylwestrowy wieczór wywróżyły sobie mężów?

Ci dziarscy i zawadiaccy chłopcy pochodzili z pobliskich Kolibek, położonych wśród starych, okazałych drzew, nad stromym, urwistym brzegiem morza, między dwoma potokami – Swelińskim i Kaczym.

Wieś Kolibki nazwę swą bierze od kolebki. Cała posiadłość leży bowiem we wgłębieniu, które kształtem swym przypomina kołyskę, dziecięce łóžeczko na biegunach. A łóžeczek tych w owym czasie na Kolibkach powstać musiało sporo, bo tam, gdzie wesele i radość, tam dzieci na świat zaczynają przychodzić.

Licja, której źdźbło słomy wywróżyło Alosia, urodziła synka, podobnie Hańcia, która wyszła za Bażula, cieślę i Jopka, co pokochała drwała o imieniu Gust.

Z kolei Jewka, która wyszła za Bartosza, pszczelarza i Cila wydana za Pawełka, co był rybakiem, urodziły śliczne córeczki.

Wielka była radość nad Kaczym Potokiem i w całych Kolibkach. No, bo jak tu nie cieszyć się, kiedy dzieci kwilą w kołyskach?

Wystrugał je wszystkie Bażul, w swoim ciesielskim warsztacie, z jasnej, pachnącej sosny. Och, jakże byli szczęśliwi, młodzi rodzice.

Tylko jeden Sylwin chodził ze spuszczoną głową. Od dawna upatrywał sobie Małgosię znad Kaczej, córkę dziedzica i sędziego ziemskiego, którą, jak pamięćacie Lasota Gęsk, guślarz z Orłowa zamienił w złotopiórą kaczkę. Raz tylko, jeden raz, w ostatnim dniu roku mogła pojawić się nad Kaczym Potokiem. I na ten właśnie dzień Sylwin czekał z utęsknieniem.

Co dzień jeździł po nauki do Gdańska, kształcił się bowiem na pisarza sądowego. Lecz wieczorem, gdy patrzył na szczęście swoich przyjaciół, gdy widział z jaką miłością kołyszą swoje dzieci w kolebkach na biegunach, nachodził go smutek i żal. A gdy słyszał śpiewy dziewcząt, delikatne i pieściwe kołysanki, nie jedną łzę uronił z tęsknoty za Małgosią.

Bibi dziecię, kolibię cię,  
kiedy uśniesz, nie obudź się.  
Śpij spokojnie do wieczora,  
póki ja nie wrócę z pola.

Jak pod wieczór wrócę z pola,  
to przyniosę ci kaczora.  
U kaczora srebrne pióra,  
u kaczuszki złote nóżki.

Kaczka płynie po głębinie,  
kaczor za nią ginie w trzcinie.  
Bibi dziecię, kolibię cię,  
uśnij, bo już noc na świecie.

Tęskno robiło się na duszy Sylwinowi, zwłaszcza jesienią, kiedy całe Kolibki przykrywała ciężka kołdra mgły. Przypominał sobie chwile spędzone z Małgosią. Przypominał sobie jej słodki głos i serdeczny, radosny, promienny śmiech.

Gdzież ona teraz poniewiera się, po odległych wyspach zimnego, północnego morza, pytał samego siebie. Cóż to za zły i niewdzięczny człowiek z tego Lasoty Gęska... żeby aż tak unieszczęśliwić dziewczynę, jej bliskich i przyjaciół.

Tęskno mu było tak bardzo, że chciał już prosić Lasotę, by zamienił go w kaczora. Mógłby wtedy wzbić się w górę i poprunąć w stronę mroźnej północy, by tam być blisko ukochanej.

Nadeszła zima. Sylwin liczył dni do końca roku. Wiedział, że w ostatnim dniu przyleci Małgosia, zamieniona w złotopiórą kaczkę. Od rana wypatrywał jej z kolibiańskich wzgórz, stromym zboczem spadających do morza. W południe błądził nad Kaczym Potokiem. Śnieg jeszcze nie spadł, więc nad wodą widać było brunatno-żółte, zmierzwione trawy. Nagle pojawiła się od strony morza. Po chwili szybowała już nad Doliną Kaczego Potoku.

- Nareszcie! – ucieszył się Sylwin. Doczekałem!

Kilka złotych piór, przynoszących szczęście tym, którzy je znajdą, spadło na dawną jej rodzinną ziemię. W końcu i ona stanęła obiema pomarańczowymi nogami nad Kaczym Potokiem.

- Jesteś, Małgosiu, jesteś... Czekałem na ciebie przez wszystkie długie dni i noce. Tęskniłem za tobą, jak spragniona ziemia tęskni za deszczem. Gdy tylko zawiął wicher od północnej strony, gdzie posłał cię ten okrutny Gęsk, zdawało mi się, że słyszę twój słodki, kojący głos i dźwięczny śmiech i twoje lube śpiewanie.

Nie powiedziałem ci jeszcze tego Małgosiu, bo nie miałem kiedy, nie powiedziałem, bo mi cię zabrał ten bezduszny guślarz, nie powiedziałem ci, że cię kocham.

Kaczka stojąca dotąd nieruchomo nad brzegiem Kaczego Potoku, zaczęła zbliżać się do Sylwina. Zrozumiał, że usłyszała jego słowa. Gdy zbliżyła się jeszcze bardziej, zauważył, że płacze. Wielkie szklane łzy płynęły jej z oczu i spadały w zmierzwioną trawę. A tam, gdzie spadła kaczka łza, natychmiast wyrastał kaczeniec.

Sylwin schylił się i zerwał kilka żółtych kwiatów, tak żywych i świeżych, jakby to była wiosna. Zrozumiał, że jest to jej odpowiedź na jego miłosne wyznanie. Chciał się jednak przekonać, więc zrywał płatek za płatkiem, powtarzając: kocha – nie kocha, kocha – nie kocha, kocha – nie kocha, kocha... A więc jednak, to prawda! Kocha mnie Małgosia. Jakie to szczęście...

- Wiesz, twoje przyjaciółki Licja, Hańcia, Jopka, Jewka, Cila i moi przyjaciele Pawełek, Bartosz, Ałoś, Gust i Bażul, pamiętasz ich przecież, pobrali się i dziś kołyszą już dzieci w kolebkach. A my... Co będzie z nami, Małgosiu? – pytał Sylwin.

Kaczka płakała nadal, a kaczeniec zakwitały obficie, wyłaczając miejsce ich spotkania nad brzegiem Kaczego Potoku.

Nagle zatrzeszczały zarośla. Poruszyły się trzciny. Sylwin z przerażeniem pomyślał, że coś przyszło kaczkę zjeść, jakaś przebiegła kuna lub chytry lis, ale okazało się, że to wodne ptactwo znad potoku chciało się przywitać ze złotopiórą. Widać, że stęskniły się za nią również inne ptaki.

- Teraz, kiedy już wiem, że mnie kochasz, skrzyknę chłopców z Kolibek i... przetrzepiemy skórę temu Gęskowi. Zmuszę go, by cofnął czary. Więc proszę cię Małgosiu, nie odlatuj już – błagał Sylwin. Wróć do domu swego ojca i ukryj się tam. Już my przymusimy tego guślarza, tego znachora, tego... nicponia. Odczaruje cię. Małgosiu, bardzo cię kocham, pamiętaj o tym.

Kaczka uniosła oba skrzydła i zatrzepotała mocno, tak że jedno złote pióro spłynęło z jej skrzydła na trawę.

- Biorę je na pamiątkę. I na szczęście. Ucałował pióro i ruszył przed siebie.

Pobiegł wzdłuż strumienia, najkrótszą drogą w stronę Kolibek. Skrzyknął chłopców pod najtęższym dębem. Stawili się jak jeden mąż. Pawełek, który był rybakiem, Bartosz pszczelarz, Ałoś gospodarz, Gust, który pracował jako drwal i Bażul cieśla, przybyli na wezwanie Sylwina.

- Jesteśmy przyjaciółmi – zaczął Sylwin bardzo poważnie.

- Zawsze byliśmy – zawtórowali chłopcy.

- I będziemy – dodali po chwili.

- Rozumieliśmy się we wszystkim. Pomagaliśmy sobie nawzajem.

- To prawda.

- Tak!

- Tak było!

- Dziś wasza pomoc jest mi szczególnie potrzebna.

- Mów, mów co mamy robić?

- Muszę się wam do czegoś przyznać. Kocham Małgosię.

- I ona bardzo cię lubiła, kiedy była tu między nami.
- Jest i dziś, bo to Sylwester, ostatni dzień w roku.
- Spotkałeś ją?
- Rozmawiałeś z nią?
- Gadaj, gadaj szybko.
- Mówiłem do niej i miałem wrażenie, że mnie słucha.
- No, więc co mamy robić?
- Musimy zwabić tu Lasotę Gęska, tego znachora z Orłowa.
- Tego, co ją zaczarował i zamienił w kaczkę?
- Tak, tego.
- I wysłał ją na zimne wyspy północnego morza?
- Tak, tego – powtórzył Sylwin przez zaciśnięte ze złości zęby.
- A ileż to roboty, szast-prast i jak ma tu być, ten diabeł, to będzie.

- Ale nic na siłę, wszystko według planu – tłumaczył Sylwin. Ja udam, że jestem chory. Ciężko chory. Umierający. A któryś z was powie Gęskowi, że żadni medycy i żadne lekarstwa nie są w stanie mi pomóc. Pozostaje więc tylko odczytać chorobę poprzez czary. I talara zadatku można mu zostawić, dla zachęty. O! Sylwin wyjął błyszczącą monetę.

- Ja to załatwię – zaproponował Pawełek, który był rybakiem. Gdyby nie chciał się zgodzić, zarzucę na niego sieć i przyciągnę go siłą.

- A może ja się nadam lepiej? – odezwał się Bartosz. Postraszę go rojem pszczoł.

- To my pójdziemy razem – odezwali się Gust i Bażul, najteżsi i najsilniejsi.

- Może się przestraszyć i odmówi posługi.

- Dobrze, ja go zawiadomię o twojej chorobie – postanowił Ałoś, gospodarz.

- Masz tu talara, dla Gęska na zachętę. Odbierzemy mu go snadnie, kiedy przyjdzie pora.

I Ałoś pobiegł w stronę Orłowa, a Sylwin tymczasem wrócił z przyjaciółmi do domu. Obwiązał sobie głowę gałgankiem i wsunął się pod pierzynę. Pozostali przyjaciele ukryli się w izbie, za szafą, za piecem, pod stołem i w skrzyni.

Nie minęło czasu wiele, a już chytry i łasy na pieniądze Lasota Gęsk zastukał w okno Sylwina.

- „Chrzan, czosnek i szałwija, chorobę zabija!” Gdzie jest chory? Czy jeszcze żyw? – pytał Lasota wchodząc do izby. Ależ go zmogło, ledwo dyszy. Biedny student. Oj i głowa rozpalona i wzrok nieprzytomny. „Któż prócz mnie się dowie, jak odzyskać zdrowie?” Długo cierpi twój przyjaciel? – spytał Gęsk, Ałosia.

Tego nie mógł już dłużej wytrzymać Sylwin. Zerwał mokry gałgan z głowy i krzyknął prosto w twarz znachora:

- Od czasu, kiedy moją Małgosię zamieniłeś w kaczkę.

- Twoją Małgosię? – zdziwił się guślarz. A jaka ona twoja?

Sylwin w oka mgnieniu zerwał się z łóżka. Gęsk zrozumiał, że to pułпка i chciał ratować się ucieczką. Już był na progu, gdy zza pieca wysunął się Pawełek.

- Hola, hola, nie tak szybko!

Lasota otworzył drzwi i chciał uciekać, gdy tymczasem Pawełek jednym wprawnym ruchem ręki zarzucił na niego sieć. Guslarz zaczął się szamotać, ale uwolnić się już nie mógł. Wtedy dwóch osiłków – Gust i Bażul wzięło go pod ręce.

- Ruszaj! – zakrzyknęli,

- Ale dokąd? – pytał trzęsącym głosem Gęsk.

- Do Małgosi. Odczarujesz ją. Dziś jest Sylwester, więc przyleciała znaną północnego morza, gdzieś ją wysłał okrutnik. Ruszaj!

I zaplątanego w sieci guslarza, zaprowadzili pod dom dziedzica. Właśnie karmił w kuchni swoją córkę kawałkami chleba, maczanymi w mleku. Ukradkiem ocierał łzy. Kaczka stała na stole i jadła mu prosto z ręki.

- A teraz odczyniaj swoje czary, albo ci siekierą łeb odrąbię – wyszeptał Gust prosto w ucho Gęska.

- Odczyniaj, albo ci plecy zhebluję na gładko – wyszeptał Bażul do drugiego ucha.

- Odczyniaj, albo pszczoły zakłują cię na śmierć – dodał Bartosz.

- No już! Czyń swoją powinność – przymuszał go Sylwin.

I guslarz, chcąc nie chcąc, wyciągnął drżącą rękę przed siebie i wyszeptał słowa zaklęcia.

Po chwili na kuchennym stole stała już Małgosia. Klasnęła w ręce.

- Tato! Tatusiu! – zawołała.

Ojciec nie wierzył własnym oczom.

- A teraz zgiń, przepadnij! – krzyknął Sylwin. Wypląćcie go z sieci. Niech idzie wolno. I niech nie pokazuje się tu więcej.

I Gęsk, jak niepyszny, kolebiąc się na nogach, ruszył przed siebie.

- A tego talara, coś dostał na zachętę, oddaj biednym – powiedział Sylwin na pożegnanie.

Radości w domu dziedzica nie było końca. Pawełek, Bartosz, Ałóś, Gust i Bażul ściskali Małgosię i podrzucali ją do góry. Jej ojciec przyniósł z piwnicy butelkę naj-starszego wina, chcąc uczcić powrót córki i nadchodzący Nowy Rok.

Tylko Sylwin gdzieś się zapodział. Wrócił jednak po chwili z naręczem kaczeńców.

- To dla ciebie, Małgosiu.

- Na zdrowie, na zdrowie – zachęcał ojciec. Wzniesli kielichy.

- Za pomyślność młodej pary!

Małgosia, która zdążyła uwić wianek ze złocistych kaczeńców, stanęła przy Sylwinie. Wyglądała pięknie, jak wiosenny poranek.

- Ojczel! – powiedziała poważnym głosem. Rok temu mówiłeś, że pora mi już za mąż iść. Oto ten, którego kocham.

- Bardzo się cieszę, mój chłopcze. Ojciec uściskał Sylwina. Niedługo otrzymasz posadę pisarza sądowego.



- Dziękuję, odrzekł Sylwin i wyciągnął złote, kacze pióro. Tym piórem będę pracował dla naszego szczęścia.

# DEMPTOWO



ziało się to w dawnych czasach, kiedy dzisiejsze Demptowo nosiło starą i prawdziwą nazwę Dętowo. A dlaczego tak się właśnie wówczas nazywało – posłuchajcie.

Za Leszczynkami, za Chylonią, za Cisową na skraju lasu żyła liczna i bardzo uboga rodzina. Ojciec był wozakiem. Woził drzewo z chyłońskich lasów nad morski brzeg, gdzie budowano statki. Potężne pnie sosnowe, nasączone odporną na wodę żywicą, zwoził przy pomocy dwóch koni. Ale czy dwa konie są w stanie wyżywić tak liczną rodzinę? Dzieci przychodziły na świat rok po roku, a ojciec był już ze dwanaście lat po ślubie. W leśnej chatce dzieciarni było dużo, podobnie jak zgiełku i hałasu, a jeszcze więcej biedy. Oprócz tej starej, walącej się leśnej chaty nie mieli nic. Zupełnie nic. Nawet nazwiska.

- Wozak! – wołali na ojca, przywieź jutro trzy sosny, po jednym buku i dębie. A na jutro wozaku, przygotuj po dwa jesiony i dwa jawory, no i cisy wybierz najtęższe, z tych, co nad Cisowianką rosną. Będiesz miał na ciepłą strawę dla swojej rodziny. I żona przestanie ci na głowie kołki ciosać.

A wszystko na głowie ojca i na końskich grzbietach spoczywało.

Jakby zmartwień było mało, ostatnie dziecko w tej rodzinie urodziło się głuche. Głuche i nieme. Inne darły się, gdy tylko poczuły głód lub zimno, zawodziły, łkały, a ono, mimo, że najmniejsze, leżało cicho, czy było głodne, czy syte, suche, czy mokre, ciepłe, czy zimne. Głuche, jak kamień.

Cóż było robić? Ano, dopust Boży. Kara – myśleli rodzice, za jakieś dawne przewinienia. Któż od nich jest wolny?

Mimo, że głuche i nieme, rosło i żyło, jak inne dzieci. Ale cóż to za życie bez głosu, na migi, bez słuchu?

Ochrzcili go, ale jakie wybrali mu imię, nikt już nie pamiętał, gdyż nie zwracano się do niego po imieniu.

- Ej, ty – wołali na niego, ale on i tak nie słyszał. Trzeba go było dotknąć lub trącić, złapać za rękę, szturchnąć w plecy, żeby wejść z nim w jakikolwiek kontakt.

Pożytku z chłopaka nie było żadnego. Lubił przysiąść na pniu drzewa, które ojciec ciągnął nad morski brzeg. Pozwalał mu na to.

W ten sposób chłopiec poznał miejsce budowy statków, poznał pracę cieśli, tokarzy, stolarzy, traczy, kowali, mosiężników, a także szklarzy i żagielmistrzów.

Widać było, jak swymi dużymi, szeroko rozwartymi oczami bacznie obserwuje ich pracę i pracę ich narzędzi, przy pomocy których powstawały potężne galeony czteromasztowe, uzbrojone okręty o dwóch pokładach, mniejsze karawele, pełnomorskie statki, o dwóch olinowanych masztach z trójkątnymi żaglami, które pozwalały manewrować pod wiatr, jeszcze mniejsze kogi czy holki, dwumasztowe pinki, czy ładowne szkuty.

Nie słyszał, bo nie mógł słyszeć odgłosów ciesielskich siekier i stolarskich młotków, dźwięcznych śpiewów piły i poświstu strugów.

Ponieważ do żadnej pracy przydatny być nie mógł, szedł sam nad brzeg i tam budował statki z piasku, na wzór tych, które nieopodal powstawały z drewna.

A wyrastały tam najpierw imponujących kształtów koście i szkielety przyszłych okrętów, pobłyskujące w słońcu białymi żebrami wręg i kręgosłupem stępki.

Kiedy dębowy kościec statku zaczęto obijać na zewnątrz i wewnątrz sosnowymi, gładko oheblowanymi deskami, statek nabierał realnego kształtu.

Był to wytęskniony moment dla głuchoniemego chłopca, gdyż mógł wreszcie poczuć ulubiony zapach oleju żywicznego, którym nasączano zewnętrzne deski kadłuba, a także zapach smoły, której używano do zalepiania szpar i szczelin obu burt, dzioba i rufy.

Gdy kadłub był na tyle gotowy, że mógł utrzymać się na wodzie, spuszczano okręt na olbrzymich saniach w morską toń. Odbywało się wodowanie. Następnie statek holowano do Gdańska, by tam, przy pomocy potężnego dźwigu, zwanego „Żurawiem”, powstawić długie i ciężkie maszty.

W tym czasie chłopiec na swoich piaskowych okrętach stawiał już żagle, marząc o dalekich, morskich podróżach.

Pytał samego siebie: co jest za tą wyniosłą oksywską głową, co jest za półwyspem helskim, co jest za horyzontem? Jak wygląda drugi brzeg, jeśli w ogóle jest jakiś drugi brzeg? – rozmyślał. Jak tam wygląda życie, czy też jest takie biedne i głuche?

Był szczęśliwy, kiedy marzył i wyobrażał sobie, że może kiedyś – kiedyś uda mu się zaciągnąć na taki statek. Mógłby przecież spróbować, ot, choćby jako chłopiec okrętowy, do zwijania liny.

Ale na przeszkodzie stało jego wrodzone kalectwo. Praca na okręcie, najprostszą nawet, odbywa się na komendę. A on nic nie słyszał. Nie słyszał nawet bicia własnego serca.

Nie wiedział, że mowę swoją mają ludzie, więc próbował naśladować ich, poruszając nieudolnie ustami. Nie zdało się to na nic. Wzbudzał tylko śmiech i politowanie.

Nie wiedział również, że mowę swoją mają ptaki, że kogut pieje, bocian klekocze, drozd lamentuje, gęś gęga, dzięcioł stuka, gil świszczce, gołąb grucha, in-

dyk bełkocze, kaczka kwacze, jaskółka kwili, kruk kracze, kukułka kuka, słowik kłaska, szpak gwizdże, kura gdacze, wróbel ćwierka, sroka skrzeczy, mewa krzyczy. A on?

Nie wiedział również, bo i skąd miał wiedzieć, że mowę swoją mają także zwierzęta, że bydło ryczy, kot miauczy, pies szczeka, koza beczy, mysz piszczy, świnia kwiczy, wilk wyje i że koń, który ciągnął drzewo z lasu na budowę statków potrafi wesoło parskać i rzeć.

Sądził, że wszystko, co żyje, nieme jest, jak ryba lub on sam. I dobrze mu z tym było. Nie słyszał, nie mówił, ale rozmyślał i marzył...

Popłynąć prosto ku słońcu, poczuć wiatr w żaglach i na twarzy, poczuć słone morskie powietrze, nasączone bryzgiem fal, cóżby to była za radość.

Zdarzyło się pewnego jesiennego dnia, że szkutnicy, konstruktorzy, budowniczowie i robotnicy pracujący przy budowie statku, a nawet okoliczni rybacy przerwali pracę, odłożyli narzędzia i popędzili w stronę Redłowa.

Już wcześniej ogłoszono wszem i wobec, że na wysokiej kępie redłowskiej odbędą się królewskie zaślubiny z morzem. Pobiegli wszyscy, kto żyw.

Głuchoniemy chłopiec pozostał sam. Wszystkich, dosłownie wszystkich wyniosło tam, na wschodnią stronę. Każdy chciał być świadkiem tego niezwykłego wydarzenia.

Otóż na redłowskim wzgórzu stawić się tego dnia mieli komisarze królewscy, by uczcić osobę samego króla, Władysława IV i za jego rozkazem, w imieniu Korony Polskiej objąć w posiadanie polskie morze.

I tak też się stało. Cztery uzbrojone okręty pod polską banderą, a więc z białym orłem na czerwonym polu stanąć miały w pobliżu redłowskiego klifu, by oddać salwę hono-rową na cześć króla, Korony i polskiego morza, którego wody osobiście poświęcić miał opat oliwskich cystersów.

Na tę uroczystość cztery uzbrojone galeony dopłynąć miały z Gdańska, Pucka, Władysławowa i Kazimierzowa. Dwa ostatnie porty zbudowane na Półwyspie Helskim, założone zostały przez obu polskich władców, rodzonych braci, Władysława IV i Jana Kazimierza i nazwane na cześć monarchów ich imionami.

Nagle od zachodniej strony zaczęła nadciągać gęsta mgła. Spowiła już swym ciężkim, szczelnym, tumanem całą głowę oksywską, zbliżała się przez chyłońskie błota do wsi Gdynia, zalegając ściśle morski brzeg. Snuła się jak dym z jesiennego ogniska, gdy je przysypać ciężkimi, wilgotnymi liśćmi.

Mgła spadła nagle, jak nieszczęście, jak choroba, jak śmierć.

Poszarzało i pociemniało na świecie. Nieswojo zrobiło się chłopcu na duszy. Został sam. Sam we mgle. Myślał, jak by to było, gdyby go na morzu takie nieszczęście spotkało. Potem pomyślał o tych, co pobiegli w stronę Redłowa, by oglądać królewskie galeony. Ale przecież nie płynęły jeszcze od strony oksywskiej głowy te, które opuściły porty w Pucku, w Kazimierzowie i we Władysławowie. Może płyną właśnie teraz? We mgle?

Chłopiec wyciągnął rękę przed siebie. Widział palce swej zmarzniętej dłoni, ale nic więcej. Widział tyle, co dziecko, kiedy mu matka, niechcący, oczy mlekiem z własnej piersi zaleje. Nic, tylko mleko i mleko dookoła.

Nie wiele więcej widział kapitan, ani szyper na marsie, czyli bocianim gnieździe.

Więc... wtem nowa myśl zaiskrzyła mu w głowie. Trzeba ich ostrzec!

Nieraz widział, jak starsi to robią, podczas gęstej mgły. Wyciągają potężne bazuny, drewniane trąby, długie jak wiosła i dmuchają w nie z całych sił, ostrzegając sterników, przed zbliżającym się łodem.

W jednej chwili dotarł do stojącego statku, czekającego na wodowanie. Po sznurkowej drabinie dotarł do środka. Bez trudu odnalazł bazunę. Wrócił na brzeg, uniósł instrument ku górze i dąć zaczął ile sił w płucach.

Dąć w bazunę było niełatwo, ale gdy strumień powietrza przepłynął przez całą długość instrumentu, dawał donośny, przeciągły dźwięk, na który wyczulone było każde marynarskie ucho. Tego dźwięku chłopiec nigdy nie słyszał. Wiedział tylko, że w ten sposób ostrzec można załogę statku przed roztrzaskaniem się o brzeg.

- Duuu-duuu-duuu – dął w bazunę niemowa, jakby nagle odzyskał mowę.

- Buuu-buuu-buuu – grał przeraźliwie, ostrzegając szypra, odpowiedzialnego za na-wigację.

- Duuu-duuu-duuu – dmuchał z całych sił, jakby chciał powiedzieć światu, ja też, jak inni ludzie, ptaki, czy zwierzęta potrafię używać głosu, może nie tak pięknie, może nie tak doskonale i naturalnie, ale równie skutecznie.

- Bu-bu-bu, du-du-du – krótkie i długie sygnały na przemian wydawał w stronę zamglonego, niewidocznego morza, by ustrzec statki przed mielizną, czy nie daj Boże łodem.

Przerwał na chwilę, by odpocząć i wyrównać zziębnięty oddech, ale gdy tylko pomyślał, że okręt właśnie teraz, w tej potwornej mgle może zderzyć się z piaszczystym brzegiem, zaczął trąbić dalej. Grał swą głuchoniemą pieśń o Bożej opatrności.

Załoga w końcu usłyszała te dźwięki, długie i krótkie na przemian. Święty Michał Archanioł z oksywskiej świątyni, patron żeglarzy i rybaków, raz jeszcze, nie pierwszy i nie ostatni, darzył swą łaską ludzi morza.

Chłopiec dął w instrument ile tchu w piersiach. Chwytał łapczywie powietrze w płuca i wypychał je przez całą długość bazuny.

Ostrzegawcze dźwięki dotarły do uszu samego szypra.

- Lewa na burt! – wrzasnął, a bosman podał rozkaz dalej. Załoga w jednej chwili szarpnęła linami. Cały okręt jęknął, zaskrzypiały maszty i reje, zawyły kołowroty. Okręt wykonał nagły zwrot, unikając niebezpieczeństwa.

Bosman stojący na górnym pokładzie, wzniósł w górę dużą latarnię na bosaku i zaczął nią kiwać na prawo i lewo, na znak, że ostrzeżenie dotarło, ale chłopiec stojący na brzegu nie dostrzegł żadnych znaków.

Z wysiłku zamknął oczy i dał ze wszystkich sił, wydając ryk rozdzierający martwą, mglistą ciszę.

Po kilku godzinach mgła opadła. Zaczęli schodzić się robotnicy, pracujący przy budowie statku. Dzień roboczy miał się już ku końcowi, więc zbierali narzędzia i porządkowali miejsca pracy, by jutro od świtu znów rozpocząć dzieło.

Nagle zauważono cwałujących brzegiem od strony Redłowa jeźdźców na koniach. Rzadki był to widok w tych stronach. Zaiste rzadki. Zbliżali się z szybkością nawałnicy.

Gdy dotarli na miejsce budowy, okazało się, że są to eskortowani przez rajtarów komisarz królewski, admirał floty, a także kapitan i szyper jednego z okrętów królewskiej armady, które oddawały salut armatni podczas uroczystości zaślubin z morzem.

Zatrzymali się przed prawie gotowym do wodowania statkiem, lecz nie zsiadali z koni.

- Chcemy wiedzieć, kto nas tak usilnie ostrzegał przed zbliżającym się brzegiem we mgle? – zapytał donośnym głosem kapitan.

Robotnicy spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

- Myśmy byli w Redłowie, bo tam święto wielkie. Król we władanie swoje morze wziął.

- To wiemy, ale ktoś tu zostać musiał?

- Wszyscy, jak jeden mąż pobiegli, okręty królewskie zobaczyć, ale mgła trochę nam przeszkodziła.

- Mgła wam przeszkodziła, ale nam ktoś w tej mgle pomógł – wtrącił szyper.

Jeźdźców otoczyła już spora grupa robotników. Głuchoniemy chłopiec korzystając z chwili zamieszania, postanowił odnieść bazunę na miejsce. Szedł, opierając ją na ramieniu, jak wiosło.

- A kto to? – wskazał na chłopca komisarz królewski.

- A to niemowa. Głuchy, jak pień. Nieszczęśliwe dziecko...

- A co on tam niesie na ramieniu? – dopytywał dociekliwie komisarz.

- To bazuna...

Kapitan zeskoczył z konia i podszedł do chłopca. To samo uczynił admirał i komisarz królewski.

- Chłopcze! Trąbiłeś na tej bazunie?

- On nic nie słyszy. On jest głuchy. I nic nie powie. Nie umie mówić – przekrzykiwali się robotnicy.

Ale kapitan, biorąc bazunę, porozumiał się z nim na migi. Sam przyłożył instrument do ust i wydał długi, przeciągły dźwięk.

- Ten sam! To jest ten sam dźwięk, jaki słyszeliśmy na okręcie – potwierdził szyper.

- Brawo chłopcze, uratowałeś okręt i załogę! – orzekł admirał. Nie minie cię nagroda.

- Jak masz na imię?

Zdezorientowany chłopiec nie wiedział, o co chodzi.

- On nie ma imienia. Do niego się nie mówi. On jest głuchy.

- A nazwisko?

- To syn wozaka. Oni są biedni. Nie mają nawet nazwiska.

- Chłopcze! – zaczął ponownie admirał. Dziś jest twój wielki dzień. Możesz być z siebie dumny, jak i my dumni jesteśmy z ciebie. To dzień

5 października 1637 roku. Dzień królewskich zaślubin z morzem. I wielki dzień w twoim życiu.

- Jesteś bohaterem – odrzekł kapitan.

- Ale bohater musi mieć imię – wtrącił admirał. Patronem dzisiejszego dnia, 5 października jest święty Igor. Przyjmij więc w imieniu Jego Królewskiej Mości to imię.

- Ładnieś to wymyślił admirał. A co z nazwiskiem? – spytał komisarz królewski.

- Nazwisko... nazwisko? Skoro tak mocno dał w bazunę, to może niech będzie Dęta?

- Igor Dęta. Bardzo ładnie brzmi.

- Igor Dęta! – krzyknął komisarz. Zapamiętajcie imię bohatera.

- A w nagrodę, komisarz królewski zbliżał się do chłopca z otwartą kieszą, weź tyle talarów, ile ci się zmieści w dłoni. Zaczepnij. Śmiało.

Igor nic z tego nie rozumiał, ale gdy komisarz królewski pogłaskał go po głowie i zachęcił do wzięcia monet, pobrzękując skórzaną kieszą, wziął w dwa palce jeden złoty krążek i kiwnął głową na znak wdzięczności.

- Nie dość, że mądry i odważny, to jeszcze skromny – zaśmiał się komisarz.

- A skoro odważny, to może wyruszy z nami w podróż? Na prawdziwym okręcie? – zaproponował kapitan.

- Osobiście biorę go pod moją opiekę! – zameldował szyper. Będzie obsługiwał okrętowy dzwon.

Właśnie nadjeżdżał ojciec Igora, wioząc bele drewna zgodnie z zamówieniem. Zobaczył go Igor z daleka i puścił się w jego stronę. Po chwili ojciec z synem stali przed niecodziennymi gośćmi.

- Twój syn uratował nas przed katastrofą! – oświadczył kapitan.

- Ten niemowa?

- Igor Dęta, twój syn.

- Jaki on tam Dęta? Niemowa i głuchy, jak głaz. Od urodzenia...

- Mam honor zameldować, że wybawił nas z opresji. W nagrodę popłynie z nami – odrzekł zdecydowanym głosem kapitan.

- Niech płynie. Krzyż na drogę. Może się wreszcie czegoś nauczy.

Kapitan mrugnął na chłopca. Igor zorientował się, że wszystko w porządku. Podszedł do ojca i położył na jego dłoni, zdrętwiałej od trzymania lejców, złotego talara. Ojciec wybałuszył oczy, jak ryba, która połknęła haczyk z przynętą.

- A juści, co to za czary? Jeszczem drzewa nie zwiózł, a już talara w garści trzymam?

Spojrzał na syna. Igor uśmiechnął się na pożegnanie. Ojciec mocno przytulił syna i przeżegnał go znakiem krzyża na czole. I nic już nie powiedział, gdyż Igor i tak nie usłyszałaby jego słów. Otarł tylko wierzchem spracowanej dłoni łzy i zawrócił konie.

- Ruszaj! – krzyknął admirał. Jeszcze dziś podniesiemy żagle i popłyniemy na północ.

Szyper dźwignął Igora i posadził przed sobą na koniu.

- Zobacysz inny świat, innych ludzi. Poznasz zamorskie kraje, spodoba ci się marynarskie życie. Przekonasz się, że można żyć inaczej. Pełniej. Szczęśliwiej. A może któryś ze sławnych medyków w Szwecyjej, czy w Anglijej przywróci ci słuch i mowę?

- Ruszaj!

I popłynął Igor w daleki świat, o którym tak często marzył i śnił.

A kiedy wrócił, zarobiwszy nieco grosza, zbudował z ojcem i braćmi nową, dużą chałupę. Cieszyły się siostry i matka cieszyła się, ukradkiem ocierając łzy, że to szczęście, które ich spotkało, przyniósł im ich syn, niemowa i głuchy, jak stary pień.

Nazwisko Dęta, nadane przez komisarza królewskiego, przyjęła cała rodzina. A miejsce, gdzie mieli swój dom, na skraju lasu za Leszczynkami, za Chylonią, za Cisową, zaczęto nazywać Dętowem.





# LESZCZYNKI



awno, dawno temu, kiedy jeszcze ludzie byli dla siebie dobrzy, gdyż nie myśleli tylko o sobie, a wprost przeciwnie, bardziej interesował ich los bliźniego niż własny, żył nieopodal rzeki Chylonki, syn ubogiego rybaka. Leszek mu było na imię. Nie miał własnego rodzeństwa, bawił się więc z innymi dziećmi w swojej okolicy.

Jego koledzy spędzali dni nad rzeką, pluskali się w wodzie, zanurzali się po czubek głowy. Leszek siedział na brzegu i czekał.

- Na co czekasz Leszku, wołali.
- Chodź tu, zobacz, co wyłowiliśmy z dna rzeki.
- Chodź tu, zobacz, jaka wesoła jest woda.

Ale Leszka nie interesowało to zupełnie. Czekał na wieczór, a właściwie na noc. Czekał na tę wymarzoną chwilę, kiedy na ciemnej kurtynie nieba zaczynały pojawiać się gwiazdy. Czekał cierpliwie cały dzień, siedząc na trawie.

Wysłuchiwał się w żywe i skoczne piosenki swoich rówieśników, którzy bawiąc się nad wodą, beztrudnie śpiewali:

Kto chce spędzić dobre wczasy,  
niech w kaszubskie jedzie lasy,  
tam kaszubscy dobrzy ludzie,  
pomogą mu w każdej biedzie.

Kaszubskie jeziora, kaszubski las,  
Kaszuby, Kaszuby wołają nas,  
Kaszubskie jeziora, kaszubski las,  
Kaszuby wołają nas.

I wreszcie, kiedy zapadał zmierzch, Leszek nazywał gwiazdy po imieniu. Nadawał im imiona swoich rodziców, krewnych, znajomych, koleżanek i kolegów. Jedną nazwał imieniem księdza proboszcza z kościoła Świętego Mikołaja.

Tak to już było z Leszkiem. Spoglądał zawsze w górę, więc koledzy, naśmiewając się z niego wołali:

- Leszku, Leszku nie zadzieraj nosa.

Ale Leszek cały czas głowę zadartą miał ku górze.

- Zejdź na ziemię, wołały dziewczynki, a on wpatrując się w zapalające się zielone ogniki gwiazd powtarzał znajome imiona.

Na Kaszubach stare chaty,  
w nich dziewczęta do roboty,  
z nich pociechę masz, co trzeba,  
nie zabraknie nigdy chleba.

Kaszubskie jeziora, kaszubski las,  
Kaszuby, Kaszuby wołają nas,  
Kaszubskie jeziora, kaszubski las,  
Kaszuby wołają nas.

Dzieci znad rzeki nie wiedziały nawet, że gwiazdy noszą ich imiona, ponieważ znały Leszka właściwie tylko z widzenia, gdyż był mało przystępny. Lubił samotnie, zwykle w oddaleniu spędzać czas. Nic więc dziwnego, że dziewczęta i chłopcy zaczęli go przezywać, wołając:

- Leszek – orzeszek, Leszek – orzeszek, że niby taki twardy jest i oddzielony skorupą od reszty świata.

Leszek najbardziej lubił miesiące letnie, zwłaszcza sierpień, kiedy zboże stoi w snopach lub zwożone jest do stodół, a niebo wygwieżdzone bywa tak obficie, że przypomina worek pełen ziarna. Zauważył również, że właśnie w sierpniu, niektóre gwiazdy odrywają się od kosmatego nieba i spadają na ziemię.

- Muszę taką gwiazdę znaleźć, pomyślał, a wiadomo, że kiedy pomyśli się o czymś, w czasie spadającej gwiazdy, myśl ta ziścić się musi na pewno.

I tak siedząc nad rzeką, wpatrywał się bezustannie w sierpniowe niebo, wyhaftowane gwiazdami, jak świąteczne serdaki jego rodziców. Czasem spoglądał w dół, jak migotliwie odbijają się w lustrze wody. Już wtedy wydawało mu się, że są tuż, tuż, na wyciągnięcie ręki, ale gdy tylko chciał sięgnąć po nie, klęcząc na brzegu rzeki, wyciągał tylko krople srebrzystej wody. Prawdziwej gwiazdy nie udało mu się nawet dotknąć.

- Gdzież one spadają? – pytał samego siebie. Kiedy oderwą się od nieba, jak dojrzały owoc od gałęzi drzewa, spadają prosto w dół, lub zataczając łuk po niebie, jaśnieją intensywnym seledynowym ogniem.

- Musi być to jednak zimny ogień – myślał Leszek. Ba, gdyby to był ogień gorący, gdyby z nieba spadał prawdziwy żar, mogłoby na ziemi coś spłonąć. Od takiej spadającej gwiazdy mógłby zająć się ogniem stóg siana, snopy zboża, niejedna stodoła, a nawet całe gospodarstwo.

We wsi owszem, wybuchały pożary, czasem przez ludzką nieuwagę, czasem przez ludzką nieroztropność. Najczęściej jednak od ognistego, gorącego pioru-

na. Ale nigdy przyczyną pożaru nie była spadająca gwiazda. Dlatego też nikt na ziemi nie znał miejsca, w którym spada taka gwiazda oderwana od nieba. Ale musi przecież gdzieś być takie miejsce na ziemi – myślał Leszek. No, bo skoro gwiazda spada z nieba, jak deszcz, śnieg lub grad, czy nawet wspomniany piorun, grom z jasnego nieba, to i tak ostatecznym przeznaczeniem wszystkich tych zjawisk staje się ziemia.

- Gdzie jest to miejsce? – rozmyślał Leszek. Wydawało mu się, że najłatwiej znaleźć będące spadające gwiazdy w dolinach, zagłębieniach, czy parowach, jakich pełno było w okolicy rzeki Chylonki. No, bo jeśli gwiazda spadłaby na jedno z siedmiu gdyńskich wzgórz, to z rozpędu potoczyłaby się w dół i zatrzymała tuż u jego stóp. Chodził więc Leszek dookoła wzniesień, szukając miejsca, do którego mogłaby się potoczyć spadająca gwiazda. Chodził we dnie, ale nie znalazł. Sądził, że światło dnia rozprasza zielony blask gwiazdy, chodził w nocy, ale w zaroślach migotały jedynie seledynowe, jak gwiazdy, świętojańskie robaczki, zwane także świetlikami. Czasem na seledynowo zamajaczyło leśne próchno, to znów zajaśniały zielone oczy lisa. Gwiazd na ziemi nie było.

- A może one wpadają do morza? – pomyślał Leszek. Tak, tak, skoro nie ma ich na ziemi, na pewno muszą być w morzu. Ukryte na dnie wśród morskich kamieni, muszli i bursztynu. Leszek aż podskoczył z radości.

Postanowił szukać gwiazd na dnie morza. Pływał świetnie, jak wszyscy chłopcy z Gdyni. Unosił się na fali, pewnie jak mewa, nurkował niczym perkoz. Z długich trzcin, które porosły na chyłońskich mokradłach, sprytni chłopcy robili sobie przyrządy do od-dychania pod wodą. Mogli penetrować dno rzeki, oddychając przez trzcinę, której koniec unosił się ponad wodą.

Leszek postanowił wyruszyć na poszukiwanie gwiazd w morzu. Wyruszył sam, bo wszystko, co w życiu robił, zwykł robić samotnie.

Pożegnał się z matką i z ojcem. Jednego go mieli i smutno im się zrobiło, gdy sam wsiadał do łodzi i nastawiał żagiel. Ojciec niecierpliwie pociągał dym z fajki, matka brzegiem fartucha ocierała łzy. Stali oboje na brzegu, robili się coraz mniejsi i mniejsi, aż w końcu zupełnie stracił ich z oczu. Ale Leszek nie patrzył już w stronę brzegu. Przeszywał wzrokiem morskie odmęty. Wpatrywał się w zielono-siną toń Bałtyku. Gwiazd jednak nie było.

Widział unoszące się pod powierzchnią wody meduzy, bystre szproty, ławice śledzi, falującą morską roślinność. Ale gwiazd nie było.

W niektórych miejscach zatoki woda była tak przejrzysta, że widać było żółte dno. Ale na dnie również nie było gwiazd.

Postanowił poczekać na zmierzch, kiedy to wody ciemnieją, stają się granatowe, a następnie zupełnie czarne.

- Wtedy dopiero będę mógł je zobaczyć – pomyślał. Na czarnym niebie łatwiej je dostrzec, niż na jasnym lazurze.

Siedział więc w swej żaglowej łodzi i czekał, czekał, czekał. Słońce chyliło się już ku zachodowi, zapadając za nadmorskie wzgórza. Ostatnie promienie złoci-

ły oksywski hak. Pociemniało dookoła. Na linii brzegu zaczęły zapalać się domowe ogniska: Obłuże, Oksywie, Babie Doły, Pierwoszyno, Kasakowo, Rewa. Chwilę później na niebie zaczęły migotać pierwsze gwiazdy.

- Teraz, teraz, tylko teraz będę mógł je odnaleźć – powtarzał Leszek, dla dodania sobie otuchy. Bo samotność w łodzi, po ciemku na wodzie, wymaga nie lada odwagi. Ale Leszka stać było na wiele. Jednym ruchem ściągnął żagiel, wyrzucił kotwicę. Cicho osiadła na niezbyt odległym dnie. Wybrał najdłuższą trzcinę, z wcześniej przygotowanych, by ułatwić sobie oddychanie pod wodą. Usiadł na brzegu łodzi. Trzymając przed sobą trzcinę długą, jak bom, nagłym ruchem odchylił się odważnie, jak to czynią prawdziwi poławiacze pereł i plecami dotknął chłodnej, ciemnej wody. Zanurzył się cały od razu. Płynął na oślep, trzymając przed sobą trzcinę, jak harpun trzymają polujący na fokii czy morświny. Przebierał nogami coraz szybciej, chcąc dotrzeć jak najgłębiej, ale nie widział nic, oprócz groźnej ciemności. Poczuł, że zaczyna brakować mu powietrza. Zawrócił. Włożył koniec trzciny do ust i zaczął wydmuchiwać z niej wodę wraz z resztkami powietrza. Udało się. Nie wydostając się na powierzchnię, mógł teraz od-dychać przy pomocy trzciny, w dalszym ciągu penetrując dno. Ale gwiazd nigdzie nie było.

- Jeśli nie ma ich ani na ziemi, ani w morzu, to gdzie mogą być? – pytał samego siebie. Przypomniawszy sobie ile to dróg i bezdroży przeszedł, przedzierając się przez chaszczki i zarośla wąwozów i parowów w poszukiwaniu gwiazd. Teraz penetrował dno morskie, w nadziei, że ujrzy wreszcie seledynowe światło gwiazd. Ale przed jego oczami zalegała całkowita ciemność. Leszek daleki był jednak od myśli o powrocie.

Nagle coś wielkiego poruszyło się przed nim. Zmąciło wodę. Dotknęło jego ciała swoim, chropowatym pancerzem.

- Nie bój się mnie chłopcze, jestem starym krabem morskim. Mieszkam tu od stu lat i wiem o tym morzu wszystko. Mam nadzieję, że nie polujesz na kraby. Mówił wolno, poruszając długimi wąsiskami. Czy szukasz czegoś, czy coś zgubiłeś? A może kogoś zgubiłeś? Czyżby ktoś się utopił? Jest z tobą ktoś jeszcze?

- Nie, jestem sam, odpowiedział Leszek, nie tracąc odwagi. Jestem sam. Nie mam brata, ani siostry...

- I ja też jestem sam. Wiodę samotny żywot. Wszyscy moi bliscy dawno już umarli i leżą tu, na dnie, ukryci w pancerzach. Jesteśmy skorupiakami, powiedział z dumą, uderzając się w odsłonięte piersi obiema parami szczypców. Rodzimy się i umieramy we własnych pancerzach, nikt nie ma do nas dostępu. Więc jesteśmy niedostępni. Ale moja samotność zaczyna mi już doskwierać. No cóż, wiem, że to jest kara. Zasłużyłem sobie na nią.

- A co złego zrobiłeś? – spytał Leszek, nabierając powietrze przez trzcinę.

Krab podpłynął bliżej, jakby chciał dotknąć chłopca brzegiem swojej łapy zakończonej szczypcami, dodatkowo uzbrojonymi w dwa szeregi zębów.

- Nie potrafiłem dzielić się z innymi. Zawsze myślałem tylko o sobie. O tym, że tylko ja jestem najważniejszy, że dla mnie tylko został stworzony ten morski świat. Och, jak bardzo tego żałuję. Ale teraz jest już za późno. Gdybym mógł cofnąć czas, gdybym mógł raz jeszcze przeżyć, co przeżyłem, spotkać tych, których spotkałem, dzieliłbym się wszystkim, dosłownie wszystkim, co tylko mam, a nawet tym, co chciałbym mieć. Odbywam więc tu moją karę. Ale co ty tu robisz? – spytał, wytrzeszczając czarne oczy, jak zbutwiałe żołądździe.

- Szukam gwiazd, które spadły z nieba. Nie ma ich na ziemi, więc pomyślałem, że powinny być tu, w morzu, odparł Leszek.

- Dobrze pomyślałeś, mój chłopcze. Znam każdy kawałek tego dna i chętnie wskażę ci miejsce, gdzie leży kilka świecących gwiazd, które spadły tutaj tego lata. Nie zdarza się to znów aż tak często. Gwiazdy, owszem, odrywają się od nieba, jak ikra od ryby, ale pomyśl tylko, ile jest miejsc na świecie, gdzie mogłyby upaść. Szczęśliwi ci, którzy je znajdują. Płyn za mną.

Odwrócił swoje krabie cielsko, mącąc wodę i poruszając wszystkimi sześcioma kończynami. Leszek podążał za nim. Nie musieli płynąć zbyt długo. Po chwili dostrzec można już było seledynową poświatę. Żywa smuga zielonego światła sama prowadziła Leszka do upragnionego celu. A więc to prawda. Są. Najprawdziwsze gwiazdy. Leżą tu na dnie.

Leszek z wrażenia zaczerpnął przez trzcinę potężny haust powietrza. Po chwili dotarł do samego dna. Na pofałdowanym piasku, pokrytym zielenią, nie wiadomo czy od morskich glonów, czy od gwiazdzistych promieni, leżały seledynowe perły.

Radość Leszka była tak wielka, że strach przed ich dotknięciem ustąpił pragnieniu wydobycia ich na powierzchnię. Wyciągnął przed siebie rękę, która natychmiast stała się zielona, jak wszystko dookoła. Gwiazdy migotały, mieniły się, błyszczały. Było ich pięć.

- Zabiorę wszystkie, pomyślał. Ale jak? Dwie mógłby zmieścić w swoich dłoniach, a co z resztą, zastanawiał się, dopóki nie zauważył dużej, kręconej muszli. Na takich muszlach trytony grają hymny pochwalne na cześć boga mórz i oceanów. Okazało się, że muszla jest pusta, nikt w niej nie mieszkał. Postanowił włożyć do niej gwiazdy i czym prędzej wrócić do łodzi.

Ostrożnie dotknął pierwszej gwiazdy, wskazującym palcem prawej ręki, chcąc przekonać się, czy nie parzy, ale zimna była jak kamień, więc ujął ją całą dłonią i włożył do muszli. Podobnie postąpił z pozostałymi. Prześwietlały od środka muszlę, która wyglądała, jak magiczna latarnia, wydobywająca ze swego wnętrza zielone światło.

Leszek chciał już odbić się od dna i wypłynąć na powierzchnię, gdy usłyszał słowa kraba:

- Mam nadzieję, że będą to szczęśliwe gwiazdy. Krab machał wielkimi szcypcami na pożegnanie. Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem. Dziel się z bliźnimi wszystkim, co masz.

Ale Leszek mając wreszcie to, o czym od dawna marzył, czuł się tak, jakby miał wszystko. Zapomniał nawet podziękować staremu krabowi za jego przysługę.

Wydostał się na powierzchnię. Łódź stała w świetle księżyca i czekała na jego powrót. Podobnie jak matka i ojciec na brzegu. Stali i czekali do północy, mając nadzieję, że ich jedyny syn powróci, ale wypłynął widać zbyt daleko. Więc gdy dźwięk oksywskich dzwonów i pianie gdyńskich kurów obwieściło północ, wrócili do swej ubogiej chatki, nie jedząc kolacji, skoro jeść mieli tylko we dwoje.

Tymczasem Leszek wciągnął żagiel i zdecydowanie ruszył w stronę brzegu.

Po północy wiatr ustał już zupełnie, więc droga powrotna wydawała się długą. Do brzegu dotarł nad ranem.

Właśnie gdyńscy rybacy wypływali w swój codzienny rejs, z nadzieją, że połów uda się lepiej niż wczoraj.

- Coś złowił młodzieńcze, pokaż, co tam chowasz, pytali rybacy.

- Aaa, nic takiego, odpowiedział Leszek. Zresztą zajrzyjcie do mojej łodzi. Jest pusta, jak wasze brzuchy.

- A co tak ładnie świeci zza twojej koszuli?

- Eee, zdaje się wam...

- Widzimy przecież silny blask. Czyżbyś znalazł skarb?

- Ooo, jakież tam skarb, zwykła muszla. Patrzcie sobie ile chcecie.

- A skąd ten blask?

- Iiii, to promienie wschodzącego słońca. Czas wam wypływać. Szczęśliwej drogi i pełnych sieci wam życzę.

Wyskoczył z łodzi na suchy piasek, z niemałym wysiłkiem wyciągnął na brzeg łódź do połowy długości i ruszył w stronę domu.

Postanowił, że o gwiazdach nikomu nie powie. Za kilka dni uda się do Gdańska i tam na jarmarku świętego Dominika postara się sprzedać swój skarb.

Ach, cóż to będzie za radość, kiedy przyniesie do domu prawdziwe pieniądze. Czyste złoto. Skończy się wreszcie uporczywa bieda. Przestaną w końcu jeść codziennie szade kluski i chleb maczany w melasie. Kupią prawdziwe ryby, nie jakieś tam szproty i pomuchle, kupią mięso i miód i mleko. Ojciec przestanie wreszcie utyskiwać na ciężki los, matka przestanie narzekać, że nie ma co do garnka włożyć.

Ale na razie nikomu o tym ani słowa. To będzie jego wielka tajemnica.

Zmierzał teraz prosto do domu. Pańską Drogą, którą rybacy nosili kosze pełne ryb do klasztoru w Kartuzach. Chłodny poranek omotał leśne ostępy gęstą mgłą. Z Pańskiej Drogi zбочył w kierunku Grabówka, idąc w dalszym ciągu lasem. Mgła była tak gęsta, że mógłby zabłądzić, gdyby nie znał tej drogi na pamięć. W mleczno-białym dymie rozniósł się słodko poranny śpiew leśnego ptactwa. Nagle wydało mu się, że wśród pisków i kwilenia słyszy płacz dziecka. Przystanął i nasłuchiwał uważnie. Tak, był to wyraźny płacz i zawodzenie. Mo-

że zbłądził ktoś, może się zgubił, może całą noc szuka drogi... rozmyślał. Płacz nasilał się, ale w pobliżu nikogo nie było. Leszek rozejrzał się bacznie dookoła i nagle spostrzegł, siedzącą na pniu ściętego drzewa jasnowłosą dziewczynkę, trochę tylko młodszą od niego, a może tylko tak mu się zdawało, z powodu kruchości jej ciała. Wychudzona i wynędzniała była jej postać. Rączki, cienkie jak gałązki leszczyny, składała w błagalnym geście:

- Jeśli masz coś, cokolwiek, cokolwieczek, podziel się ze mną. Tato mój nie wrócił z morza, a mama nie jest w stanie nas wyżywić. Mam siostrę i trzech braci. Jest nas pięcioro. Jeśli tylko możesz, podziel się...

- Pięć gwiazd to znowu nie tak wiele – pomyślał Leszek. Nie wiedział jeszcze ile pieniędzy dostanie za jedną gwiazdę, na jarmarku. A ona, biedna i głodna, choć mogłaby być jego siostrą, na pewno nie poradziłaby sobie z takim skarbem, jak gwiazda. Samą gwiazdą przecież się nie naje, ani ona, ani jej bracia.

- Przykro mi, ale nie mam niczego, czym mógłbym się z tobą podzielić.

- Moi młodszy bracia aż płaczą z głodu, więc jeśli tylko możesz...

Ale Leszek ominął ją tak sprytnie, że nawet nie spostrzegła seledynowego blasku, jaki wydobywał się spod jego koszuli.

- Gwiazdy są moje i tylko moje, upewniał się, tłumiąc głos sumienia, które jednak nie dawało mu spokoju. Oglądał się za siebie kilkakrotnie, ale dziewczynki już nie dostrzegł.

- Niech każdy sobie radzi tak jak może, pomyślał i przypomniał sobie przezwisko, jakim ochrzciły go dzieciaki znad rzeki, wołając Leszek – orzeszek, Leszek – orzeszek.

Ze wzgórz Grabówka dostrzegł już własne domostwo. Z domowego komina wydobywał się dym. Mama przygotowuje szade kluski, pomyślał. Ach, jaka byłaby szczęśliwa, gdyby wiedziała, że to po raz ostatni miesi ziemniaki, ugniata z mąką i zapieka na kozim sadle.

Postanowił ukryć swój skarb i wejść do domu, jakby nic się nie wydarzyło. Czekala go jeszcze wyprawa do Gdańska, na jarmark, pertraktacje z kupcami i powrót z kiesze-niami pełnymi złotych, brzęczących monet.

Zbiegł z Grabowego wzgórza i wśród zarośli u jego stóp, tam, gdzie jeszcze nie dawno szukał bezskutecznie seledynowego skarbu, postanowił zakopać w ziemi muszlę z gwiazdami. Bez trudu odnalazł stosowne miejsce przy kamieniu, gołymi rękoma rozgarnął leśne runo. Zapachniała wilgoć ziemi. Sięgnął za koszulę po muszlę, ale ku jego zdziwieniu gwiazdy straciły swój świetlisty, seledynowy blask.

- Co u licha, co się stało? – szeptał podenerwowany. Czyżby gwiazdy straciły swoją moc? Potrząsnął muszlą, ale nadaremno. Gwiazdy przestały świecić. Potrząsnął raz jeszcze i wysypał z muszli pięć laskowych orzechów.

- A to ci dopiero! Gdzie są moje gwiazdy? Jak to tak? Gdzie jest mój skarb? – wołał bliski płaczu. Spojrzał w niebo, po którym słońce wspinało się wyżej i wyżej.



- Gwiazdy moje, gdzie jesteście? – łkał w rozpacz. Oczy zasły mu łzami. Spojrzał w ziemię. Pięć orzeszków, martwych jak kamienie leżało przed nim. Łzy kapały na nie jedna po drugiej. Zagarnął na nie ziemię. Przyklepał obiema rękami. Uderzając otwartymi dłońmi o ziemię, pytał samego siebie:

- Dlaczego, dlaczego? Szczęście było przecież tak blisko, czuł już jego blask, nie tylko seledynowy, także złoty...

I wtedy przypomniały mu się słowa starego kraba, który radził mu dzielić się wszy-stkim, co tylko posiada. Mógł przecież podarować gdyńskim rybakom chociaż jedną gwiazdkę, jedną mógł podarować napotkanej w lesie dziewczynce, która mogłaby być jego siostrą. I tak zostałyby jeszcze po jednej dla mamy, dla taty i dla niego.

Ale nie wszystko przypadło. Następnej wiosny z zakopanych przez Leszka orzechów, wyrósł przepiękny krzak leszczyny. Po kilku latach powstała prawdziwa plantacja.

Okoliczni mieszkańcy mieli wiele radości i pożytku nie tylko z samych orzechów, smacznych, zdrowych i pożywnych, ale również z leszczyny, z drzewa lekkiego, mocnego i giętkiego, z którego zaczęli wyrabiać obręcze do beczek, laski i wodziska do sieci.

Od tamtego czasu miejsce to, gdzie Leszek zakopać chciał wyłowione z dna morskiego gwiazdy, z dobrze mu wiadomych powodów zamienione w orzechy laskowe, nosi nazwę Leszczynki.

# ORŁOWO



Zdarzyło się to w dniu święta Trzech Króli. Tego roku sroga zima wszystkim dawała się we znaki. A był to rok 1666 i szóstki w tej dacie zwiastować miały rzeczy wprost niezwykłe. Już w listopadzie poproszyło śniegiem, jakby miałym cukrem, w grudniu mróz złapał swą twardą, lodowatą łapą i trzymał mocno przez święta i Nowy Rok. Świat przypominał polukrowany, świąteczny piernik.

Biało było dookoła, świat jakby posiwiał, albo ze zmęczenia wszedł pod białą, puchową pierzynę. Zewsząd zalegała głucha cisza. Gdzieniegdzie tylko śnieżną głuszę przerywała melodia dzwonka sań lub kracząca ze złości, głodna wrona. Czasem konie rżały głośno dla dodania sobie otuchy, czasem wilk zawył żałośnie i wtedy robiło się jeszcze zimniej.

Jak zwykle o tej porze roku największą radość miały dzieci z okolicznych wiosek: Kacka, Karwin i Kolibek.

Czegóż to zimą nie można robić? Łyżwy i sanki, śnieżki i bałwanki. A kulać się po śnieżnym stoku, a zjeżdżać w dół na desce, a skakać do rowu, by zapadać się po szyję w biały, miękki, śnieżny puch.

Znali się dobrze. Jedną łączyła ich parafia, jedną łączyła ich kacka szkoła. Chłopcy: Antosz, Jędrus, Jank, Poter, Mack, Florian i Tona, Józwa, który miał przywilej chodzenia z gwiazdą, Walek i Gust oraz dziewczęta: Anusza, Hedwig i Waleska, bawili się do upadłego. Znali się i kochali, jak rodzeństwo, mimo, że z różnych pieców jadali chleb, to i tak z tego samego młyna, stojącego nad Kaczym Potokiem.

Banda roześmianych dzieciaków, o zaróżowionych od mrozu twarzyczkach, grasowała po całym Kacewiu.

Wspinali się na najwyższą w okolicy górę Donas, z której widać było zamrażające morze. Jakby zastygało, ścięte nagle bezlitosnym ostrzem mrozu.

Nie poddawało się siarczystym mrozom jedynie Źródło Marii, bijąc jak zwykle obfite źródło, zasilające Kacewski Potok, spadający z karwińskich wzgórz, silną, wzburzoną strugą. Napędzała ona zbożowy młyn, papiernię oraz kuźnię i tartak. Znaczące były to miejsca harców, psot i zabaw roześmianej czeredy.

Najpierw, gdy tylko pobielały pola i rozpoczynał się adwent, czas oczekiwania, wychodzili bladym świtem na roraty, oświetlając sobie drogę świecami. Jedną trzymał Poter i szedł jako pierwszy, drugą Antosz, na końcu. Szli i śpiewali:

Gdy wśród przekleństwa od Boga  
Czart panował, śmierć i trwoga,  
A ciężkie przewinienia  
Zamkły bramy zbawienia.

Śnieg głośno skrzypiał pod drewnianymi podeszwami ich zimowych botków.

Ale Ojciec się zlitował  
Nad nędzną ludzi dolą.  
Syn się chętnie ofiarował,  
By spełnić wieczną wolę.  
Zaraz Gabriel zstępuje  
I Maryi to zwiastuje,  
I że z Ducha Świętego  
Pocznie Syna Bożego.

A dziecięce ich głosy niosły się daleko po całej okolicy, między leniwie szemrzącą Sweliną, a rwącą Kaczą.

Potem równie rażno i ochoczo chodzili z „Gwiozdką”, na Boże Narodzenie. Ach, cóż to była za zabawa, cóż to była za radość. Bo narodzinom zwykle towarzyszy szczęście i wesołość. Smutek zaś przynależy tylko śmierci.

Piski, krzyki, śmiechy wybuchają co chwilę, głównie z powodu przebieranki. Dzieci przemieniały się w prawdziwych kolędników.

Zobaczcie zresztą sami:

Jędrus wkładał na siebie tatusiową baranicę. Za długi był ten kozuch, więc trzeba go było przewiązywać rzemieniami. Na głowę naciągał baranią czapkę i zaczynał beczeć. A dzieciaki za nim:

- Mee, mee, bee, bee, baś, baś, baś mój baranku.

Jank przebierał się za Boćka. Naciągał czerwone porcięta i biały kubrak, obwiązywał szyję długim, czerwonym szalem, którego końce ujmował w dłonie, na wyciągnięcie rąk i robił z nich bociani dziób. Tak było tylko w czasie przebieranki, bo na kolędowanie z „gwiozdką” zabierał dwie deszczułki, pomalowane burakiem, na czerwono. Wołał przy tym niemiłosiernie głośno:

- Bocian, bocian, kle, kle, twoja matka w piekle...

albo:

- Bocian, bocian, kiszka, przynieś mi braciszka...

choć miał już i brata i siostrę.

Wiadomo, że na Kaszubach bociany to są święte ptaki, otoczone wielką czcią. Wszyscy wiedzą, że nie wolno nikomu zabić bociana. Kto by to uczynił, nie tylko ściągnie na siebie nagłą śmierć, ale również nieszczęście na całą wieś.

Wiadomo również, że zagrodzie, w której osiadł bocian, dopisuje szczęście. Dlatego każdy przezorny gospodarz umieszcza w swym obejściu, na szczycie

stodoły lub na ściętym drzewie, koło od wozu, by łatwiej mogły założyć gniazdo, do którego powracać będą przez całe lata.

Gdyby ktoś jednak skrzywdził tego pięknego, lecz całkowicie bezbronnego ptaka, narazi się na jego gniew. Znanie jest powiedzenie „bocian ogień przynosi”. Otóż jeśli ktoś skrzywdzi bocianią rodzinę i popsuje jej gniazdo, wówczas może spodziewać się, że w najmniej oczekiwanej chwili, bocian przyniesie w swoim długim, mocnym dziobie tłącą się żagiew, wyciągniętą z jakiegoś ogniska i rzuci na strzechę domu lub stodołę, mszcząc się za poniesioną krzywdę.

Mack był Kominiarzem. Ubierał się na czarno. Twarz i ręce czernił sadzą, wywijał radośnie szczotką na długim drągu, a na plecy zarzucał drabinę.

Za Cygana przebierał się zwykle Florian, najbardziej śniady z wszystkich chłopaków, zawieszał na uchu kolczyk, głowę obwiązywał kolorową chustą. Najlepiej potrafił strzelać z bata, a bat był mu potrzebny do tresury Niedźwiedzia, którego prowadził na łańcuchu. Niedźwiedź wyglądał jak żywy. Prawdziwą niedźwiedzią skórę nakładał Tona. Miał ten przywilej, gdyż to jego ojciec, stary Mingo z Kacka, oszczepem upolował tego misia lat temu kilka, aż pod Wiczlinem.

Był jeszcze Wół i Osioł. Pod grubymi skórąmi tych zwierząt, które ciepłym oddechem ogrzewały Jezunia w betlejemskiej szopie, występowali Walek i Gust.

Była też i Koza, w kozuchu z długim włosiem, pod którym kryła się szczupła figura Anuszy, siostry Walka i Gusta. Znad kołnierza wysuwała na kiju, wyciętą z drewna i obitą skórą koźlą głowę.

Za Starego Dziada przebierał się Józwa. Owijał sobie tułów, ramiona i nogi słomianymi powróstami. Wyglądał jak chochoł. Na głowę wkładał futrzaną czapę. On też, jako najstarszy miał przywilej trzymania kolorowej gwiazdy na długim drągu.

Zaś za Starą Babę przebierała się jego rodzona siostra Hedwig, która zrzędzić miała na czym świat stoi. Ale świat nie stoi, świat się kręci, jak betlejemską gwiazdą, z którą wesoła kompania wędrowała od zagrody, do zagrody, od domostwa do domostwa. Zachodzili do młynarza i do kowala, do bednarza i kołodzieja. Odwiedzali wszystkich, by obwieścić całemu kacewskiemu światu świętą nowinę, którą

Anioł pasterzom mówił,  
Chrystus się wam narodził,  
W Betlejem nie bardzo podłym mieście,  
Narodził się w ubóstwie  
Pan wszego stworzenia.

Do grona kolędników dołączali muzykanci: Mateusz z diabelskimi skrzypcami, Wojtek z burczybasem, Cecylia z fujarką i Baśka z piszczalką.

Ach, na śmierć zapomniałem o jeszcze jednej ważnej postaci, jaką była Śmierć, maskara. Przebierała się za nią Waleska. Bieliła sobie twarz kredą, zabierała ze sobą dobrze wyklepaną ojcowską kosę. Waleska nic nie mówiła. Stała tylko i przyglądała się. Bo Waleska od urodzenia była niemową.

Na czele pochodu kolędników wędrowali zgodnie z tradycją i w zgodzie z sobą Diabeł i Anioł, czyli Poter i Antosz.

Diabeł z piekła rodem, miał nie tylko krowie rogi i ogon z powrósł, ale również „diablą szpyrę”, na którą bardzo utykał. Oj, bardzo. Po tym go najłatwiej poznać, że jedną nogę ma ludzką, a w miejscu drugiej, końskie kopyto. Cały umorusany sadzą, w rękach dzierzył zawadiacko widły gnojne.

Anioł natomiast występował w białej ślubnej sukni, z której wyrastały unoszące się nad głową drewniane skrzydła, polepione kaczym pierzem. W ręku dzwonek, którym zwiastował przybycie do zagrody, by gospodarze mogli się zawnoczu przygotować, jeśli go Diabeł – Psołnik, Purtk, Smętek, Zgrzecha niepoprawny, w tej czynności nie ubiegł. Przeskakiwał bałamutnik płoty domostwa i zostawiając, jak chytry lis ślady na śniegu, podkradał się pod okna i widłami walił w drewniane okiennice, chcąc napędzić gburom stracha.

A gdy już z drażliwym skrzypieniem otwierały się odrzwia checzy, Stary Dziad, czyli Józwa, kręcąc gwiazdą ile sił w dłoniach, pytał:

- Chcecie wy gwiozdkę zobaczyć?

- A skądże ona jest, z daleka? – pytał gbur zgodnie z tradycją.

- A z samego nieba do was przychodzimy.

No i zaczynały się śpiewy, tańce, muzyka grała, wesoło było. Bocięk długim drewnianym dziobem zaganiał dziewczęta na środek izby, Koza je poganiała rogami, Cygan straszył Niedźwiedziem, dziewczęta piszczwały, gdy Niedźwiedź ścisnął je w pasie. Wesoło było. Uśmiechała się nawet sama Śmierć, stojąca z kosą pod ścianą. Niczego nie słyszała, niczego nie mówiła, a jednak na jej bladym licu zakwitał uśmiech.

Kolędnicy wciągali do zabawy wszystkich domowników, chcąc ich rozbawić, by jak najlepiej zapłacili za umilanie czasu. A zapłata mogła być dwojaka: albo detki, czyli pieniądze, albo jado i smakołyki.

Bocian pierwszy dawał znać, że czas najwyższy otworzyć spizarnię.

Bocianiontko kle, kle, kle,  
Smażę jajka w popiele,  
Mam kiełbasy w stodole,  
Skórkę chleba na stole.

Gdy chodzi o dary boże, zbierała je do kosza Stara Baba, narzekając, że za mało chleba, kiełbasy, sera, jajek, czy ciasta. Przesztawała zrzędzić dopiero, gdy kosz był pełen.

Gdy zaś chodzi o brzęczące monety, były one przywilejem Anioła lub Diabła. Raz jeden rękę nastawiał, raz drugi i nie było z tym nigdy żadnego problemu. Kończyła się kolęda. Wszyscy zgodnie rozstawali się, śpiewając wspólnie:

Na kolędzie, jak to będzie  
Każdy się ucieszy,  
A jak kto chce kolędować  
Niechże się pospieszy

Nasz gospodarz przyniósł dary,  
Talarem dopłacił,  
Za to w jego gospodarstwie  
Wszystko się wzbogaci.

Tak było na „Gwiozdkę” i Boże Narodzenie.

Na Nowy Rok do roztańczonej i rozśpiewanej gromady dołączały jeszcze dwie postaci. Nowy Rok, najmłodszy w okolicy chodzący berbec – tym razem Francik, braciszek Antosza, naszego Anioła i Stary Rok – Bażul, najtęższy z chłopców, z brodą i wąsiskami uwitymi ze słomy. Odchodził, kuśtykając, oparty o laskę.

Na Nowy Rok odprawiano „Gwiżdże”, bardzo stary obrzęd kaszubski, pamiętający jeszcze odległe czasy, kiedy to nocny stróż „gwiżdżem” zwany, dawał swoją gwizdawką różne sygnały. I tak długi przeciągły gwizd oznaczał „ciszę nocną”. Po tym sygnale dzieciom nie wolno było wychodzić z domów, a jeśli „gwiżdż”, czyli nocny stróż złapał jakiegoś wisusa poza obejściem, wymierzał mu różgą „wyrok pamiętliwy” i zapędzał czym prędzej do domu. Taki wyrok, niesforny dzieciak pamiętał już do końca życia.

Głośnie, przerywane sygnały gwizdawki oznaczały pożar, zaś gwałtowne, krótkie, rwane, nerwowe, jak uderzenia serca spłoszonej sarny, oznaczały najazd obcych wojsk.

Tak więc nocnych stróży, strażników spokoju i bezpieczeństwa, od czynności gwizdania, nazywano „gwiżdżami”.

W wieczór sylwestrowy „gwiżdże” składali po domach życzenia, w formie wierszyków i rymowanek. Z czasem do wierszy dołączyła muzyka, tańce i śpiewy. I tak dawny obyczaj nocnych stróżów przerodził się w bogaty obrzęd.

Zbierała się więc znowu wesoła gromada dzieciaków z Kacka, Karwin i Koli-bek, w ostatnim dniu starego roku i w pierwszym dniu nowego, by śpiewać po zagrodach:

Gwiżdże wam prowadzę  
I złość wszytką wysadzę,  
Z domu tego  
Co przyjmie zaproszenie  
Głosu mego.

Śpiewali, tańczyli, dokazywali, witali Nowy Rok i żegnali stary, który wychodził z checzy jako pierwszy, jeszcze przed otrzymaniem zapłaty.

Bywało i tak, że jeden, czy drugi gospodarz odmówił gościny i nie wpuścił do chaty rozśpiewanej gromady.

Oj, niedobrze się działo wówczas z nim samym i z jego rodziną. Oj, żałował ponieważskąpy gbur, braku gościnności, gdy rankiem zobaczył swój drabiniasty wóz na dachu stodoły, albo narzędzia rolnicze zawieszane wysoko na drzewach. Oj, miał się z pyszna, gdy drzwi i okiennice zabite gwoździami nie chciały się otworzyć na Nowy Rok, Zrozumiał wówczas, co stracił.

Ale na ogół było miło i wesoło, zwłaszcza, gdy wspólnie śpiewano:

Rok Nowy jak zdrowie  
Niech do checzy wchodzi,  
Przywitać, ugościć  
Nowy Rok się godzi.

Kosz Starej Baby, który nosiła Hedwig, rodzona siostra Józwy, zapełniał się jedzeniem, a często i smakołykami, także suszonymi owocami. Monety wesoło brzęczały w kieszeniach Anioła i Diabła.

Po zabawie wszystko szło do równego podziału, tak, aby nikt nie był poszkodowany. Nawet Śmierć, czyli Waleska otrzymywała należną jej porcję, choć nie śpiewała, ani nie odzywała się z wiadomych przyczyn.

Zimowe igrce i zabawy kończyły zazwyczaj „Szcudroki”, na święto Trzech Króli, kiedy to miało miejsce najbardziej szcudrobliwie obdarowywanie kolędników wszelkim dobrem.

Wesoła gromada ze śpiewem słyszonym z daleka zbliżała się do domostwa:

Dobry wieczór, szcudry wieczór,  
Nam powiadają, że tu rogale pieczę,  
A jeżeli nie rogale, to bochenek chleba,  
Wasza dusza bez pokuty może iść do nieba.

Na takie słowa otwierały się nie tylko ludzkie serca, ale także spiżarnie, kredensy, komory mięsne oraz kiesy z brzęczącą monetą.

Oto i przyczyna złości. Złoto. Powtarzaj to słowo: złoto, złoto, złoto, a usłyszysz, że złoto, to zło. Wiele zła. Nic tak nie dzieli ludzi, jak pieniądze. To zło. Nie tylko ludzi, jak się okazuje, skoro również Diabła i Anioła poróżnić mogło.

Rozbawione dzieciaki odwiedzały właśnie jedno z ostatnich domostw, należących do majątku dworskiego w Kolibkach, śpiewając na pożegnanie:

Zdrowia, szczęścia Wam życzymy  
I bogactwa ponad stan,

Wszelkie troski i zgrzoty,  
Pozostawcie lepiej nam.

Jak na złość, jakby w złej chwili wypowiedziane to były słowa. Chojny gospodarz sypnął całą garść miedziaków na ganek swojej checzy, zamiast dać do ręki Aniołowi, czyli Antoszowi, bo na niego właśnie kolej wypadała.

Monety z brzękiem potoczyły się po ganku i wpadły w śnieg. Rzucił się za nimi Diabeł, czyli Poter, jako pierwszy, tuż za nim Antosz, lotem błyskawicy. Rzucili się na kolana, trzepiąc dłońmi w breje śniegu, aż Śmierć kosę upuściła z wrażenia. Waleska szeroko otworzyła usta, ale słowa wydobyć nie mogła, wszak była niemową. Diabeł odrzucił widły gnojne, dzwonek Anioła potoczył się, aż pod stodołę. Klepali śnieg, jakby wybijali drożdżowe buchty, ale monet znaleźć nie mogli.

- Przyjdzie wam poczekać do wiosny – zanosił się od śmiechu gospodarz, potrząsając grubym brzuchem. Ale chłopcy nie dawali za wygraną. Chwyтали teraz całe kawały ubitego śniegu w rozgrzane dłonie i wyciskali z niego wodę. Ale monet wycisnąć nie mogli.

- Tyś temu winien, Poter – krzyknął Antosz.
- A tyś nie lepszy – odkrzyknął Diabeł.
- Co? Co? Co? Moja to była kolej.
- A mnie to już nic się nie należy?

Zbliżyli się do siebie na odległość oddechu. Stali tak przez chwilę, pokazując w złości białe zębiska. Zbierali siłę w młodych mięśniach. Nie na darmo jedli ze smakiem gęste zupy ze szprotów, gotowane z marchwią i bulwami. Nie na darmo wcinali obfite pajdy chleba ze smalcem i całe porcje dorszy smażonych na tłuszczu z wątroby, a jedzonych wraz z ościami, jako że „ości wzmacniają zęby i kości”, jeśli wierzyć staremu kaszubskiemu porzekadłu.

Nagle, w okamgnieniu Diabeł zaatakował Anioła. Rzucił się na niego i powalił na ziemię. Poturlali się jak ryś z gęsią, po puszystym śniegu. Mocowali się zaciekle. To Anioł był u góry, to znów Diabeł przygniatał do śniegu Anioła. Och, jakże teraz różni byli od tych radosnych chłopców, kiedy roześmiani i pełni dobrej woli, kładli się na świeżym puchu, na wznak, odciskali swe chłopięce torsy, a rękoma i nogami zakreślali na śniegu łuki, tworząc odbicie podobne do orła. Ileż to orłów powstawało w ten sposób. Całe stada. Ale najbardziej upodobali sobie tę sztuczkę Antosz i Poter, Anioł i Diabeł. Jeden pozostawiał ślad idealnie biały, drugi, ciemniejszy nieco, z racji sady, niby to piekielnej, którą obsypywał się przed kolędowaniem.

Chłopcy byli już na dobre zziązani, kiedy Waleska podbiegła z kosą, stanęła nad nimi i zaczęła rozdzielać drewnianą żerdzią.

To niespodziewane widowisko walki Diabła z Aniołem w obliczu Śmierci zakończyło tegoroczne „Szcudroki”, anno domini 1666, gdzieś około południa.



Dalsza wędrówka nie miała już sensu. Anioł i Diabeł, wytarzani w śniegu, posapując ze złości otrzepywali śnieg z przemoczonych kostiumów. Anioł znalazł w śniegu widły gnojne, a Diabeł anielski dzwonek, który potoczył się pod stodołę. Wymienili się, rzucając do siebie swoje atrybuty i każdy poszedł w swoją stronę.

Poter poprawiając rogi zawrócił w stronę Karwin, Antosz zaś prostując skrzydła u ramion, ruszył w kierunku morskiego brzegu, dzwoniąc dzwonkiem dla dodania sobie animuszu.

Wstyd mu było z powodu całego zajścia, za co winą obarczał Potera. Wszyscy wiedzieli, że to była jego, Antosza kolej na przyjęcie detków. Poter – zdrajca, pomyślał Antosz w skrytości serca i ruszył przed siebie.

Mijało właśnie południe, szóstego dnia stycznia. Słońce blade jak wigilijny opłatek, anemiczne i jakby chore, zdołało jednak wyłocić szczyty nadmorskich wzgórz. Przypominały królewskie korony Kacpra, Melchiora i Baltazara.

Silny nadmorski wiatr wzbijał w górę tumany śniegu, jakby trzepał biały dywan na przybycie mędrców ze wschodu, mimo to Antosz postanowił pokonać strome wzgórza, dzielące go od morza, by stanąć oko w oko z żywiołem. Potrzebny był mu kontakt z morzem, gdyż smutek zagościł w jego młodej duszy. Wiedział już, mimo niewielu lat, jakie dane mu było przeżyć, że wielka woda zmywa wszelkie plamy, usuwa brud i obmywa zranioną duszę. Smutno mu było, ale nie zapłakał. Żałował tego, co się stało, ale cóż mógł począć?

Pokonywał stromiznę ostrożnie, a mimo to zapadał się po pas, a nawet po same skrzydła w śniegu, twardym i mokrym od północnej strony zbocza.

W dole groźnie pomrukiwało morze. Nie było całkiem zamarznęte. Na powierzchni falowała mialka kra.

Stanął wreszcie na brzegu. Z prawej strony zamglony Sopot, z lewej groźna postać redłowskiego haka. Dookoła zalegała nieskazitelna biel, rzekłbyś anielska, przesyta zimnym wschodnim wiatrem.

Ruszył żwawo w lewą stronę, ku rybackiej stacji, położonej tuż przy ujściu Kaczego Potoku.

Mimo iż od kilkunastu dni, bodaj od wigilii Bożego Narodzenia rybacy nie wychodzili w morze, kilka osób kręciło się przy stacji, na której zawsze jest co robić i w zimie i w lecie, i we dnie i w nocy.

Antosz dotarł wreszcie do Kaczego Potoku, stanął w głębokim wądole, u stóp lesistego garbu Redłowskiej Kępy, przyprószonej teraz siwizną mrozu.

- Szczęść Boże, krzyknął, zbliżając się do rybaków, którzy piekli ryby na wolnym ogniu. Otyłe cielska pomuchli nadzianych na patyki, przesytych nimi na wylot od pyska aż po ogon, spuchły na ogniu. Patrząc tylko, aż pęknie im skóra i pokaże się białe mięso. To będzie znak, że gotowe są do spożycia.

- Co się tu szlajasz, po zimnicy i sam? – zapytał jeden z nich, naciągając czapkę.

- Wracam ze „Szcudroków”

- A my myśleli, że to sam Archanioł Boży Gabriel odwiedził nas tu, na Trzech Króli – zaśmiał się drugi, zabijając zdrętwiąłe od mrozu ręce.

- Jak cię zwa? – spytał trzeci z sinym od mrozu nosem.

- Antosz. Antosz od Budziszów.

- A masz ci los, od Kacewia takiś kawał tu przyfrunął. Głodnyś pewnie. Dostaniesz, dostaniesz coś od ogona tej pomuchli. Niech no tylko trzaśnie na niej skóra, zaśmiał się stary rybak bezzębny ustami.

Nagle zdało się słyszeć przeraźliwy szum, jakby się zerwał szkwał.

- A co to u licha, czyżby Boreasz już się zbudził? To tak jakby od północy dmucha? – zapytał ten w czapce.

- Eee, za wcześnie. Dopiero co „szczodry” wieczór minął, Trzech Króli mamy, cieszymy się, radujmy – odpowiedział bezzębny.

Ale szum nie ustawał.

- Wiatr, kiedy chce, dmie i szum jego słyszysz, a nie wiesz skąd przychodzi i dokąd idzie – odparł trzeci zacierając ręce nad ogniem.

Antosz nie czekając, aż pęknie skóra pomuchli, wybiegł na zewnątrz i aż oniemiał z wrażenia.

W powietrzu, na wysokości urwistego cypla redłowskiej kępy, szybowały dwa potężne ptaszyska, jeden biały, drugi czarny.

- To nie wiatr, krzyknął w stronę rybaków. Dobrzy ludzie, to nie wiatr.

- To orły, stary rybak ze zdumieniem wytrzeszczał oczy.

- Orły, tutaj? Nigdy tu ich nie było.

- Widać tam, na szczycie mają swoje gniazda.

- Jeden biały, drugi czarny.

- Potężne ptaszyska, będą miały po dwa łokcie.

- A bodaj tam, ze trzy, jak nie więcej.

- A jak szybują, jakby płynęły po niebie – mówili jeden przez drugiego, podnieceni tym niezwykłym widokiem.

Nagle czarny ptak nastroszywszy skrzydła, odwrócił się gwałtownie w stronę białego, jakby szukał zaczepki. Zmącił spokojny, dostojny lot. Teraz oba orły leciały prosto na siebie. Zderzyły by się niechybnie, gdyby biały nie skierował w ostatniej chwili swego ciała w dół, unikając katastrofy. Leciały chwilę w przeciwnych kierunkach. Czarny zawrócił momentalnie i trzepotał długimi skrzydłami, unosząc je w górę i w dół. Zbliżał się niebezpiecznie do białego, chcąc go zaskoczyć atakiem.

Antosz patrzył na to zajście z niedowierzaniem. Skojarzył walkę czarnego orła z białym, jakby walczył on sam z niesfornym Poterem, o te parę bręczących monet. Po co im to było?

Tymczasem olbrzymie ptaszyska znów nalatywały na siebie. Zbliżały się na niebezpieczną odległość zderzenia w powietrzu, co mogłoby oznaczać śmierć jednego z nich lub obu. W ostatniej chwili, jakby wiedzione instynktem, pohamowały pęd, strosząc skrzydła i wysuwając w przód szponiaste nogi. Zwały się

na moment, chwytając ostrymi szponami. Posypały się pióra. Złączone ptaki, stanowiące jakby jedno ciało, zaczęły gwałtownie spadać w dół. I niechybnie spadłyby w zamarzające morze, gdyby w porę nie rozłączyły się. Znowu odleciały, każdy w swoją stronę.

- O co tu chodzi? – pytał Antosz samego siebie. O co walczą? Pamiętał jak wyglądają walki jeleni o łanię. Sam ojciec pokazywał mu to zjawisko w wiczińskich lasach, ale ptaki? O tej porze?

Znowu zbliżyły się do siebie. Teraz było widać wyraźnie, z jaką zaciekłością jeden drugiego stara się zaatakować. Dopaść w powietrzu. Nalecieć z góry. Wbić się szponami w ciało przeciwnika i dziobem roztrzaskać mu głowę. Ileż to razy nalatywały na siebie. Ileż to białych i czarnych piór posypało się na morski brzeg. W końcu wycieńczone walką na śmierć i życie, znowu zwarły się ze sobą, szczepiły szponami i nie mogąc szybować, zaczęły spadać w dół.

Zaciekle były tak bardzo, że nie rozłączyły się w porę i razem runęły w lodowatą breję.

Pióra spadały za nimi o wiele wolniej, tańczyły w powietrzu, jak liście.

- Utopią się, ratujmy je! – krzyknął Antosz, ale starzy rybacy dawno już pochwycili wiosła i zaczęli spychać łódź z brzegu.

Tymczasem czarny topił swego przeciwnika w wodzie. Stał na krze i uderzał dziobem białego. Już się zdawało, że go pokonał, gdyż pozostawał sam na powierzchni, ale biały nie dał za wygraną. Ocuciła go lodowata fala, wynurzył głowę nieopodal, wspiął się na krę i próbował zaatakować czarnego od tyłu.

Nie mogąc unieść się w powietrze z powodu mokrych i zamrożonych piór, zwarli się ponownie szponami i znowu razem wpadli w zamarzającą wodę.

Utopiłyby się tym razem niechybnie, gdyby ich rybacy nie wyłowili siecią. Wciągnęli wciąż szczepione lub też przymarznięte do siebie ptasie ciała i ruszyli w stronę brzegu.

W tym czasie Antosz zaczął zbierać pióra. Chciał mieć pamiątkę po tak niezwykłym zdarzeniu.

Zbierał tylko białe, bo uznał, że te czarne nie wróżą niczego dobrego.

Nazbierał ich całą garść. Obie garście. Dużo ich było. Postanowił, że obdaruje nimi tych wszystkich, którzy brali udział w „gwiozdce”, w „gwizdźkach” i w „szczodrokach”, a jeszcze wystarczy dla rodziców i sąsiadów. Wszystkim będzie opowiadał o tym niezwykłym zajściu.

Ale natychmiast przyszła mu do głowy myśl, że przecież on, jako Anioł może podreperować swoje anielskie, drewniane skrzydła, pokryte lichym kaczym pierzem, mocnymi piórami orła. Ucieszyła go ta myśl.

Odpiął skrzydła od ramion i zaczął dokładać do nich długie, gęste, białe orle pióra. Lotka przy lotce, dutka przy dutce, wciskał pióra w drewniane skrzydła. Dużo ich było. Wyglądały teraz jak prawdziwe, anielskie.

Przypiął je ponownie do ramion, uniósł ręce w górę i poczuł dziwną lekkość.

Podskoczył raz, podskoczył drugi i wydawało mu się, że odrywa się od ziemi, na czas dłuższy, niż pozwala na to normalny skok.

Czy będzie mógł latać, jak ptak, jak prawdziwy orzeł, czy też, być może, jak anioł?

Rozłożył szeroko ramiona, najszerszej, jak tylko mógł. Zaczął biec wzdłuż brzegu. Poczuł wiatr w skrzydłach. Zaczął unosić się w powietrzu. Brzeg oddalał się od niego. Spojrzał w dół, lecz nie czuł strachu. Widział, jak rybacy na brzegu wyciągają z łodzi zaplątane w sieci dwa potężne ptaszyska.

Spojrzał przed siebie i zobaczył nagie, pozbawione drzew i zarośli skalne urwisko redłowskiego grzbietu.

Może tu gnieźdzą się te drapieżne ptaki, pomyślał i ruszył śmiało ramionami, raz, drugi, trzeci. Poczuł świst wiatru w uszach. Leciał, nie wiedząc, czy na swoich, anielskich leci skrzydłach, nasadzanych orlimi piórami, czy też na skrzydłach wiatru?

Jedno było pewne. Zbliżał się do miejsca chronionego przez morze i wiatr, gdzie nigdy jeszcze ludzka noga nie stanęła. Wzbił się jeszcze wyżej, ponad korony drzew i wreszcie oczom jego ukazały się orle gniazda, uwite na szczytach starych dębów.

Tu mieszkają, tu się lęgną, tu żyją i umierają orły.

Wyniosły, nagi klif odważnie wychodzący w morze, godny był siły i dumy tych niezwykłych ptaków.

To odkrycie wprawiło w zachwyt śmiałego Antosza. Postanowił lecieć dalej, wzdłuż linii brzegu, by mieć pewność, że się nie zgubi.

Widział w dole zalesione Redłowo, mijał Kamienną Górę, zbliżał się do Gdyni, zwanej dumnie Wielką Wsią, mimo iż tak naprawdę była małą rybacką wioską.

Wszystko widział dokładnie, jak na dłoni. Ciemna linia z lewej strony, to Królewska Droga, wiodąca z Gdańska przez Sopot, Gdynię i Oksywie do Pucka, a nawet jeszcze dalej, do Żarnowca. Z prawej strony, szara smuga helskiego półwyspu, obejmowała jakby ramieniem marznącą zatokę.

Gdy tylko minął Kamienną Górę zniżył nieco lot. Zauważył, że coś dziwnego porusza się Królewskim Traktem.

Pamiętał opowieści dziadka Budzisha o wyprawach książąt pomorskich: Bogusława, Sambora, Świętopełka i Mestwina, których wojska przechodziły właśnie tą drogą. Pamiętał o wizytach polskich królów, Zygmunta III Wazy i jego syna Władysława IV, którzy przemierzali ten trakt, nazwany na ich cześć Królewską Drogą.

Ale teraz nie mógł uwierzyć własnym oczom. Bo teraz, właśnie teraz, bitym traktem, przejeżdżał orszak Trzech Króli. Mędrcy świata, monarchowie, spieszenie dążyli na dwugarbnych wielbłądach, ale dokąd?

Jak to dokąd, rozmawiał Antosz sam z sobą, do betlejemskiej szopy wiozą dary Jezuniowi. Mijają właśnie chyłońskie torfowiska.

A gdzież może być ta szopka, rozmyślał dalej Antosz, szybując w górę. Ale gdy tylko dostojny orszak trzech królów magów minął chyłoński jęzor i zaczął powoli wspinać się pod oksywską górę, Antosz nie miał już wątpliwości, że betlejemską szopkę odnajdą w oksywskim kościele.

Nie miał wątpliwości, zwłaszcza, że silny, północny wiatr zwany Boreaszem ustawał, zgodnie ze starym porzekadłem: „Trzej Królowie wichry ciszą i krzyżyki na drzwiach piszą”.

Poszybował w stronę oksywskiej góry. Przed kościołem czekał już spory tłum. Antosz zniżył lot i usłyszał, jak lud boży śpiewa w skupieniu:

Mędrcy świat, złość okrutna  
Dziecię prześladowe,  
Wieść to straszna, wieść to smutna,  
Herod spisek knuje.  
Nic monarchów nie odstrasza,  
Do Betlejem spieszą,  
Gwiazda zbawcę im ogłasza,  
Nadzieją się cieszą.

- Patrzcie anioł, leci prawdziwy anioł – usłyszał krzyki z dołu.
- To cud, to cud.
- To nasz patron, Michał Archanioł.
- Zaraz się pojawią oni, Trzej Królowie
- Czekajmy, czekajmy, to cud.

Ale Antosz, nie zważając na te i inne okrzyki rozentuzjarmowanego tłumu, opuścił skrzydła i zgrabnie osiadł na ziemi, tuż za oksywskim kościółkiem, skąd tak piękny widok rozciąga się na całą bożą zatokę. Od strony zakrystii wszedł do kościoła i przez nikogo niezauważony, zbliżył się do szopki przy ołtarzu.

Dzieciątka leżało na sianie, Maria z Józefem stali tuż obok kołyski, dalej wół i osioł, koza, a nawet niedźwiedź. Zupełnie daleko stanęła śmierć z kosą. Tylko diabła nie było. I tak bałby się święconej wody. Ach, ten podły Poter, pomyślał Antosz i zastygł w bezruchu.

Do świątyni, przy dźwiękach trąb, wkraczali królowie. Nieśli przed sobą dary: złoto, kadzidło i mirrę. Zapalono świece. Zrobiło się jasno i ciepło, jak w niebie. Antosz stał nieruchomo przy szopie, aż w końcu zdrętwiały mu nogi i ramiona zmęczone długim lotem. Poruszył się nieznacznie i wtedy jedno śnieżno-białe pióro z jego anielskich skrzydeł spłynęło do stóp kapłana.

- I oto jeszcze jeden żywy znak, oznajmił ksiądz, unosząc pióro ku górze. Pochodzi ono ze skrzydła tego anioła, który jest w istocie Archaniołem. Patronem naszej świątyni i całego oksywskiego wzgórza.

Nie spostrzegł ów dobrodziej, głoszący w natchnieniu słowo boże, że to orle, a nie anielskie pióro. Skąd mógł wiedzieć, czym różni się od siebie. Jak również nie wiedział, że miejsce skąd pochodzi, miejsce śmiertelnej walki dwóch orłów, nazwane zostanie Orłowem.

# DĄBRÓWKA



zamierchłych czasach, których z pewnością nie pamiętają wasze babcie, ani prababcie, jeśli je jeszcze macie, a jeśli macie, to kochajcie je gorąco, bo i one was kochają nieskończenie żarliwą miłością, między pagórkowatymi wzgórzami Karwin, a płaskim Wiczlinem, żył pewien drwal z rodziną. Dąb mu było na imię. Chłopisko było rosłe i silne, jak przystało na drwala, który od łososiewego świtu, aż po liliowy zmierzch wymachiwał swą bystrą, ostrą, srebrzystą siekierą. Dąb potrafił powalić dziarskimi uderzeniami śmigłego topora najtęższe nawet drzewo. Mniej dorodne obejmował swoimi żelaznymi ramionami i wyrwał z korzeniem i powalał na ziemię. Był osiłkiem niezwykłej miary.

Mimo tak świetnej kondycji, pracowitości i poświęcenia życie jego dalekie było od dobrobytu i dostatku.

Mieszkał ze swą kochaną żoną Dąbrową i z dwojgiem dzieci: Szyszką i Listkiem w ubogiej, drewnianej chacie, pośród leśnych ostępów.

Pewnej jesieni, kiedy jest najwięcej pracy w lesie przy wyrębie, zauważył, że liście dębów, buków, grabów, brzoź, a nawet leszczyny opadają tak gwałtownie, jakby okrutna zima, zbliżała się dużymi krokami. Mrówki opuściły już kopce mrowisk, schodząc do podziemnych korytarzy, wiewiórki z zapałem gromadziły buczynę w swych dziuplach, robiąc zapasy na długą i ciężką zimę.

Nie pomylił się Dąb w swoich spostrzeżeniach. Tuż po Wszystkich Świętych ziemię spowił biały całun. Cicho zrobiło się dookoła. Martwo, jakby ziemia umarła lub przynajmniej ułożyła się do długiego, puchowego snu. Czasem tylko zmarznięta wrona przerywała białą ciszę swoim złowróżbnym krakaniem.

A w Dębowej chatce wesoło buzował ogień w piecu, jedynym, jaki mieli. Piec ten, jak najlepszy przyjaciel grzał ich w zimowe poranki i wieczory, kiedy to spotykali się całą rodziną i chłonęli miłe ciepło, patrząc, jak płomienie wesoło dokazują.

W zimowe, krótkie i na ogół pochmurne dni Dąb szedł do lasu po chrust, który służył im za opał. Pewnego zimowego poranka, kiedy mróz ścisnął w pięść swą lodowatą łapę, Dąb wyruszył do lasu z niemałym strachem. Mało to razy sam znajdował zamrzniętych w lesie? Stąpał więc dziarsko dużymi krokami, przytupując dla rozgrzania stóp. Wypuszczał przy tym kłęby białej pary z ust

i zabijał z całej siły ręką, by odstraszyć chłód. Mróz był nieubłagany. Drzewa, których życiodajne soki zamarzyły na kamień, trzaskały z hukiem, a wtedy z gałęzi obłożonych grubą warstwą śniegu sypał się biały puch.

- Muszę zbierać drwa, by ogrzać moje dzieci i moją żonę, żeby mogła nam coś na ogniu ugotować, powtarzał głośno dla dodania sobie animuszu.

Nagle dostrzegł ślady na śniegu, głębokim po kolana. Przeraził się zrazu myśląc, że to stopy niedźwiedzie, ale już po chwili nabrał pewności, że szedł przed nim mężczyzna, a dokładnie dwóch.

Któż to mógł być w lesie o tej porze? Rozejrzał się dokoła, ale w okolicy nie było żywej duszy.

- Nie podoba mi się to. Czyżby ktoś wykradał drzewo z pańskiego lasu? – zastana-wiał się, gdy do jego zmarzniętego ucha dobiegł dziwny głos. Ni to płacz, ni to kwilenie.

- A może mi się tylko zdawało? – pomyślał i zaczął przysłuchiwać się bardziej wnikliwie, unosząc brzeg czapki znad ucha.

Kwilenie powtórzyło się.

- Co u licha? Zwierzę to, czy ptak? Może jest w sidłach? Ach, to pewnie bezlitośni kłusownicy zastawili swoje wnyki. Już ja im dam nauczkę! Nasłuchiwał uważnie.

Tymczasem anemiczne kwilenie przerodziło się najpierw w regularne łkanie, potem zawodzenie, wreszcie w głośny płacz. Dąb nie miał już wątpliwości. Był to płacz dziecka. Dobrze mu przecież znany. Miał dwoje własnych dzieci. Jego Szyszka i Listek, jeśli płakały częściej, niż inne dzieci, to tylko dlatego, że płakały z biedy.

Nagle na pniu ściętego drzewa, które jeszcze w październiku szumiało bogactwem swego listowia, dostrzegł zawiniątko, z którego wydobywał się dziecięcy płacz. Podszedł do pnia i stał w bezruchu dobrą chwilę, wsłuchując się w ten pełen błagania głos. W końcu schylił się i podniósł kwilący, biały gałganek. Dziecko umilkło.

Dąb niewiele się zastanawiając wsunął zawiniątko za pazuchę i skierował swe kroki w stronę chaty.

Na pewno jest zmarznięte, na pewno głodne, może mokre – myślał w duchu.

Gdy wchodził do ciepłej izdebki, Dąbrowa stawiała na stole parujący garnek. Zalewajka – dobra zupa. Nęcący zapach żuru roznosił się po całej chacie. Dzieci niecierpliwie uderzały drewnianymi łyżkami o drewniany blat stołu, patrząc, jak matka nalewa strawę do drewnianych misek.

- Spójrzcie, spójrzcie tylko. Coś wam przyniosłem. A właściwie kogoś... spoj-rzał za-trwożony na żonę.

- Jak to kogoś?

- Chyba dziecko...

- Chyba?

Dąb położył zawiniątko na stole. Pochylili się nad nim, zapominając o zupie.

Dąbrowa rozwiązała rzemienie białego gałganka i oczom wszystkich ukazało się prawdziwe, żywe dziecko.

- Nie dość mamy dzieci? Mało to z nimi kłopotów? Bywa, że nie ma co do garnka włożyć, a tu jeszcze jedno dziecko w chałupie?

- A co, miałem je na mrozie zostawić? Leżało w lesie i płakało. Pożarłby je wilk, czy ryś.

- No i co my teraz zrobimy? Przyjdzie nam biedować jeszcze bardziej niż dotąd.

- Spójrzcie, jakie ona ma czarne oczka, zauważyła Szyszka.

- Czarne oczy... może to cygański podrzutek, zaśmiała się Dąbrowa.

- Dlaczego ona ma czarne włosy? – dziwił się Listek. Przecież my mamy białe.

- A może to szatański pomiot? – szepnęła Dąbrowa, patrząc złowrogo na męża. Napyta nam większej biedy, przyniesie nieszczęście...

- Gdzie dwoje dzieci chować się może, tam i dla trzeciego miejsca nie zabraknie – odrzekł zdecydowanie Dąb, dorzucając drwa do ognia.

- Jak ona przymilnie się uśmiecha, zauważyła Szyszka. Jak jej na imię?

- Kto to może wiedzieć? – zastanawiał się Dąb, patrząc w ogień.

- Co ona ma na szyi, co to takiego?

Dopiero teraz spostrzegli, że szyję dziewczynki przyozdabia naszyjnik.

- To najprawdziwszy bursztyn, stwierdziła Dąbrowa. Możemy dostać za to dużo pieniędzy, dodała, zacierając ręce.

Ale ojciec zdjął bursztynowy naszyjnik z szyi dziecka i schował go do skrzyni.

Jakie imię nadać znalezionemu dziecku? Znajda? To byłoby zbyt okrutne, na zbyt drastyczne piętno na całe życie. Więc jak?

Była inna niż dzieci Dąbrowy. Szyszka i Listek miały płowe główki, różową cerę, błękitne oczy o jasnym spojrzeniu. Podobne były do swoich rodziców, jak szyszki, czy liście z jednego drzewa.

Ale ona? Ciemnowłosa, kruczowłosa, śniada, jakby z innego świata.

Długo myśleli, długo błędzili, długo szukali. W końcu ojciec orzekł:

- Skoro ja jestem Dąb, a ty Dąbrowa, niech więc jej będzie na imię Dąbrówka.

I tak też się stało.

- Dąbrówka, Dąbróweczka, Dąbrówieńka – dochodziło ze wszystkich kątów izby wołanie, a ciemnowłosa, ciemnowłosa i czarnobrewa dziewczynka śmiała się na dźwięk swego pięknego imienia.

Dąbrówka rosła razem z Szyszką i Listkiem, ku radości rodziców, którzy choć nie byli jej prawdziwymi rodzicami, to kochali ją przecież całym sercem i traktowali, jak własne dziecko.

Wspólne spanie i wspólne wstawanie, wspólne posiłki i zabawy, wspólne spacerowanie i pacierze. Wszystko było wspólne.



Wrosło to dziecko w rodzinę drwala, jak drzewo wrasta w las, a las w okolicę.

Ale mimo wszystko widać było, że Dąbrówka jest inna. Jakby nie z tej rodziny. Nie tylko urodą odbiegała od dzieci Dębu i Dąbrowy, ale różniła się także od dzieci z siedliska, głównie płowogłowych i niebieskookich.

Była bardzo ładna. Można by rzec, piękna. Jej delikatne ciało, smukłe i giętkie, przypominało postać kwiatu, którego łodyga dźwiga wdzięcznie kształtną główkę. Oczy miała bystre, ciemne, jak czarny diament. Te oczy o kształtach migdałów, patrzyły na świat w sposób niezwykle dojrzały, patrzyły mądrością minionych pokoleń.

Dąbrówka wiedziała o tym, że jest ładna. Cieszyła ją własna uroda.

- Czy widzicie jaki mam zgrabny nosek? – pytała, spoglądając w lustro.

- Jak wam się podobają moje włosy? Czy ktoś widział takie loki? Uśmiechała się przy tym do siebie, jakby była w sobie zakochana.

Istotnie dzieci z siedliska noski miały raczej perkate, zadarte, nakrapiane piegami, a włosy jasne i proste jak len.

Również charakter miała odmienny. I usposobienie.

Zastanawiało to rodziców, potem zaczęło dziwić, w końcu martwić.

Dąbrówka była inna. Jakby ulepiona z innej gliny, jak się to mówi od czasów biblijnych.

Była dzieckiem wyniosłym, łatwo unoszącym się ambicją, obrażała się, dąsała i gniewała często. Łatwo też było ją skrzywdzić, dotknąć, urazić.

Zdarzyło się tak, że Dąbrówka, dziewczynka o silnych, przywódczych cechach, podporządkowała sobie całą czeredę dzieciaków, tak chłopców, jak i dziewcząt, które biegały za nią przez cały boży dzień, wykonując wszystkie jej polecenia.

Wystarczyło, że krzyknęła:

- Niszczymy mrowisko...

albo

- Psujemy gniazdo...

a już gromada dzieciaków stawiała się na rozkaz.

Przyłapaną przez Dęba lub Dąbrówkę, na gorącym uczynku, mówiła:

- Mnie wolno. Ja jestem inna.

- Bądź taka, jak wszystkie dzieci – prosił Dąb.

- Jestem najładniejsza, najzgrabniejsza, umiem się kłaniać i tańczyć, jak żadne dziecko z waszej wsi.

- Zobacz, jakie nasze dzieci są grzeczne.

- Są posłuszne, bo się was boją. A ja nie.

Z czasem jeszcze gorsze opinie zaczęły dochodzić do zrozpaczonych rodziców Szyszki i Listka.

Dąbrówka okazała się po prostu okrutna. Naumyślnie niszczyła ogrodowe plantacje kwiatów, które zdobić miały pańskie stoły. Obrywała barwne główki kwitnących tulipanów i rzucała nimi dla zabawy.

Deptała fioletowe i żółte krokusy, kiedy tylko wystawiały z ziemi swoje korony.

- Skąd bierze się w niej to zło?

- Co w niej mieszka? – dziwili się Dąb z Dąbrową, nie bardzo wiedząc, co począć z Dąbrówką, jak ją wychowywać, jak ją kształtować?

Była uparta, krnąbrna, nieposłuszna. Potrafiła rzucać kamykami w wiewiórki, które myśląc, że Dąbrówka rzuca im orzeszki, jak czyniły to inne dzieci, chętnie skakały wokół niej, odbierając niespodziewane i niezasłużone ciosy.

Była także samolubna.

Oto pewnego letniego dnia przechodziła przez wioskę żebraczka. Szła otulona w łachmany, przewiązane konopnym sznurem. Stopy miała bose i okrwawione. Widać było, że przeszła szmat drogi i ślania się z wycieńczenia. A upał był tak niemiłosierny, że rozgrzane powietrze aż drgało od gorąca.

Dąbrówka odpoczywała właśnie w cieniu lipy, rosnącej przy wejściu do chaty, popijając chłodną wodę ze studni, osłodzoną miodem, gdy żebraczka zastukała kijem w drewniane drzwi.

- Czego chcesz, starucho? – zapytała Dąbrówka nie podnosząc nawet głowy, zasypując sobie usta garścią poziomek, które Szyszka i Listek przynosili jej z lasu. Właśnie poszli po nową porcję.

- Daj mi choć łyk wody, dziewczynko, spragniona jestem, gardło mam suche i piekące, a upał taki okrutny.

- Wynoś się stąd, wracaj tam skąd przyszedłaś, a jeśli po drodze napotkasz kałużę, to będziesz się mogła napić.

Krzyknęła z taką złością i tak głośno, że usłyszał te słowa Dąb, rąbiący drzewo za chałupą. Zdziwiły go niepomiernie, bo nikt nigdy w jego rodzinie nie mówił takim językiem. Przybiegł co tchu, nie odkładając siekiery.

- Dąbrówko, jak możesz, ty masz chyba serce z kamienia.

- Widocznie mogę. Mam serce z kamienia, ale to szlachetny kamień. Ale ty nic nie możesz. Nic nie możesz mi zrobić. Nie jesteś moim prawdziwym ojcem.

- Czy nie okazałem ci litości, zabierając z lasu, gdzie zginęłabyś marnie? Czy i ty nie powinnaś okazywać wdzięczności za to, że żyjesz?

- Ja się na świat nie prosiłam, a już na pewno nie do takiej rodziny.

Zerwała się z posłania i pobiegła przed siebie.

Żebraczka, która słyszała całą rozmowę, aż przysiadła z wrażenia.

- Wstańcie, dobra kobieto, wejdźcie do naszej chatki. Odpoczniecie troszkę, posilicie się, zanim pójdziecie dalej.

Uboga kobieta przekroczywszy próg chaty drwała zaczęła głośno płakać. Łkała żałośnie, a łzy, jak żywica z dorodnej sosny, spływały jej po twarzy. Nie chciała już pić, ani jeść, chciała tylko poznać prawdę.

- Czy to ty znalazłeś w lesie dziewczynkę?

- Tak, zimą, dziewięć lat temu.

- O Boże, Boże... zaczęła znów płakać, ukrywając twarz w dłoniach.

- Przyniosłem ją do domu, ogrzałem, nakarmiłem...
- Czy miała na szyi...
- Bursztynowy naszyjnik – odpowiedział Dąb, nie czekając na pytanie. Ale zaraz, zaraz, co ja z nim wtedy zrobiłem?
- Schowałeś do skrzyni – podpowiedziała Dąbrowa, która właśnie weszła do chaty.
- Ach, prawda. Musi więc w niej leżeć.
- Kiedy uboga kobieta zobaczyła naszyjnik z mieniącego się, bursztynu, uśmiechnęła się, wzięła go do ręki i ucałowała, jak całuje się różaniec przed modlitwą.
- Tak, to ona, teraz wiem na pewno, to moja córeczka, wyznała uboga niewiasta i znowu zaniósła się płaczem.
- Nie płaczcie dobra kobieto, zaraz ją zawołam i odtąd będziecie już razem. Ale jak to się stało, że wasze dziecko znalazło się w lesie, w czasie tak siarczystych mrozów?
- Zbójcy ją nam porwali. Naszą kochaną córeczkę. Dla okupu. Naszą Sessilis. Natychmiast wysłaliśmy strażę ze dworu, a oni, przestraszeni, że zostaną schwytani, porzucili dziecko w lesie. Och, jakże ci jestem wdzięczna drogi drwalu, że okazałeś jej tyle serca. Obojgu wam nie odwdziczę się do końca życia za waszą dobroć. Szukam jej od tamtego czasu, chodząc po świecie, od zagrody do zagrody, choć mogłabym jeździć powozem. Szukam jej w żebraczych łachmanach, na boso, choć mogłabym chodzić w sukniach z atłasu i skórzanych trzewikach.
- No to ja już pójde zawołać naszą, a właściwie już nie naszą Dąbrówkę.
- Wołał ją i wołał, z całych sił, wołał na całe gardło, odpowiadało mu tylko leśne echo.
- Matka Dąbrówki nie mogąc już dłużej czekać, postanowiła wyjść jej naprzeciw.
- Dąbrówka wróciła dopiero przed północą, jak to miała w zwyczaju, kiedy się obrażała. Drwal spał już na dobre i chrapał głośno, jakby piłował potężny pień. Spała jego żona i synek. Czuwała tylko Szyszka, wiedząc, że Dąbrówka w końcu powróci i na pewno będzie głodna. Czekala więc cierpliwie.
- I oto przed północą usłyszała stukanie. Wiedziała, że to Dąbrówka. Wstała, po cichutku otworzyła drzwi i nagle aż krzyknęła z przerażenia. Przed nią stała dziewczęca postać w ubraniu Dąbrówki, ale wcale do niej nie podobna. Piękna twarz dziewczynki zamieniona została w pysk żmii. Po czarnych włosach nie było śladu. Zastąpiła je chropowata łuska.
- No co, nie poznajesz mnie? – spytała z sykiem, a z ust jej wysuwał się podwójny język. Wpuszczaj, głupia Szyszko.
- Jak ty wyglądasz? Co ci się stało?
- To moja sprawa. I tak jestem ładniejsza od ciebie.
- To spójrz do lustra.
- A co to za czary? – Dąbrówka aż syknęła ze złości. Jestem teraz żmiją.

Chciała głośno zapłakać, ale nie mogła, wszak żmija płakać nie potrafi, bo serce ma zatrute jadem.

- Nie! Nie!! Nie!!! – zaczęła krzyczeć, gdyż ogarnęło ją przerażenie. Byłam taka piękna, najpiękniejsza, a teraz co...

Zbudził się Dąb, zbudziła się Dąbrowa. Spojrzeli z niedowierzaniem na dziewczynę o twarzy żmii, nie wiedząc, czy to sen, czy jawa.

- Zawołajcie lekarza, może coś poradzi – syczała ze złości Dąbrówka.

- To nie choroba, to kara – odrzekł Dąb, rozbudzony na dobre. Ta uboga kobieta, której kazałaś pić z kałuży, to twoja prawdziwa matka. Rozpoznała bursztynowy naszyjnik, który miałaś przy sobie, kiedy przyniosłem cię z lasu. Szukała cię przez dziewięć długich lat, ale teraz czas, najwyższy czas, byś ty zechciała ją odnaleźć. Więc ruszaj w drogę.

- Ale jak ja się ludziom pokażę? Z taką twarzą?

- Twarz jest obrazem duszy, moja droga Dąbrówko. Zmień duszę, a twarz twoja znów stanie się piękna.

I wyszła Dąbrówka z chaty drwala w ciemność nocy.

Błąkała się po ciemnym lesie, przypominając szkody, jakie wyrządziła roślinom, zwierzętom i ludziom.

- Jak mogłam być tak niewdzięczna? – pytała samą siebie. Jak mogłam niszczyć, marnotrawić, zadawać ból? Jak mogłam być tak pyszna i zarozumiała?

O świcie, zmęczona, przysiadła na pniu świeżo ściętego drzewa i zamierzała odpocząć chwilę, gdy usłyszała kwilenie. Odwróciła się i spostrzegła małego rudzika, który wypadł z gniazda. Ostrożnie podniosła z mchu bezradne pisklę, ledwo opierzone, rozejrzała się dookoła, spostrzegła gniazdo, niezbyt wysoko uwierte między pniem, a gałęzią. Wspięła się na palcach i wsunęła pisklę do środka. Odpowiedział jej wesoły szczebiot. Uśmiechnęła się w myślach, bo żmija przecież nie potrafi uśmiechać się naprawdę i poszła dalej przez las.

W samo południe wyszła na skraj lasu, bo robiło się już bardzo gorąco. Dostrzegła uciekających brzegiem łąki kłusowników. Po chwili w zaroślach usłyszała nerwowe szamotanie. To młody zajęczek wpadł w sidła. Postanowiła mu pomóc. Najpierw odczepiła drut od drzewa, a potem rękoma rozchyliła żelazne szczęki, które uwięziły nogę biednego szaraka. Skulony pobiegł do swej zajęczej mamy.

Po południu usiadła nad brzegiem leśnego ruczaju. Miała nadzieję, że zaśnie choć na chwilę, po upalnym dniu i nieprzespanej nocy, ale gdy tylko przyłożyła głowę do miękkiego mchu, usłyszała szczenięce skomlenie. Rozejrzała się dookoła, lecz nie dostrzegła nikogo. Zeszła nad brzeg i tam dopiero oczom jej ukazał się worek rzucony w wodę. W worku tym coś rozpaczliwie się ruszało. Weszła do wody i wyciągnęła na brzeg ciężki, ociekający wodą worek. Rozwiązała sznurki, a z worka wyskoczyły trzy szczeniaki, które niechybnie utopiłyby się, gdyby nie pomoc Dąbrówki.

- Co ja z nimi zrobię, czym je nakarmię? – pytała samą siebie. Ach, sama nie zjem, aby je zachować przy życiu.

Wędrowała dalej. Szła przez karwińskie lasy, szła wzdłuż kacewskiego potoku, od-dając po drodze szczenięta w dobre ręce gospodarzy.

Doszła wreszcie do Orłowa, a stamtąd brzegiem morza do Gdyni.

Tam, wieczorem, przed kościołem Najświętszej Marii Panny, zbudowanym na ziemi podarowanej przez Elżbietę Skwierczównę, zobaczyła ubogą kobietę otuloną w stare łąchmany. Wydawało się, że kobieta odmawia różaniec. Gdy podeszła bliżej okazało się, że trzyma w ręku bursztynowy naszyjnik.

Siedział tam jeszcze, starszy od niej żebrak, z głową opartą na podróznym kiżu.

Dąbrówka przyglądała się tej parze dłuższą chwilę, po czym zbliżyła się do żebraka. Stała za jego plecami, by nie dostrzegł jej potwornej twarzy.

- Ta kobieta, która siedzi na schodach kościoła jest moją mamą. Odmówiłam jej kubka wody i kazałam pić z kałuży, a teraz bardzo, bardzo tego żałuję. Proszę cię, bo pewnie ją znasz, uprosz ją, by zechciała mi przebaczyć.

- Podejdź do niej, obejmij ją i powiedz jedno słowo. Przepraszam.

Dąbrówka wolnym krokiem i ze spuszczoną głową podeszła do matki, uklękła przy niej, objęła ramionami, wtulając twarz w stare łąchmany i wyszeptała:

- Przepraszam, mammo...

Wtedy matka położyła rękę na jej głowie. Dąbrówka poczuła dziwnie kojące ciepło, jakiego dotąd nie znała.

- Wstań – powiedziała żebraczka.

- Wstań – powiedział żebrak.

Dąbrówka podniosła się i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Przed nią stała książęca para, odziana w purpurę.

- Jaką piękną mamy córkę, powiedział książę.

- I jaką kochaną, dodała księżniczka.

Łuska żmii opadła z jej głowy, oczy wróciły na dawne swoje miejsce. Pukle czarnych włosów zdobiły jej głowę.

Czy to nie cud, że dziecko wróciło do swych rodziców? Kochana, dobra Sessilis, bo takie było jej prawdziwe imię, odnalazła mamę i tatę.

A na pamiątkę tego zdarzenia, miejsce dawnej chaty drwała, nazwano Dąbrówką.

# DZIAŁKI LEŚNE



ie tak dawno temu, w czasach, które doskonale pamiętają wasze babcie i prababcie, mieszkał na Działkach Leśnych pewien bursztyniarz.

Stary już był i odczuwał swoje lata, ale wciąż powtarzał, że bursztyn jest jeszcze starszy, a tak się dobrze trzyma. Kochał to kruszywo.

Przez całe życie, podobnie, jak i jego ojciec robił bursztynowe korale, wisiory i wisiorki, robił bransolety i kolczyki, spinki i pierścionki, krzyżyki, a nawet całe różańce, broszki, szkatułki i puzderka, nożyki do papieru i do otwierania listów, nawet lufki do papierosów i ustniki do cygar oraz tabakierkę potrafił wykonać z bursztynu.

Oprawiał bursztyn w srebro i w złoto, w miedź i platynę. Szlifował i polerował, nadając bryłkom miodowego jantaru fantazyjne kształty.

Ach, jakich on kawałków bursztynu w rękach nie trzymał. Żółte i brunatne, czerwone, białe i czarne nawet, o tłustym połysku, piwne, złociste, rdzawe...

Matowe i przezroczyste, gładkie i chropowate, a także te najbardziej poszukiwane, z niespodzianką w środku, z muszką, czy komarem sprzed tysięcy lat, ze źdźbłem trawy lub igłą sosnową, z ziarnkiem piasku, czy kropelką wody, zamkniętą w dawnej żywicy, która w ciągu tysięcy lat zamieniła się w drogocenny bursztyn.

Pan Dawid, bo takie wykwintne imię nosił ów artysta, który dobrze znał swoje rzemiosło i rzemieślnik, który pojął arkaną sztuki zdobniczej. Skupował bursztynowe kruszywo i wyrabiał istne cuda jubilerskiej sztuki. Prowadził swój zakład od wielu lat, przy ulicy Pomorskiej, na Działkach Leśnych.

Był to teren rozpostarty na czterech wzniesieniach, oddzielonych od siebie dolinami. Biegły nimi ścieżki leśne lub drogi, z których najważniejszą była Droga Witomińska oraz Pańska Droga, wieki całe udeptywana przez rybaków dostarczających ryby do klasztoru w Kartuzach.

Na Działkach Leśnych planowano powstanie bardzo ekskluzywnej dzielnicy willowej, z teatrem, kościołem, szkołą i pocztą. Stanąc one miały na szczytach poszczególnych wzniesień.

Pan Dawid przed wejściem do pracowni zakładał długi, biały fartuch, po czym otwierał drzwi swego królestwa, do którego nikt nie miał prawa wstępu. Nawet jego kochana żona.

Czegóż tam nie było? Pilniki, pilniczki i noże, piłki i wiertła, palniki, szczypcy, obcęgi, kowadełka, młoteczki, jednym słowem cały warsztat, który umożliwił mu wykonywanie bursztynowej biżuterii.

Jego żona w tym czasie, krzątała się po domu, pielęgnując kwiaty w doniczkach i w ogrodzie. Prowadziła dom i ogród najlepiej, jak potrafiła. Od dziecka kochała kwiaty, kiedy mieszkała jeszcze w swym rodzinnym Wielu. I podobnie jak jej mama, wierzyła w kraśnięta, dobre domowe duchy, krasne ludki, podobne we wszystkim do człowieka.

Mieszkają one najczęściej pod pniami drzew, szczególnie jabłoni i bzu. Na ziemię przenoszą się do chałupy, wykorzystując mysie dziury pod podłogą lub miejsce za piecem.

W Wielu, jak i na całych południowych i północnych Kaszubach najczęściej można je spotkać w oborach i stajniach, gdzie doglądają koni, którym płaczą grzywy i ogony w warkocze. Ale najbardziej nawet narowisty koń nie skrzywdzi kraśniętka. Zresztą, któżby się odważył skrzywdzić bezbronnego skrzata?

Wiadomo również, że nie można ich wypędzać z domu, bo wraz z nimi wypędza się szczęście. A raz wyrzucone kraśnięta, nigdy już nie wracają.

W dawnych czasach, spytajcie o to swoje babcie, nie było gospodyni, która by czegoś w garnku, na kuchni lub na stole nie zostawiła kraśniętom do jedzenia i do picia. Trochę ziemniaków, okruchy chleba. Kraśnięta bardzo lubią miód, podawany w orzechowych łupinach oraz mleko, stawiane koło progu w skorupkach od jaj.

A kraśnięta, jak to kraśnięta za każdą najmniejszą nawet wyświadczoną przysługę, okazują swą wdzięczność.

Szła wiosna, a za nią skwarne lato, przyciągające nad morze, nieprzebrane rzesze turystów. Każdy z nich chętnie sięgał po pamiątkę znad morza – magiczny bursztyn. Dlaczego magiczny?

Bo pochodzi z dawnych, bardzo dawnych czasów, kiedy teren dzisiejszej Gdyni porastały olbrzymie lasy, bo kryje w sobie tajemniczą siłę przyciągania, posiada właściwości lecznicze, no i co najważniejsze, przynosi szczęście.

Wyobraźcie sobie, że pewnego wiosennego dnia w pracowni mistrza Dawida skończył się bursztyn.

- Muszę sprowadzić większą ilość kruszywa, bo lato się zbliża, a wraz z latem turyści, zwierzał się żonie.

- Zamów u poławiaczy, to ci przyniosą, radziła żona.

Złożył zamówienie. Czeką jeden tydzień, drugi... pół miesiąca mija, a tu nic. Bursztynu ani na lekarstwo.

- Cóż ja biedny pocznę?

- A może bursztyn skończył się już na świecie? Wszystko się kiedyś skończy, zmartwiła się żona.

- Dobrze, niech się kończy, ale dlaczego, u diaska, właśnie teraz? Sezon za pasem, wczasowicze zjadą się tłumnie i co ja im powiem, że bursztynu nad morzem nie ma?

Miał pan Dawid w swojej pracowni stojącą na honorowym miejscu okazałą bryłę jasnego, przeźroczystego bursztynu, z ukrytą w środku niespodzianką.

Była nią zatopiona w dawnej żywicy muszka. Widoczne były bardzo wyraźnie zarysowane skrzydełka, zgrabny odwłok, zakończony nóżkami. Przy dobrym oświetleniu można było dostrzec nawet oczka, otwarte, jakby żywe.

Był to istny skarb, którego pan Dawid strzegł, jak oka w głowie.

- Chyba przyjdzie mi roztrzaskać tę bryłę, by z kawałków zrobić choć parę naszyjników, bransolet i broszek. Cóż ja pocznę?

- Poczekaj jeszcze mój drogi. Poczekaj.

- Na co mam czekać, aż się turyści odwrócą i pójdą do konkurencji, do Gdańska?

Słyszały te rozmowy kraśnięta, które w domu pana Dawida mieszkały od dawna. Dobrze im tu było. Troskliwa gospodyni dbała o nie, jak matka, a one nie miały do tej pory okazji, by okazać swą wdzięczność. W domu pana Dawida na niczym nie zbywało. Wszystkiego zawsze było pod dostatkiem. Aż tu nagle zabrakło bursztynu.

Bagatela! Ale skąd wziąć bursztyn, skoro nawet poławiacze nie mogą dostarczyć? – zastanawiały się skrzaty, gładząc siwe, długie brody, tak długie, że kiedy maszerowały, musiały wkładać je sobie za pazuchę, żeby nie przydeptywać w czasie marszu.

Późną nocą chodziły po pracowni pana Dawida, zastanawiając się, co zrobić. Skąd wziąć bursztynowy kruszec?

Spoglądały na wielką bryłę bursztynu, prześwieconą miodowym blaskiem księżycy. Wdrapały się na stół i obstały ją dookoła.

Nagle najstarszy kraśniak, aż zachłysnął się powietrzem z przerażenia.

- Hej, braciszku mili, czy ja śnię?

- Jest dosyć późno, więc może coś ci się przyśniło – zażartował któryś z brodaczy.

- Nie wierzę własnym oczom. Spójrzcie, ta muszka w środku...

- Tak, muszka w środku, zawsze tam była.

- Macha jedną łapką i uśmiecha się.

- No i co?

- No i co?

- No i co? – spytały pozostałe kraśnięta.

- To znaczy, że ona żyje!

- Żyje?

- Tak, widzi nas, uśmiecha się.



- No i co?
- No i co?
- No i co?
- No i... powinniśmy ją uwolnić.
- Ale jak?
- Ale jak?
- Ale jak?

- Musimy rozbić tę bryłę bursztynu, wówczas muszka odzyska to, czego pragnie. Odzyska wolność.

Ledwo najstarszy kraśniak zdążył wypowiedzieć swoją myśl, a już pozostałe kraśniatka spychały bryłę bursztynu na kraj stołu.

- Tylko nie zróbcie jej krzywdy – przestrzegał najstarszy skrzat.

Bryła bursztynu z trzaskiem rozbiła się o podłogę. Zatrwożeni krasnale stali nad brzegiem stołu, patrząc w przepaść.

- No i co?
- No i co?
- No i co? – pytał jeden przez drugiego.
- Ocalała. Frunie tu do nas. Och, jak się cieszę.
- I ja też!
- I ja też!
- I ja też!

Uwolniona z bryły bursztynu mała muszka, która od tysięcy lat nie mogła fruwać, uwięziona w skostniałej żywicy, wyprostowała swe małe, przeźroczyste skrzydełka i wzbiła się w górę i stanęła przed szeregiem uśmiechniętych kraśniat.

- Dziękuję wam, moi wybawiciele – odezwała się cieniutkim, piskliwym głosem. Bardzo wam dziękuję.

I z radości obróciła się dookoła i zaśpiewała:

Raz na sto lat się budzę,  
raz na sto lat się łudzę,  
że stanie się wreszcie cud,  
by ktoś uwolnić mnie mógł.  
I stało się właśnie tak,  
że wolna jestem, jak ptak.  
Dziękuję, dziękuję wam,  
za wszystko to, co mam.

- Jak ci na imię? – spytał najstarszy kraśniak.
- Na imię mam Dyluwianna. Pochodzę z bardzo, ale to bardzo odległych czasów, z dyluwium w okresie czwartorzędu, jeśli wam to coś mówi.

- Mnie to nic nie mówi, bo ja w szkole siedziałem zawsze w pierwszym rzędzie, pochwalił się najmłodszy z kraśniętek.

- Szukałam przed laty i od dziś będę szukać mojej młodszej siostry Aluwianny, która się zgubiła, w okresie aluwium, przed tysiącami lat.

- A w którym rzędzie? – dopytywał się najmłodszy.

- Tego właśnie nie wiem, bo przez nieuwagę ugrzęzłam w lepkiej, gęstej żywicy, a ona przepadła bez wieści.

- I nikt nie wie, co się z nią stało?

- Pewnie leży, uśpiona w bryłce bursztynu, na dnie morza.

- Ale jakiego morza? – spytał najmłodszy.

- W jednym tylko morzu występuje bursztyn. W Bałtyku.

- To niedaleko stąd.

- Bardzo blisko.

- Tuż, tuż – ucieszyły się kraśnięta.

- Pomożemy ci Dyluwianno, dostać się nad morze, nie martw się, ale sami jesteśmy w kłopotach, odrzekł najstarszy kraśniak.

Nasz gospodarz, pan Dawid, bardzo zacny człowiek, który jest jubilerem, potrzebuje bursztynu. A tu jak na złość, skończyły się wszystkie zapasy.

Nie może zrobić ani koralu, ani bransolet, ani broszek, ani wisiorków, bo nie ma bursztynu.

Jego żona podejrzewa nawet, że bursztyn już się skończył.

- To niemożliwe – odrzekła Dyluwianna. Bursztynu jest bardzo, bardzo dużo. Znam jedno takie miejsce, zapamiętałam je dobrze z dawnych czasów, gdzie powinny być bardzo obfite złoża.

- Gdzie to jest?

- Powiedz, powiedz – dopytywały się krasniątka.

- To miejsce jest tam, gdzie olbrzymia rzeka wpada do morza. Ale jak nazywa się ta rzeka, nie wiem, bo kiedy fruwałam po lasach, rzeka ta nie miała nazwy.

- Może to Kacza?

- Może Swelina?

- Może Chylonka?

- Może Cisowianka? – zgadywały skrzaty.

- Jeśli to była duża rzeka... – próbował zgadnąć najstarszy.

- Olbrzymia, potężna, szeroka... – upewniała go Dyluwianna.

- To chyba tylko Wisła!

- Wisła, jakie ładne imię, uśmiechnęła się muszka.

- To też niedaleko. Pojedziemy pociągiem do Gdańska i odnajdziemy to miejsce.

O świcie wyruszyli zgodnie z planem. Kraśnięta jechały na gapę, po pierwsze dla tego, że nie miały pieniędzy, a po drugie najbardziej nawet groźny konduktor, nie dostrzegłby w pociągu takich małych skrzatów. Zaś owady jak wiadomo, na całym świecie, podróżują bezpłatnie.

Skrzaty z Dyluwianną bez trudu odnalazły miejsce, gdzie Wisła wpada do Bałtyku. Okazało się, że wpada ona podwójnie, dwiema odnogami: Leniwką i Nogatem.

- Tak, to tutaj, upewniała się Dyluwianna. Ach, jak zmienił się krajobraz. Tylko morze pozostało tak samo siwe. To tu! Tu znajdziecie duże ilości bursztynu. A ja, mam nadzieję, odnajdę moją siostrzyczkę, Aluwianę. Do zobaczenia.

- Dziękujemy Dyluwianno, odwiedźcie nas kiedyś razem!

- Bardzo chętnie. Powodzenia!

I krasnale powędrowały na brzeg, gdzie Wisła swoje modre wody toczy do wrót Bałtyku. Z daleka dostrzegły mieniące się w słońcu kawałki bursztynu. Nazbierały pełne kieszenie. Przywiozły bursztyn do Gdyni i zanim pan Dawid wszedł do swej pracowni, wysypały na stół zawartość swoich kieszeni.

- To chyba cud! – krzyknął z radości pan Dawid i natychmiast zabrał się do pracy. A jego żona, kiwając głową ze zrozumieniem, postanowiła zostawić na noc w kuchni więcej chleba i ziemniaków. Napełniła też kilka skorupki orzechów miodem.

- Na zdrowie, dobre skrzaty, na zdrowie.

# PUSTKI



ewnego wiosennego dnia, kiedy kwitły już żarnowce, bzy i kasztany, w feerii żółci, fioletu i bieli, wracała Krysia z chyłońskiej szkoły do domu, który jej ojciec, inżynier i budowniczy z Warszawy, kochający skały, głązy i kamienie, postawił na tak zwanym wybudowaniu pod cisowskim lasem.

Wracała ukwieconymi łąkami, pachnącymi wiosenną świeżością. Usłyszała przyjazne szczekanie swej ukochanej Azy, która wyczuła ją z daleka i psim zwyczajem wybiegła na spotkanie. Po chwili czułego powitania i radosnych harców Aza zaczęła niespokojnie szczekać w pustą przestrzeń. Nie wiadomo było, o co jej chodzi. Ale Krysia, znająca swego psa od pierwszych dni jego życia domyślała się, że przyczyna musi być ważna. Zaczęła wołać ją po imieniu, potem gwizdała porozumiewawczo, ale Aza ujadała coraz wścieklej.

O co jej chodzi? Co się mogło stać? Dlaczego mnie nie słucha? – Krysia zadawała sobie samej pytania.

Odpowiedź nadeszła wkrótce.

Na środku łąki, w melioracyjnym rowie leżał koń. Żywy koń uwięziony w niezwykłej pułapce. Zniewolony wąską przestrzenią rowu, leżał nieruchomo na jego dnie. Początkowo wydawało się Krysi, że koń po prostu położył się, by odpocząć, ale ponieważ znała zwierzęta, wiedziała, że konie nie kładą się z byle powodu, gdy są zdrowe. A ten nie wyglądał na chorego.

Aza podenerwowana sytuacją, czekała zaciekle. Czując przewagę nad obcym zwierzęciem, próbowała chwytać zębami końskie nozdrza. Tego było już za wiele. Krysia odganiała rozwścieczoną Azę, chcąc jednocześnie zbliżyć się do konia, niespokojnie rzucającego głową. Nie bała się. Kochała zwierzęta i łatwo zyskiwała ich zaufanie. Konie uważała za specjalne, królewskie stworzenia. Zbliżyła się i uklękła przy cierpiącym koniu.

Gdy poczuła jego oddech na swoich policzkach, zrozumiała, że akceptuje jej bliskość. Objęła obiema rękami końską szyję i przytuliła się. W odpowiedzi na tę czułość, koń zarżał głośno. Była w tym głosie bolesć, skarga i żałość. Przywarła mocno do jego szyi, jak kochająca córka jest w stanie przytulić się do troskliwego ojca. Rżenie nasiliło się, a Krysia miała poczucie, że nawiązała w ten sposób szczególne porozumienie z uwięzionym zwierzęciem. Szeptala mu do ucha:

- Nie martw się, pomogę ci wydostać się z tej pułapki.

Koń był już teraz bardziej spokojny, ale wyraźnie cierpiący. Może zdrętwiały mu nogi? Może coś go boli? Krysia zaczęła oglądać całe jego ciało.

Nagle jej oczom ukazała się złamana kość piszczelowa tylnej nogi, przesywająca skórę na wylot. Noga spuchła w tym miejscu, brunatna rana wyglądała jak dobrze wyrosnięte, upieczone, spękane ciasto.

Łzy napłynęły jej do oczu. Wiedziała, co go czeka. Jej ojciec, warszawski budowni-czy, którego żywiołem były bloki i płyty kamienne, a który do Gdyni przybył na zaproszenie Komisarza Rządu, by uczynić z niej białe kamienne miasto, opowiadał jej nie raz, jak dobija się ranne konie, zwłaszcza te ze złamaną nogą. Dla takich koni nie ma ratunku. Ogarnęło ją uczucie rozpacz. Wyobrażała sobie, że ktoś przyjdzie i zastrzeli to niewinne, cierpiące zwierzę. Może nawet już wysłali po ludzi z rzeźni?

Wyjęła z tornistra nie zjedzoną bułkę i podsunęła pod ciepłe końskie nozdrza. Nie chciał. Pomyślała, że jest spragniony. Ale czym i w jaki sposób zdoła go напоić? Postanowiła pójść do domu po wiadro i wrócić tu czym prędzej.

Mama czekała z obiadem. Krysia musiała wyjawic całą tajemnicę, chcąc działać dalej.

- Dobrze, już dobrze nie powiem ojcu. Nie myśl, że tak od razu zastrzelą to biedne zwierzę, ale trzeba dowiedzieć się, czyj to koń.

- Wtedy na pewno go zastrzelą, zaczęła szlochać Krysia.

- W takim razie, lepiej powiedzcie tacie. On na pewno znajdzie jakąś radę. Ale wróci dopiero wieczorem, taki jest zapracowany. Kończą budynek Poczty Głównej. Wiesz sama, że jest gościem w domu.

Krysia wybiegła z wiadrem wody. Ze srebrnej cukiernicy w stołowym pokoju zdążyła wybrać kilka kostek cukru.

Koń poznał ją od razu. Rżał, podnosił głowę. Łapczywie złopał wodę. Krysia wycierała jego mokry pysk. Oczy miał tak lśniące, że mogła przeglądać się w nich, jak w ciemnym lustrze.

Gdy wróciła do domu, ojciec był już po obiedzie. Opowiedziała mu o wszystkim. Wysłuchał jej uważnie i jak zwykle z należytą powagą. Obiecał pomoc. Było jednak zbyt późno na jakiegokolwiek działanie. Trzeba było poczekać do rana. A rano Krysia musiała iść do szkoły.

Szła ponownie przez łąki, chcąc choć kilka chwil spędzić z koniem. Zwierzę leżało w tym samym miejscu. Spieszyła się na lekcje, ale ważniejsze było przytulić się do jego pyska, objąć za szyję, czuć jego ciepły oddech, całować żyłastą skórę, pod którą tętniła końska krew. I patrzeć, patrzeć, wpatrywać się w ciemny odmęt jego dobrych, wyczekujących, pełnych nadziei oczu.

Na pożegnanie szepnęła mu prosto do ucha:

- Po lekcjach znów do ciebie wrócę, mój kochany, napoję cię, nakarmię.

Wydawało się jej, że i on ma coś do powiedzenia, że chce przekazać coś ważnego, objawić jakąś tajemnicę.

Przytuliła swoją twarz do jego rozognionej głowy. Wiedziała, że cierpi. Gładziła jego nozdrza, palcami rozczesywała włosy ciemnobrażowej, choć siwiejącej już miejscami grzywy. Wiedziała, że nie był młody. W myślach nazywała go Siwkiem.

Kiedy wracała po lekcjach tą samą drogą, konia już nie było. Jakże się pusto zrobiło. Gdyby nie pobliska Cisowa i Chylonia, można by śmiało miejsce to określić, jako pustkowie, czy po prostu pustki.

Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy była zgoła tragiczna. Z pewnością dobili to cierpiące zwierzę i powieźli do rzeźni, na Obłuzu. A więc jej ukochany Siwek już nie żyje. Nie ma go pośród żywych. Umarł. Trzeba będzie mu urządzać "pustą noc" myślała Krysia, ale zreflektowała się w porę, bo przecież „pustą noc”, czyli ostatnią noc przed pogrzebem, urządza się tylko ludziom.

Gdy weszła do domu, mama oznajmiła jej, że sześciu robotników z firmy ojca wyciągnęło konia z rowu, że jest już pod opieką weterynarza, i że mimo otwartego złamania, wszystko będzie w porządku.

Koń rzeczywiście nie należał do najmłodszych. Pracował wytrwale i dzielnie, wożąc piach i żwir na budowę moła południowego, jak wiele setek innych koni, z Gdyni i okolic. Należał do zacnego, gdyńskiego rodu Schroederów, służąc swoją siłą zarówno rodzinie z Wielkiego Kacka, jak i całej budującej się Gdyni. Woził piach pod budowę Skweru Kościuszki i basenów portowych. Nie on jeden. Setki, tysiące koni budowało to miasto. Któż o tym dzisiaj wie? Któż o tym dzisiaj pamięta, że Gdynię, miasto na morskim brzegu, zbudowały konie?

Siwek po kuracji nie nadawał się już do wożenia piachu. Ciężka i żmudna była to ro-bota. Zwłaszcza zimą, po oblodzonych drogach, gdy ciążył nieznośnie mokry żwir.

A Siwek, nie mogąc dorównać siłą i sprawnością swym młodszym kolegom po fachu, stał się za sprawą właścicieli, szczególnie młodych Schroederów, ulubieńcem dzieci. Woził je na swoim grzbiecie w niedzielne popołudnia. Chętnie się fotografował na plaży. Radości było z nim wiele, szczególnie w letnie dni, gdy nad morze, do Gdyni zjeżdżały całe rzesze turystów z głębi kraju. Siwek był ulubieńcem przyjezdnej i miejscowej publiczności.

Pieszczony, całowany, poklepywany, dożywał swych szczęśliwych dni.

- Siwek! – wołano i koń stawał przed obiektywem aparatu fotograficznego.

Posiwiątymi wargami delikatnie zgarniał, białe kostki cukru z ręki niejednej turystki. Stawiał się na każde żądanie, by służyć przejażdżką najmłodszym.

Krysia w tym czasie wykonywała rysunki Siwka lub też próbowała sił w niełatwej sztuce akwareli. Portretowała konia we wszelkich możliwych sytuacjach, sprzedawała następnie swoje prace turystom i miejscowym, a za zarobione w ten sposób pieniądze kupowała lekarstwa i najświeższy owies dla Siwka, by jak najdłużej mógł służyć dzieciom.

Ta nowa misja starego, poczciwego konia, trwała dobrych kilka lat. Krysia zdążyła ukończyć chyłońską szkołę.

Maturę zrobiła w orłowskim gimnazjum u profesora Zegarskiego, wróciła do Warszawy, by studiować architekturę.

Słuch o Siwku zaginął. Nie zaginęła natomiast myśl o Gdyni, którą zbudowały konie. To przesłanie spowodowało, że Krysia, pani architekt, coraz częściej myślała o stworzeniu pomnika konia, który zbudował to miasto z piasku, ze żwiru, z cementu i cegieł transportowanych własnymi siłami.

W końcu postawiła na swoim. Wyrysowała przepiękny wizerunek konia, na postumencie, pośród łąk, gdzie pracował w czasie służby.

Odmłodziła Siwka o parę dobrych lat. Dała mu bogatą uprzęż, ozdobioną drogocennym rubinem, złote podkowy, a oczy, w których przeglądała się po wielokroć, zaprojektowała za czarnego diamentu, o silnym, głębokim połysku.

Stał odlany z brązu na granitowym postumencie, pośród łąk, nieopodal Ciszowej, pomnik konia, który zbudował Gdynię, służąc własnym grzbietem i własną siłą. Gromadziły się wokół tego monumentu tłumy ludzi, turystów i przyjezdnych, przechodziły wycieczki, a władze miejskie, w dni ważne dla historii miasta, składały kwiaty, wiązanki i wieńce, czcząc pamięć i wysiłek zwierzęcia, dzięki któremu miasto dźwignęło się z pustki morskiego brzegu.

Koń w sposób dostoyny i wyniosły eksponował siłę i gotowość do poświęcenia, a jednocześnie piękno i proporcje sylwetki, głowy, szyi, z rozwianą na morskim wietrze grzywą.

- Wygląda, jak Pegaz, mówili przybysze z głębi kraju. Podziwiali pomnik konia i zachwycali się szybkością rozwoju miasta, które na przekór wszystkiemu i wszystkim, rozwijało się i piękniało z roku na rok.

- A skąd wiecie, jak wygląda Pegaz? – pytali miejscowi chłopcy.

- Widzieliśmy Pegaza, będąc na wycieczce w Grecji. Każdy z nas marzy, by dosięść Pegaza w locie.

Ale mu gdyński Siwek nie potrafił dorównać. Potrafił natomiast cierpliwie i z mo-żołem ciągnąć wóz z załadowanym po brzegi żwirem, na budowę nabrzeża. Potrafił zbudować port i miasto. Naszą Gdynię.

- Nie bardzo ten koń pasuje do waszego miasta, mądrzyli się turyści. Co innego ryba, albo jakiś morski ptak, wiatr, albo sztorm. Nie wiadomo jak zbudować pomnik wiatru, albo sztormu? To chyba niemożliwe. Ale koń w portowym mieście, to nieporozumienie.

- Co wy możecie o tym wiedzieć, szczury lądowe, przekomarzali się młodzi Kaszubi.

Przelatywała właśnie chyża, białoskrzydła mewa, która widząc tłum turystów, sądziła, zresztą nie bez racji, że i dla niej znajdzie się jakiś smaczny kęs, który bez trudu potrafiła przechwycić w powietrzu. Wystarczyło, by ktoś rzucił do góry kawałek bułki, czy chleba, a ona, mewa-śmieszka, już była gotowa do sztuczek, ewolucji, śmigów i powietrznych manewrów, byleby tylko zapchać smacz- nym kęsem nigdy nie nasycony dziób.

Przelatywała nad Cisową w drodze do Rewy, pełna wrażeń, po swej ostatniej podróży nad Morze Śródziemne, towarzysząc statkom Żeglugi Polskiej.

Zakochała się w czasie tej podróży w koniku morskim, który wbrew oczekiwaniom nie robił jej większych nadziei. Zawiedziona mewa szukała teraz ukojenia na szaro-srebrnych Kaszubach, wiedząc, że i tak wielki świat Włoch, Francji i Hiszpanii, nie dla niej został stworzony.

Jej miłość od pierwszego wejrzenia była prawdziwa, głęboka i niespełniona. Żarliwość uczucia sięgnęła zenitu, gdy zdała sobie sprawę z tego, że ona, lotna mewa-śmieszka, żyje w powietrzu, zaś konik morski pędzi swój żywot w morskich odmętach.

Mewa zmierzając na cypel rewski, wokół którego rozlega się płycizna, gdzie nie trudno o smaczną szprotkę, kolkę, czy młodego śledzia, dostrzegła z góry pomnik Siwka.

A cóż to za karykatura? – pomyślała chyża mewa. Niby koń, ale jaki duży. W niczym nie przypominał jej ukochanego morskiego konika, żyjącego wśród roślinności błękitnego litoralu. W niczym oprócz głowy.

Mewa zniżyła lot. Koń stojący na postumencie miał równie pięknie wydłużony pysk, rozwarte chrapy, mięsiste, czułe, gotowe do pocałunku wargi.

- Och, jaki on potężny, w porównaniu z pławikonikiem, delikatnym, filigranowym, stworzonym do kochania, pomyślała mewa.

Siadła na grzbiecie Siwka.

- Och, jaki on zimny i twardy. Gdyby nie bujna grzywa i fantazyjnie rozwiany ogon, pomyślałabym, że jest martwy. A może jednak tu zostanie? Do Rewy jeszcze szmat drogi, a ci turyści wpatrujący się w pomnik, jak sroka w gnat, na pewno zostawią jakieś resztki pożywienia. Nie musiała długo czekać.

- O mewa, spójrzcie tu, chodzi po głowie tego konia, który zbudował Gdynię. Ach, jaka śmieszna.

- Bo to mewa-śmieszka, wymądrzały się dzieciaki. Przyjechały z głębi kraju, chcąc poznać fenomen miasta, które budował cały naród.

I poszły w ruch bułki, rogaliki, kanapki, ciasteczka, a nawet cukierki. Dzieci rzucały wysoko, a mewa, z właściwą sobie gracją, chwytła w locie smaczne kęsy. W końcu zmęczona powietrznymi harcami i najedzona, postanowiła odpocząć. Znalazła stosowne zagłębienie, przy końskiej nodze, między postumentem, a podkową. Wcisnęła się szczerze, mając nadzieję na błogi sen. Zmrużyła oczy, przywołała w myślach morskiego konika, gdy spadła na nią duża i ciężka kropla deszczu.

- Jakie to dziwne. Pogodny wieczór, na niebie nie ma ani jednej chmurki, a tu zaczyna kapać. Co za okropny klimat. Nie ma to jak słoneczne wybrzeża śródziemnomorskie, pomyślała, gdy druga kropla uderzyła ją w sam środek głowy.

- Chyba nie zamieszkać tu długo, stwierdziła i gotowa była do odlotu, gdy spojrzała w górę i zobaczyła oczy konia, przepełnione łzami. Szkliste oczy, o barwie czarnego diamentu, roniły łzy.



- Czemu płaczesz? – spytała mewa. Przemoknę od twoich łez.

- Kiedy żyłem i ciągnąłem wóz z piaskiem lub ze żwirem, nigdy nie zdarzało mi się płakać. Jeździłem nieustannie z morskiego brzegu na żwirowisko i z powrotem kilkanaście razy dziennie. Nie szczędziłem trudu i wysiłku. Dostawałem obrok i owies, czasem marchewkę, bardzo rzadko cukier. Jeździłem, bo tak chciał mój pan. Nie bił mnie, nie poganiał. Dbał o mnie i o moje nogi. A kiedy w końcu uległem wypadkowi i złamałem nogę, zaopiekowała się mną pewna kochana, dobra i mądra dziewczynka. Krysia jej było na imię. To ona sprawiła, że nie dobito mnie na łące i nie oddano do rzeźni. Mogłem dla zabawy wozić dzieci, miło spędzając czas na emeryturze. A po mojej śmierci, Krysia wzniosła ten pomnik, na pamiątkę tych wszystkich koni, które budowały Gdynię.

- Miałeś dużo szczęścia.

- O tak, byłem bardzo szczęśliwy, gdy żyłem.

- I dlatego płaczesz?

- Nie, nie dlatego. Teraz, kiedy nie żyję, kiedy umieszczono mnie na tym wysokim cokole, widzę całą nędzę, biedę i rozpacz miasta, które z takim mozolem budowałem. Gdy ciągnąłem wóz ze żwirem, nie dostrzegałem tylu potrzebujących i proszących o litość ludzi. A dziś z tego miejsca widzę. Widzę wszystko. I dlatego płaczę.

- Cóż pomogą twoje łzy? Czy płacząc polepszysz los tych biednych ludzi?

- Posłuchaj mnie dobra mewo. Niedaleko stąd, w Chylonii, przy nędznej uliczce, stoi uboga, stara chatka. Przez otwarte okno widzę zrozpaczoną kobietę, która opłakuje chorego synka. Czeka go ciężka operacja serca. Jest słaby i często mdleje, a kobieta, którą opuścił rozpustny mąż, nie ma pieniędzy. Chciałbym jej pomóc.

- Ty? Ale jak? No, w jaki sposób można pomóc tej biednej kobiecie, stojąc tu, na tym wysokim postumencie?

- Spójrz na moją uprzęż. Prawda, że jest piękna? Tak ją zaprojektowała Krysia. Uprzęż ta w centralnym miejscu przyozdobiona jest rubinem.

- Tak, widzę, widzę ten krwisty kamień w twojej uprzęży.

- Wydłub swoim mocnym dziobem ten szlachetny kamień i zanieś go do biednej chatki, gdzie matka opłakuje swego syna. Zrobiłbym to sam, ale moje nogi zbyt mocno przytwierdzone są do tego postumentu. Nie ruszę się.

- Kiedy ja właściwie nie lubię takich dorastających chłopców, odparła mewa. Tacy chłopcy najczęściej rzucają we mnie kamieniami. A ja myślę, że to coś do jedzenia i wciąż dają się nabrać, a potem cierpię z tego powodu.

- Proszę cię, uczyn mi tę przysługę. Wydziób rubin i zanieś ten cenny kamień tym, którym on pomoże.

Mewa zatrzepotała skrzydłami. Kilka uderzeń dziobem sprawiło, że szlachetny kamień odpadł od końskiej uprzęży.

Poszybowała w stronę Chylonii. Bez trudu odnalazła ubogą chatkę, w której mieszkała matka ze swym chorym na serce synkiem. Rzucał się niespokojnie na

łóżku, w gorączkowym śnie. Przez otwarte okno mewa wleciała do izby i została rubin przy fiolkach z lekarstwami.

Natychmiast wróciła do Siwka o opowiedziała mu o tym, co uczyniła.

- Dziękuję ci kochana mewo, za twoje dobre serce.

- Chciałam lecieć do Rewy, by podjąć sobie trochę, ale dobrze mi z tobą. Przypominasz mi kogoś, kogo bardzo... lubię, odrzekła mewa, nie chcąc przyznać się do swej wielkiej miłości.

- To wspaniale, będziesz mi bardzo potrzebna. Widzisz, tam za lasem, na Witominie mieszka mała dziewczynka. Stoi na ulicy i sprzedaje kamyczki do zapalniczek. Ale kamyczki te, które dają iskrę, dawno już przemokły i nikt nie chce już od niej kupować. Srogi ojciec ją zbije, gdy nie przyniesie do domu pieniędzy.

- Czy mam wydłubać drugi rubin z twojej uprzęży?

- Nie, kochana mewo. Miałem tylko jeden rubin. To, co z nim zrobiłaś, będziesz musiała teraz zrobić z moim okiem.

- Mam wydziobać twoje oko? – spytała z niedowierzaniem.

- Tak.

- Przecież to boli. Dlaczego miałabym cię tak okrutnie okaleczyć?

- Kochana mewo, przecież ja już nie żyję. Nie poczuję więc, kiedy wyjmiesz swoim dziobem moje diamentowe oko. Zaniesiesz ten klejnot dziewczynce, żeby srogi ojciec nie bił jej już nigdy więcej.

Mewa usiadła delikatnie na głowie konia i nachyliwszy się, wprawnym ruchem wyjęła czarny diament.

Przez Chylonię, Leszczyńki i Grabówek, poleciała ponad lasem prosto na Witomino. Odnalazła zapłakaną dziewczynkę, sprzedającą kamyczki do zapalniczek. Zniżyła lot i upuściła szlachetny kamień prosto w jej rękę.

Zawróciła i chylącym lotem dotarła do jednookiego Siwka. Opowiedziała mu o tym, co uczyniła.

- Dziękuję ci kochana mewo za twoje dobre serce.

- Cóż to za wspaniały koń i jak mi dobrze z nim, pomyślała mewa. Muszę ci się z czegoś zwierzyć. Kocham kogoś, daleko, bardzo daleko stąd, kogo mi przypominasz. Macie bardzo, ale to bardzo podobne głowy. A kocha się przecież głównie głowę, nieprawdaż? – zapytała i wtuliła się w dobrze znaną szczelinę przy końskim kopycie, gdyż zawstydziała się swojego wyznania.

- Powiedz mi mewo, kim jest ten szczęśliwiec, którego pokochałaś?

- To konik morski. Nie ma tak bujnej grzywy jak ty, ani tak fantastycznego ogona, ani tak silnych nóg, och, on w ogóle nie ma nóg. Porusza się w wodzie tak sprawnie, jak ja w powietrzu. Kocham go nad życie. Ale ciebie również... bardzo... bardzo lubię, powiedziała mewa prawie szeptem. Dobranoc.

- Kochana mewo, czyś bardzo zmęczona?

- Nie, nie skądże. Ja się nie męczę lataniem.

- Chciałem cię jeszcze raz prosić o przysługę. Na Oksywiu, naprawdę niedaleko stąd mieszka pewien student. Uczy się już trzeci rok w Wyższej Szkole Mor-

skiej, gdyż chce zostać marynarzem. Będzie pływał po morzach i oceanach świata, ale jego biednych rodziców nie stać na wykształcenie syna. Mają jeszcze sześcioro dzieci. Siedzi w ciemnym i chłodnym pokoiku na Oksywiu, przy jednej dopalającej się świeczce i studiuje mapy. Kiedy świeczka zgaśnie, pójdzie spać, głodny i zziębnięty, ale jutro nie będzie miał za co kupić następnej.

Proszę cię, kochana mewo, wydziób mi drugie oko i zanieś ten czarny diament studentowi.

- Jakże ja mogę wydziobać ci drugie oko? Przecież będziesz całkiem ślepy. Nie, tego zrobić nie mogę.

- Proszę cię, inaczej ten biedny student będzie musiał przerwać naukę i nigdy nie zostanie marynarzem.

- A ty nigdy nie zostaniesz ślepcem.

- Kochana mewo, przecież to nie są prawdziwe oczy. To tylko diamenty, czarne diamenty. Owszem lśnią podobnie, jak oczy, którymi kiedyś patrzyłem na świat, ale są to tylko kamienie. Proszę cię, nie zwlekaj.

Mewa ze łzami w oczach usiadła delikatnie na głowie Siwka i wyjęła dziobem szlachetny kamień.

- Nie zwlekaj.

Przez Chylonię i Obłuże doleciała na Oksywie. Rzeczywiście było tak, jak powiedział Siwek. Student siedział nad rozłożonymi mapami, poznawał tajniki nawigacji. Okno było zamknięte, więc sprytna mewo zastukała dziobem w szybę, położyła diament na parapecie i odleciała, chcąc jak najszybciej powrócić do Siwka i opowiedzieć mu o tym, co uczyniła.

- Dziękuję ci kochana mewo, masz naprawdę dobre serce. Tak bardzo chciałbym, żebyś była szczęśliwa z tym twoim konikiem.

- Na razie jestem szczęśliwa z tobą, powiedziała tak szczerze, że zawstydziała się i schowała w dobrze znaną szczelinie przy końskim kopycie.

- I ja czuję się szczęśliwy z tobą, kochana mewo, ale nie zasypiaj jeszcze. Latasz często nad Gdynią i wiesz, że w tym pięknym, nowoczesnym mieście oprócz bogatych i bardzo bogatych, żyją biedni, potrzebujący ludzie. Oprócz bogatego śródmieścia, są dzielnice nędzy i prawdziwego ubóstwa. Mieszkają w tych dzielnicach dzieci głodne i zaniedbane. W domach zbitych z paru desek mieszkają, chorują, a najsłabsze z nich umierają.

- Ofiarowałeś już swój rubin z upręży. Ofiarowałeś swoje diamentowe oczy. Nie masz już nic, co mógłbyś podarować.

- Owszem, mam jeszcze złote podkowy. Wiem, że robi się już późno i na pewno jesteś zmęczona, ale proszę cię, zawołaj tu jeszcze inne mewy, twoje przyjaciółki, które pomogą ci rozkruszyć moje złote podkowy, a następnie rozsypać złoto w tych ubogich dzielnicach, żeby choć trochę pomóc tym, którzy są w największej potrzebie. Proszę cię, nie zwlekaj.

- Jakież on ma dobre serce, pomyślała mewo i skierowała lot na morski brzeg, gdzie do snu układały się już stada jej białoskrzydłych sióstr.

Po chwili cała gromada mew obsiadła dookoła postument pomnika. Wśród głośnego pisku i trzepotu rozlegało się stukanie mewich dziobów kruszących złote podkowy.

- Już gotowe, orzekła zasapana mewa. Całe złoto odpadło od twoich kopyt.

- Dziękuję ci, kochana mewo. Rozrzucie teraz ten kruszec po ulicach ubogich dzielnic. Niech cieszą się ci, którzy są w potrzebie i niech będą szczęśliwi. I ty bądź szczęśliwa, kochana mewo. Dobranoc.

Stado mew odfrunęło. Złoto posypało się na ponure ulice Meksyku, Szanghaju, Abisynii, Pekinu, Budapesztu i Drewnianej Warszawy.

Nazajutrz obok pomnika Siwka, konia, który jak wiele, wiele innych budował to miasto, przechodziła grupa miejskich rajców.

- A cóż to za straszny? To jest ten sławny pomnik konia, który zbudował nasze miasto?

- Ktoś ukradł rubin z uprzęży. Trzeba powiadomić policję.

- Ktoś wydlubał oczy, to zbrodnia!

- Zatelefonuję do prokuratora, niech zajmie się tą sprawą.

- A podkowy... zniknęły złote podkowy.

- To wandalizm, proszę zaprotokółować.

Na najbliższym posiedzeniu Rada Miejska podjęła uchwałę o likwidacji pomnika. Uchwałę wykonano w trybie natychmiastowym. Zdemontowano konia, usunięto postument.

Och, jakże pusto zrobiło się w tym miejscu.

Stary pomnik – figurę z brązu przetopiono i zgodnie z nową uchwałą wykonano odlew orła. Powstał nowy pomnik, który podobno stanąć ma wśród morskich fal.

A puste miejsce po pomniku konia, który zbudował Gdynię, nazywają do dziś Pustkami.



# WICZLINO



ziało się to w czasach nie tak znowu odległych. Wasi dziadkowie pamiętają je z pewnością bardzo dobrze. Gdynia uzyskała już prawa miejskie, miała wspaniały port, jeden z najnowocześniejszych na Bałtyku oraz największego polskiego armatora, jakim były Linie Żeglugowe „Gdynia – Ameryka”.

Siedem potężnych transatlantyków: „Polonia”, „Pułaski”, „Kościuszko”, „Piłsudski”, „Batory”, „Sobieski” i „Chrobry” woziło pasażerów przez Ocean Atlantycki z Europy do Ameryki Północnej i Południowej.

Dwa bliźniacze statki, motorowce „Piłsudski” i „Batory” zbudowane we włoskiej stoczni Monfalcone, odpływały z Nabrzeża Francuskiego w Gdyni, przy dźwiękach orkiestry, żegnane przez tłumy mieszkańców. Podróż była daleka, trwała prawie pół miesiąca. „Piłsudski” zawijał do Nowego Yorku, portu w Północnej Ameryce, przy ujściu rzeki Hudson do Oceanu Atlantyckiego, zaś „Batory” do Montrealu, w Kanadzie, przy ujściu Ottawy do Rzeki Świętego Wawrzyńca.

Oba statki dobrze znane były Antosi z Gdyni, gdyż jej tato był kucharzem, najpierw na „Piłsudskim”, potem na „Batorym”.

Antosia wciąż była za mała, by popłynąć z tatą w rejs, ale kochający ojciec nieraz już obiecywał, że gdy tylko dorośnie, zabierze ją w morską podróż, na drugą półkulę, hen, hen za wielką wodę.

Antosia przeżywała każdy rejs swego taty. Odprowadzała go razem z mamą na Dworzec Morski. Przy dźwiękach orkiestry, wśród setek osób roniących łzy i machających chusteczkami stała cierpliwie i patrzyła, aż z potężnego, siedmio pokładowego transatlantyku, stojącego przy Francuskim Nabrzeżu, zrobi się maleńki punkcik, ginący we mgle, na linii horyzontu.

Potem cierpliwie czekała na listy, adresowane na jej imię i adres przy ulicy 10 Lutego, gdzie mieszkała z mamą.

Listy pisane ojcowską ręką sprawiały jej wiele radości, choć sama jeszcze nie umiała czytać. Podobnie cieszyły ją znaczki, z podobiznami amerykańskich prezydentów. Miała już w swej kolekcji Washingtona i Jeffersona, Lincolna i Johnsona, Granta, Wilsona i Roosevelta. Uśmiechali się tajemniczo i zachęcająco, jakby chcieli powiedzieć: Ameryka czeka na ciebie, Antosiu.

Rośnij szybko, ucz się języków, a zdobędziesz świat.

Listy od ojca pachniały bardzo przyjemnie i ekscytująco. Żółty papier z czerwonym marginesem, przybliżał nowy, nieznaną świat. Za mała była, by pisać. Dopisywała więc tylko do listu mamy – „kocham Cię Tato” i podpisywała jedną literą „A”.

Po pewnym czasie ojciec zmienił statek, pracując wciąż u tego samego armatora – „Gdynia-Ameryka Linie Żeglugowe”. Z „Piłsudskiego” przesiadł się na „Batorego” i zaczął pływać do Kanady.

Dla Antosi różnicy większej nie było, poza znaczkami, które przedstawiały teraz, w rozmaitych ujęciach klonowy liść.

Tato przywoził swej córce, którą bardzo kochał, najprzeróżniejsze niespodzianki, prezenty i upominki, chcąc choć w ten sposób zrekompensować czas rozłąki i tęsknoty. Cieszyła się z każdego drobiazgu, z muszelek, z kawałków rafy koralowej, z kolorowych kamyków, nie mówiąc już o żywym żółciu, którego otrzymała razem z terrarium.

Jakby tego było mało, ojciec przywiózł jej z ostatniego rejsu dwa maleńkie, nieopierzone jeszcze pisklęta gęsi.

W Montrealu otrzymał od kanadyjskiego dostawcy dwa piękne, duże, nakrapiane gęsie jajka, z uwagą, że są to jajka zależne, z których powinny wykluć się pisklęta gęsi kanadyjskiej, tak zwanej bernikli.

Jaja trzeba przechowywać w ciepłym i suchym miejscu. Ojciec Antosi ułożył je tuż przy kuchennym piecu, owinał w watę i dodatkowo przykrył kuchennymi ściereczkami, gdy wychodzili z Montrealu. Dwa tygodnie morskiej podróży dzieliły ich od rodzimego portu w Gdyni.

Atlantyk okazał się tym razem niezwykle łagodny, ale gdy tylko przeszli przez duńskie cieśniny i znaleźli się na Bałtyku, rozszalał się sztorm. „Batory” ostro pruć dziobem krótkie, niewdzięczne fale. Naczynia w salonach i bufetach brzęczały wesoło, a w kuchni powstał straszny bałagan, harmider i rozgardiasz. Garnki podskakiwały na kuchni, sztucce niemal fruwały w powietrzu, a bezpieczne dotąd gęsie jaja musiały również ucierpieć z powodu wstrząsów.

Być może silne uderzenia fali, być może właściwe warunki spełniane dotąd bez zarzutu, a przede wszystkim troska o odpowiednią temperaturę, przesądziły o tym, że skorupki jaj zaczęły pękać, a ze środka nieporadnie wydobywały się małe, nieopierzone pisklaki.

Po dwóch dniach trafiły już pod opiekuńcze skrzydła Antosi.

Cóż to była za radość. Ojciec opowiedział córce, jak to otrzymał w darze dwa nakrapiane gęsie jaja i sam wyhodował te żywe, choć bezbronne i całkowicie zdane na łaskę losu stworzenia.

Śliczne były małe gąski i bardzo przymilne. Antosia nie odstępowała ich ani na krok. Karmiła je i poiła. Karmiła głównie chlebem. Sama gryzła kęs, żuła, a następnie rozdrobnioną papkę wkładała do gęsich dziobków. Poiła je głównie wodą z cukrem.

Nauczyły się pić z łyżeczki. Po prostu otwierały dzióbki, a Antosia przechylała zawartość łyżeczki prosto w ich spragnione gardelka.

Była przy nich cały czas.

Mama uszyła jej fartuszek do pracy w kuchni, przy zmywaniu, czy wycieraniu naczyń. Na samym środku, na wysokości brzucha, znajdowała się duża, naszyta kieszeń. W tej kieszeni znakomicie mieściły się dwa gęsie pisklęta, które Antosia chroniła własnym ciałem. W jej fartuszkach były bezpieczne, czuły jej ciepło, a także bicie serca.

- Wyglądasz, jak mama-kangurzyca, żartował tato, nie mogąc przytulić jej, mocno, jak lubił, w obawie, że wyrządzi krzywdę maleńkim gąskom.

Ptaki rosły niezmiernie szybko. Mimo, że za oknami sypał gęsty, pierzasty śnieg, miały ciepło i sucho. Karmione były regularnie, czuły się więc bezpiecznie.

Po miesiącu znacznie przybrały na wadze. Zmieniły również okrywą piór. Z delikatnego puchu, który przy najlżejszym nawet dmuchnięciu zmieniał swe ułożenie, powstały wyraźne pióra, które po kilku kolejnych tygodniach zmieniały się w lotki na skrzydłach i w sterowniki na ogonie.

Okres pierzenia się cała rodzina obserwowała bardzo dokładnie. Później ojciec ponownie zamustrował na "Batorym" i udał się w kolejny rejs do Kanady. Antosia została z mamą i z gąskami. Chodziły za nią po całym mieszkaniu. Dosłownie wszędzie. Znały dobrze swoje miejsce w specjalnie przygotowanym gęśniku, w pudełku po zimowych butach. Po miesiącu pudełko było już za małe. Dobrze, że tata przyniósł z portu drewnianą skrzynkę po bananach. Wymościła ją Antosia słomą. Co dzień dbała o świeżość słomianej ściółki, aby zapewnić gąskom jak najlepsze warunki rozwoju.

Kiedy porosły wczesnym, młodzieńczym pierzem, okazało się, że jedna ma całą główkę białą, biel schodziła aż do tułowia, druga natomiast miała na szyi piórka lekko zabarwione czerwienią. Tej pierwszej Antosia nadała imię Białolica, tej drugiej Rdzawoszyja. Poza tym obie, zgodnie z tradycją tego gatunku nosiły na zdecydowanie ciemnym upierzeniu, białe plamy, zwłaszcza na szyi oraz na policzkach. Tak, na policzkach, bo gęsi mają policzki. Wiedziała o tym dobrze Antosia, gdyż całowała je codziennie.

Całymi godzinami przemawiała do nich czule, głaszcząc i pieszcząc od czubka głowy, poprzez smukłą szyję, aż po grzbiet, coraz dłuższy i pełniejszy, na którym dumnie układały swe okazałe skrzydła.

Gęgała, cmokała, popiskiwała, chcąc, by naśladowały jej niby ptasią mowę. Któż bowiem miał je uczyć jakichkolwiek zasad porozumiewania się?

Gąski Antosi, kanadyjskie bernikle, zwane także gęśmi morskimi, były zdecydowanie mniejsze od pomorskich. Dzioby bez narośli i skoki zakończone trzema palcami spiętymi błoną pławną miały krótsze, utrzymane w ciemnej barwie, ale za to smukłe szyje i skrzydła sięgające aż do nasady ogona, nieporównanie dłuższe, przystosowane do długodystansowych lotów.



Bernikla kanadyjska gnieździ się bowiem wokół Wielkich Jezior w Kanadzie: Górnego, Huron, Ontario, Erie, nad Wielkim Jeziorem Niedźwiedzim, czy Wielkim Jeziorem Niewolniczym, Winnipeg, Athabaska, czy nad Jeziorem Reniferowym oraz w dolinie Rzeki Świętego Wawrzyńca, dokąd jak wiadomo zawija nasz „Batory”, z tatą Antosi na pokładzie. Stamtąd gęsi kanadyjskie przelatują całymi stadami do południowych stanów Ameryki, by grzać się w słońcu Kalifornii, Arizony, czy Teksasu.

Koleżanki i koledzy Antosi mieli również najprzeróżniejsze stworzenia: pieski, kotki, myszki, świnki morskie i chomiki, kanarki i papużki, rybki i żółwie. Karolinie z ulicy 3 Maja tato przywiózł prawdziwą małpkę z Afryki, ale gęsi i do tego kanadyjskich nikt jeszcze w całej Gdyni nie posiadał.

Miała więc Antosia niemały powód do dumy. Była dumna przede wszystkim, ze swoich podopiecznych. Białowica i Rdzawoszyja prezentowały się coraz okazalej, zwłaszcza kiedy obie gęsi maszerowały według swego zwyczaju, idąc gęsiego za Antosią. Wczesną wiosną, gdy miały już prawie cztery miesiące, odważyła się wyjść z nimi na podwórko. Cóż to była za radość. Dla wszystkich. Gąski mogły skubać młodą soczystą trawkę, a dzieci z okolicznych domów mogły podziwiać tę niespotykaną odmianę.

Za radą mamy, Antosia zawiązała im na szyjach kolorowe wstążeczki. Wyglądały więc bardzo elegancko i odświętnie.

Gdyńskim dzieciom znane były gęsi, które pasły się na polach i łąkach, w miejscach nie wytyczonych jeszcze ulic. Były to białe lub siodłate gęsi pomorskie, albo kartuskie, o krótkich nogach i grubych udach, o krótkiej szyi, z grzbietem szerokim, po bokach zaokrąglonym. Przyciężkawe nieco, specjalnie tuczzone, tułów miały walcowaty, głowę średniej wielkości, dziób dobrze wykształcony, barwy pomarańczowo-czerwonej, pierś pełną, kulistą.

Dla Antosi najważniejsze jednak były oczy. Pomorskie gęsi białe, miały oczy jasno-niebieskie, siodłate – brązowo-żółciste.

Oczy gęsi kanadyjskich były czarne, jak ziarenka pieprzu, bardzo bystre, spostrzegawcze i czułe. A mimo to czasem wydawało się Antosi, że oczy jej gąsek są bardzo smutne. Czasem widziała w nich łzy. Czyżby nie były szczęśliwe? Może tęsknią za czymś? Może brakuje im stada?

To, co widziały, zmieniało się natychmiast w komentarz: radosne gęganie lub popiskiwanie przechodziło czasem w nerwowe syczenie, zwłaszcza, gdy kończyła się tarta marchew, którą wprost uwielbiały. Jadły i jadły wciąż, a były wiecznie nie nasycone. Podstawę gęsiego wyżywienia stanowił owies i proso, kukurydza i łubin, moczony groch, świeża wyka i peluszką zbieraną własnoręcznie przez Antosię na gdyńskich łąkach. Miasto bowiem nie było tak ściśle zabudowane, jak dziś. Między domami wzniesionymi przy wyznaczonych ulicach, rozciągały się pola uprawne i łąki pastewne. Na nich to właśnie pasły się pomorskie gęsi.

Przyszło lato, beztroskie, ostatnie w życiu Antosi lato, po którym będzie musiała pójść do szkoły. Zdarzyło się tak, że Antosia podczas tego właśnie lata zachorowała na dziecięcą szkarlatynę i musiała pójść do szpitala.

Gąski zostały z mamą. Pewnego dnia mama postanowiła zrobić niespodziankę Antosi, która bardzo cierpliwie znosiła trudy leczenia. Odwiedziła ją razem z Białolicą i Rdzawoszyją. Cóż to była za radość, spotkać gąski po kilkudniowej rozłące.

Antosia usłyszała je z daleka. Otworzyła okno. Stały na trawniku tuż przy мамie, z elegancko zawiązanymi kokardami pod szyją. Gdy tylko spostrzegły swoją opiekunkę, podniosły prawdziwy wrzask. Zaczęły trzepotać skrzydłami, stroszyć się, a nawet syczeć ze złości, gdyż próby wzbicia się do okna Antosi, mimo iż był to wysoki parter, spełzły na niczym.

- One po prostu nie potrafią fruwać, pomyślała Antosia i poczuła gęsią skórę na całym ciele.

Podskakiwały, próbując z całych sił sprawności swoich wspaniale rozwiniętych skrzydeł, ale bezskutecznie i nadaremnie. Rzuciła im resztki chleba ze śniadania, w nagrodę. No cóż, marna to była pociecha.

Jedni próbują chodzić o laskach i o kulach, zwłaszcza pacjenci po złamaniach, a moje gąski próbują latać, ale jednym i drugim próby te nie wychodzą na dobre.

Choroba minęła i minęło lato. Tato wrócił z rejsu i znów wszyscy byli razem. Cała rodzina, dwie gęsi i żółw.

- Widziałem, tam w Kanadzie, jak gęsi znad Rzeki Świętego Wawrzyńca szykują się do odlotu. Gromadzą się w stada, wybierają przewodnika i całymi kłuczami ciągną na południe.

- A nasze w ogóle nie potrafią latać, odpowiedziała Antosia bliska płaczu.

- Więc trzeba je nauczyć tej sztuki, moja droga.

- Ale w jaki sposób?

- Widzisz, kochanie, one nie czują się wolne. A ptaki, stworzone są do wolności. Widziałem, jak swobodnie lecą w kłuczach, wytrwale, ale i dostojnie, z prosto wyciągniętą szyją. Towarzyszy im taki piękny śpiew, jakby zawodzenie, czy raczej głębokie łkanie. One stworzone są do lotu. Tęsknią za wolną, nieograniczoną przestrzenią. Musimy je nauczyć latać.

- Ale jak? – Antosia pytała, płacząc. Żal jej było rozstawać się z gąskami, lecz rozumiała siłę przeznaczenia. Przynajmniej tak się jej wydawało.

- Delikatnie i ostrożnie. Zabierzemy je jutro nad morze i spróbujemy.

Dzień był jesienny, pogodny. Prawdziwa złota jesień. Wybrali się na spacer całą rodziną, zabierając gąski, z zamiarem rozpoczęcia nauki latania.

Antosia brała na ręce każdą z osobna i podrzucała w górę, ale one spadały z rozpostartymi skrzydłami na ziemię. Jak kury. Nie potrafiły wzbic się.

- Czy to strach paraliżuje ich ruchy, czy one nigdy nie nauczą się latać? – pytał ojciec.

- To jest dla nich zbyt trudne, uczyć się latać teraz. Gdyby miały własnych rodziców, na pewno posiadałyby tajemnice tej sztuki – powiedziała z wyrzutem Antosia. My nie jesteśmy w stanie zapewnić im takiego szczęścia.

- Ale możemy spróbować, uspokajał tato, gładząc córeczkę po głowie. Ona tym czasem gładziła główki swoich gąsek.

Wrócili do domu. Przy obiedzie w dalszym ciągu rozmawiali o nauce latania.

- Może trzeba zwrócić się do specjalisty, ornitologa? W Gdańsku na pewno są tacy.

Wizja wizyty w Gdańsku, w Wolnym Mieście, a więc mimo wszystko za granicą, nie napawała optymizmem. Ze zwierzętami w punktach granicznych zawsze są jakieś kłopoty.

Ojciec myślał długo i intensywnie.

- Może ja po prostu zabiorę je do Kanady i tam doprowadzę do stada?

- Ale kto je tam nauczy latać? Zostaną same w mroźnej Kanadzie i nie przetrwają zimy.

- No tak, tak. Masz rację, musimy je nauczyć latania tutaj. Inaczej nic z tego nie będzie. Są jeszcze młode. Mają dopiero dziewięć miesięcy.

Po kilku dniach tato wrócił z portu rozpromieniony i uradowany.

- Wiem. Mam. Nareszcie znalazłem sposób. Pojedziemy do Wiczlina.

- Na wieś? – spytała mama.

- Chcesz je oddać gospodarzom. Nie, nigdy! – zaoponowała Antosia.

- Ależ skąd. Posłuchajcie. W Wiczlinie, jak sama nazwa wskazuje, rośnie wiklina. Dużo, dużo wikliny, krzewiastej wierzby wikliniarskiej. Wyplatają z niej meble, obręcze, no a przede wszystkim kosze. Kosze. koszyki, koszyczki.

- Naszym gąskom dobrze jest w skrzynce po bananach – wtrąciła Antosia.

- Posłuchaj dziecko drogie. Wikliniarze wyplatają również potężne i mocne kosze, służące do lotów balonem. Są to tak zwane gondole.

- Chyba nie zamierzacie latać balonem? – spytała z przerażeniem mama.

- Otóż właśnie. Pomyślałem, że skoro w Wiczlinie produkują wiklinowe gondole do balonów, muszą tam również odbywać się jakieś próby. Wsiądziemy do takiej gondoli, wzbijemy się na pewną, niewielką wysokość i spróbujemy...

- Co? – wykrzyknęła Antosia razem z mamą.

- Wypuścić gąski...

- Tak... to jedyny sposób – utwierdzała mama.

- A jak nie dadzą rady... spadną, potłuką się, albo zabiją.

- Och, nie myśl w ten sposób. Zaczniemy od niewielkiej wysokości. A kiedy poczują wiatr w skrzydłach, obudzi się w nich instynkt. Zaczną machać, trzepotać, utrzymując się w powietrzu.

- Spróbujemy – Antosia pospiesznie poszła się ubierać.

W Wiczlinie bez kłopotu odnaleźli plecionkarzy. Dobra pogoda służyła próbom balonowym.

Tato krótko przedstawił sprawę i już potężna czasza balonu, wypełnionego ciepłym powietrzem, podgrzewanym przez specjalny gazowy palnik, zaczęła z wolna unosić się ku górze.

Gondola przywiązana była potężną liną do starego korzenia, niczym statek w porcie do kei.

- Zapraszam na pokład – odezwał się młody człowiek, w pilotce i z potężnym kompasem w miejscu, gdzie zwykle nosi się zegarek. Ta mała też z nami leci?

- Tak, to opiekunka tych ptaków, które chcemy nauczyć latać.

- Nauczyć latać ptaki? – zaśmiał się młody pilot z lotniska w Rumii. Dobrze, że nie chcecie uczyć ryb, pływania. One umieją fruwać, może tylko zapomniały. Radzę zacząć żegnać się z nimi.

Antosia trzymała obie gąski na obu rękach, przytulając je do siebie. Wkładała swoją głowę, między ich główki, a one ocierały się o jej twarz swoimi policzkami. Były dziwnie niespokojne. Zwłaszcza wtedy, gdy pilot odkręcał kurek z syczącym gazem, zamieniającym się w długi płomień, który ogrzewał powietrze wewnątrz czaszy balonu.

- No, to ruszamy – zakomenderował pilot. Odczepiono linę od korzenia i balon wolno i majestatycznie zaczął się wznosić.

- Nie boisz się? – spytał tato.

- Ani trochę. Mam wrażenie, jakbym sama leciała.

- Bo lecisz. Wszyscy lecimy. Spójrz jak pięknie dookoła.

Antosia wychyliła głowę znad brzegu gondoli i ujrzała w dole wiejskie domy i zabudowania gospodarcze, małe, jak zabawki. Pola i łąki układały się w wielobarwną szachownicę. Zza ściany lasu ukazało się bławe morze.

- Jaki piękny jest świat, powiedziała Antosia prawie szeptem. Białołica i Rdzawoszyja odpowiedziały jej w swojej gęsiej mowie. Zrozumiały się w jednej chwili.

- Antosiu, a teraz pożegnaj się z nimi, poprosił tato. Podejmiemy pierwszą próbę.

- Już to zrobiłam. Antosia ukradkiem ocierała łzy. Czarne oczy ptaków również zaszkliły się od łez.

- Postawcie je państwo na brzegu gondoli. Niech same spróbują poderwać się do lotu – zaproponował pilot.

Gdy obie gęsi stanęły płetwami na brzegu wiklinowej gondoli, rozpostarły skrzydła i zaczęły mocno trzepotać.

- Odwrócimy się zaraz w stronę morza. Skojarzą blask wody z kierunkiem słońca i polecą.

I tak też się stało, ku zdumieniu Antosi i jej ojca. Pilot naciągając liny łączące balon z gondolą, obrócił go w stronę morza. I wtedy oba ptaki wydały nieznamy dotąd dźwięk, gęsi klangor, głęboki, smutny, pożegnalny, jakby płaczący. Odbiły się skokami od brzegu gondoli niemal jednocześnie i głośno łkając, poszybowały w stronę morza.

Załoga balonu stała w milczeniu, wstrzymując oddechy z niepokoju, czy eksperyment się uda. Ale już po chwili byli pewni, że ptasi instynkt zbudził się, na takiej wysokości, choć tak rozległej przestrzeni gąski Antosi nigdy jeszcze nie widziały.

Ojciec przytulił mocno córkę do siebie.

- Możesz być spokojna. Pociągną teraz za wielką wodę. Wrócą do swojej ojczyzny.

- Nie o własnych siłach – wtrącił pilot.

- Ależ oczywiście. Gdy się zmęczą, przysiądą na statku, który zmierzać będzie w tym samym kierunku. Nie raz widziałem. Żaden z marynarzy, ani z pasażerów nie będzie miał im tego za złe. Wrócą do Kanady, wrócą nad Rzekę Świętego Wawrzyńca i jeszcze przed zimą dołączą do stada. Polecą z nim na południe Ameryki, do wiecznie błękitnej Kalifornii, w której nigdy nie pada deszcz.

- A w Wiclinie pada i to dość często – stwierdził pilot.

- Dlatego rośnie tu tak okazała wiklina – dodał ojciec.

Tego wieczoru Antosia długo nie mogła zasnąć. Rozmyślała o swych gąskach. Kilka razy przychodził do niej tato, gładził jej włosy i tłumaczył:

- Tak będzie lepiej. Pomyśl, jakie one są teraz szczęśliwe. Lecą, czują się wolne, bo takie jest ich przeznaczenie.

- Nic mi po nich nie pozostało. Nawet jedno pióro.

- Pozostały ci wspomnienia, Antosiu i uczucia, tyle dobrych uczuć. Tego nikt ci przecież nie zabierze. Dobranoc.

Kiedy w końcu zasnęła, przyśniło się jej, że sama potrafi latać. Wystarczyło tylko, że rozłożyła ręce szeroko, najszerszej, jak tylko mogła i już odrywała się od ziemi. Wspaniałe było to uczucie, nieporównywalne z niczym i nie dające się opisać.

A gdy się obudziła, spostrzegła na poduszce pióro. Piękne, lśniące, czarne wieczne pióro. Był to prezent od rodziców. Nazajutrz bowiem miała rozpocząć swój pierwszy szkolny rok.

# Wzgórze Świętego Maksymiliana



iosna tego roku była nadzwyczaj piękna. Nie tylko dlatego, że świat pod batutą promieni słonecznych stawał się coraz bardziej harmonijny, ale także z powodu niezwykłej symfonii, jaka stała się udziałem błękitnego nieba i zieleńcej ziemi, lazuruwej wody i seledynowego powietrza, przepełnionego ciepłym drganiem, przebiegającym w rytm pracy skrzydeł gorliwej pszczoły, niosącej ciężkie krople nektaru do brzęczącego ula, czy płochego motyla, który mimo iż gnany morskim wiatrem, znajdował sposób, by delektować się słodyczą wiosennego kwiatostanu.

Pewnego ciepłego, wiosennego popołudnia jeden z ojców zakonu świętego Franciszka wędrował z gdyńskiego wzgórza, które wówczas nosiło imię sławnego marszałka Ferdynanda Focha, w stronę morskiego brzegu, by dotrzeć do skweru, który tak w owym czasie, jak i obecnie nosi imię sławnego generała Tadeusza Kościuszki.

Ów zakonnik odziany w czarny habit, przepasany białym sznurem, gdy tylko dotarł na brzeg, zdjął sandały, by bosą stopą powitać mokry piasek i zimną jeszcze, lecz dającą ukojenie po tak ciepłym dniu, morską wodę. Nie pamiętał już, kiedy rozkoszował się darem morza. Musiało to być dawno temu, z pewnością jeszcze w Japonii, w Nagasaki. Wówczas to, w dalekim kraju kwitnącej wiśni odwiedził „Dar Pomorza” wraz z załogą, odbywającą pierwszy wielki rejs dookoła świata. I teraz, będąc przejazdem w Gdyni zapragnął odwiedzić starych przyjaciół.

Szedł więc brzegiem morza, w stronę skweru, gdzie zwyczajowo cumowała biała fregata.

Nie wiedział jeszcze, że „Dar Pomorza” wraca właśnie z rejsu do Południowej Ameryki.

- W Gdyni będą dopiero na początku czerwca - objaśnił bosman w kapitana-cie portu.

- To już za kilka dni – odparł zakonnik, wpatrując się w ogorzałą od słońca i wiatru twarz bosmana.

- Jo, warto poczekać. To dopiero będzie radość, widzieć te dziewczyny na brzegu, jak piszczą, te matki, jak płaczą. A udało im się opłynąć Horn, ten dia-

belski przyładek, bosman robił duże oczy. Zuchy. Po raz pierwszy na żaglach pod polską banderą.

- Chciałem odwiedzić załogę i kapitana. Poznałem ich, gdy byli w Osace, dwa lata temu.

- A to płynął z nimi wtedy kapitan Meissner.

- Tak, Tadeusz.

- A teraz wybrali się z kapitanem Maciejewiczem. Sześćdziesięciu chłopaków zabrał ze sobą. Wyrosną z nich prawdziwe wilki morskie. Warto poczekać.

- Nie mogę. Wracać muszę jeszcze dziś.

- A co tak ojca goni po świecie?

- Obowiązki. W zakonie, jak na służbie. Ciągła wachta.

- Jo, ale też trochę trzeba odpocząć, nad morzem, albo jeszcze lepiej na morzu. Bóg jest wszędzie.

- Dobrze, że o tym wiecie.

- Jo.

- Pokój i Dobro. Z Bogiem.

- Jo, z Panem Bogiem.

Bosman zdjął czapkę, a zakonnik przeżegnał go znakiem krzyża.

Postanowił wracać do klasztoru tą samą drogą, robiąc spacer, przed nocną podróżą do Warszawy. Pociąg odchodził późnym wieczorem.

Znów szedł boso, czując pod stopami chrzęszczący, mokry piasek i żywą wodę, pulsującą rytmem fal.

Z daleka dostrzegł dziewczynkę. Stała na brzegu i patrzyła w morze. Zauważył ją już wcześniej, idąc w tamtą stronę, gdy siedziała na jednej z wydm, u stóp zbocza Kamiennej Góry, z podkurczonymi nogami, opierając brodę o kolana. Teraz znów patrzyła w bezkresną dal.

Chciał nawet pomachać w jej stronę, ale tak była skupiona, że aż żal było jej przeszkadzać.

Teraz stała na brzegu nieruchomo, w biało-różowej sukience, którą wiatr wyduł jak żagiel. Stała bez ruchu, wyteżając wzrok.

Może czeka na powrót ojca z morza, czy brata z połowu – pomyślał zakonnik i śmieiej ruszył przed siebie, w nadziei, że uda mu się, choć słowo z nią zamienić. Nabrał pewności, że tak się stanie, gdy dziewczynka odwróciła się i zaczęła iść linią brzegu, prosto w jego stronę.

Dwoje nieznanomych zmierza ku sobie, w tym właśnie momencie nieskończonego czasu i w tym akurat miejscu niekończącej się przestrzeni. Przypadek to, czy przeznaczenie? - pytał samego siebie, gdy zbliżyli się na odległość rozpoznania rysów twarzy.

Była starsza niż przypuszczał. Smukła sylwetka, szczupłe nogi i ręce mogły mylić. Twarz miała bardzo poważną, jak na swój wiek. Dorosłą.

Znajdowali się teraz na wyciągnięcie ręki i pewne było, że widząc osobę duchowną, odezwie się, pozdrawiając w imię Chrystusa, ale ona przeszła obojętnie, patrząc wciąż przed siebie.

Zatrzymał się i odwrócił głowę w jej stronę.

- Hej, dziewczeczko! Nie poznajesz kapłana? Nie widzisz habitu?

Odwrociła się na jego słowa.

- Ja niczego nie widzę. Jestem niewidoma.

Dopiero teraz spostrzegł jej rozbiegane, niespokojne oczy, które wprawione w ruch chorobą, nie mogły się zatrzymać.

- Jak masz na imię? – starał się wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

- Maria.

- Trudno o piękniejsze. Podszedł i objął ją ramieniem. I ja mam na imię Maria. Ale to moje drugie imię. Wybrałem je sam, kiedy składałem śluby zakonne.

- Jesteś zakonnikiem?

- Tak. Gwardianem klasztoru franciszkanów w Niepokalanowie.

- To daleko stąd?

- Pod Warszawą. Ale zatrzymałem się w Gdyni, u ojców franciszkanów. Dziś poświęciliśmy nowy klasztor i kaplicę na Wzgórzu Focha.

- A to niedaleko.

- Wiem, wiem, właśnie idę tam, by pożegnać się z braćmi. Jeszcze dziś wracam do Warszawy. A ty, dokąd wracasz?

- Do domu.

- Sama?

- Tak, mieszkam niedaleko.

- Masz rodzeństwo?

- Nie.

- A rodziców?

- Mieszkam z mamą. Tata odszedł, gdy dowiedział się, że jestem niewidoma.

- Chodzisz sama i bez laski?

- Tylko, gdy idę posłuchać morza. Znam tu każdy kamień, każdą wydnię. Ale po mieście chodzę z laską. A więc jesteś zakonnikiem? – spytała, nieśmiało, uśmiechając się.

- Tak. Jestem rycerzem Niepokalanej. Chcesz, opowiem ci pewne zdarzenie. Siądźmy na chwilę.

Kiedy byłem w twoim wieku i mieszkalem w Pabianicach koło Łodzi, miałem pewne widzenie. Będąc w kościele, prosiłem Matkę Bożą, żeby mi powiedziała, co ze mną będzie, kiedy dorosnę. I wtedy Matka Boża pokazała mi się, trzymając dwie korony: jedną białą, a drugą czerwoną. Spytała, czy chcę... czy przyjmuję... taki dziwny dar. Biała miała oznaczać, że wytrwam w czystości.

- A czerwona?

- A czerwona, że będę męczennikiem.

- Czy to znaczy, że będziesz się męczyć?



- To znaczy, że umrę śmiercią męczeńską.

- No i co? Którą wybrałeś?

- Nie miałem wyboru. Wziąłem obie od Niepokalanej.

- A jak brzmi twoje pierwsze imię?

- Maksymilian. A moje rodzinne imię, gdy jeszcze byłem w świecie brzmiało Rajmund.

- Rajmund? Czy to ma coś wspólnego z rajem?

- Och, jak ty wspaniale słuchasz, Marysiu. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Nazywano cię Rajmundem, gdy byłeś w świecie... a teraz gdzie jesteś?

- Poza światem. Jestem w klasztorze. Umarłem dla świata. Umarłem dla siebie. Urodziłem się dla ludzi.

- Pod innym imieniem...

- Pod dwoma.

- Maksymilian Maria.

- To ja.

- O Boże, a gdzie moja torebka? Zaczęła nerwowo dotykać ciała obiema rękami. Nie ma jej tutaj? Musiałam zostawić ją tam, na wydmie.

- Nie martw się. Znajdziemy. Pomogę ci.

- Tam były klucze i ciemne okulary i szydełko do pisania. Podali sobie ręce i ruszyli przed siebie.

- Chodzisz do szkoły?

- Uczę się z widzącymi. Wszystko rozumiem i nadążam.

- Piszesz brajlem?

- Tak.

- Niedługo wakacje.

- Tak, ale nie dla mnie.

- Dlaczego?

- Nigdzie nie wyjadę. Będę przychodzić tu i słuchać morza.

- Co w nim słyszysz?

- Słyszę, jak mówi do mnie: kocham cię, Marysiu, kocham, kocham. I tak, za każdą falą słyszę wyraźnie głos morza.

Podchodzili pod zbocze Kamiennej Góry. Maksymilian szukał, wyteżał wzrok, rozglądał się bacznie, ale torebki nigdzie nie było. Ani na piasku, ani na trawie. Wydawało mu się, że dokładnie w tym miejscu widział ją siedzącą, ale zguby nie mógł dostrzec.

- Nigdzie jej nie ma, ale nie martw się. Mam pomysł, moja droga. Pójdziemy do klasztoru. Bracia w darze od wiernych otrzymali dziś dwa wspaniałe psy, wilki pełnej krwi. Są to psy wyszkolone, przygotowane do współpracy z człowiekiem. Mają wspaniały węch. Na pewno nam pomogą. Chodźmy.

I ruszyli znowu razem, trzymając się za ręce, jak ojciec z córką.

Gdy dochodzili do klasztoru, z kaplicy dochodziły słowa pieśni:

Ociemniałym podaj rękę,  
Niewytrwałym skracaj mękę,  
Twe królestwo weź w porękę

Maryjo...

Kończyło się nabożeństwo majowe.

Dwa jednoroczne wilki, z jednej matki, bawiły się w ogrodzie przed wejściem do klasztoru. Opiekował się nimi brat Kosma.

Gdy Marysia weszła do ogrodu, psy uspokoiły się i jakby spowaźniały. Siadły i od-dychały miarowo oczekując poleceń.

Ojciec Maksymilian oddalił się na chwilę, po czym wrócił i oznajmił:

- Jednego z nich zabieramy. Mamy pozwolenie od ojca Hugolina. Sam gwardian klasztoru pragnie podarować Marysi czworonogiego przewodnika.

Brat Kosma odwiązał smycz.

- Waruj! Pies przylgnął brzuchem do trawy. Nastawił uszy na dalsze polecenia.

- Marysiu, przywitaj się ze swym nowym przyjacielem.

Podprowadził dziewczynkę do psa, kierując jej wyciągniętą rękę w stronę psiej głowy.

- Och, jaki miły, ucieszyła się Marysia. Miękki, puszysty, wełniany. Dziękuję. Z całego serca dziękuję.

- Wystarczy, że kłaśniesz w dłonie, a on natychmiast pojawi się przy tobie. Musisz tylko nadać mu imię, oznajmił brat Kosma.

- Ale jakie? - spytała z zakłopotaniem Marysia.

- Może Maks? - zaproponował ojciec, wprawiając brata w osłupienie.

- Tak, tak, Maks, niech będzie Maks, cieszyła się Marysia, przytulając głowę do psiej sierści. Maks, Maksiu, mój jedyny, głaskała czule jego grzbiet.

- A teraz weź smycz w prawą rękę, daj rozkaz: „do nogi”, a potem „prowadź”.

Marysia dzielnie wydawała komendy, a Maks posłusznie je wykonywał. Opuścili dziedziniec klasztoru, kierując się w stronę morza. Trzeba było przecież odnaleźć torebkę.

Maksowi przyszło to bez trudu. Zdążył już dokładnie poznać zapach Marysi. Pokręcił się wokół miejsca, gdzie siedziała pod zboczem Kamiennej Góry i po chwili trzymał już w pysku zgubę.

- Podziękuj mu Marysiu, poklep, pogłaszcz. On to zrozumie.

Marysia objęła szyję Maksa, a on polizał ją psim zwyczajem.

- Ale ma ciepły język. Kochany Maks.

- Widzisz, jak cię lubi. Nie będziesz już sama, Marysiu. On będzie ci towarzyszył na każdym kroku. Zabierzesz go ze sobą na wakacje. Chciałbym, żebyś dała się namówić na wyjazd do Lasek, pod Warszawą. Już to obmyśliłem i sam się tym zajmę. Dasz mi tylko twój adres, a siostry ze Zgromadzenia Franciszkanek Służebnic Krzyża, napiszą do twojej mamy. I załatwimy wszystko

jak należy. W Laskach siostry te prowadzą dom dla niewidomych. Przyjeżdż. Wiele już umiesz, a zobaczysz ilu praktycznych rzeczy jeszcze się nauczysz. Może kiedyś, kiedyś pojedziesz do Japonii i tam będziesz pracowała z niewidomymi. Przecież językiem brajla porozumiesz się na całym świecie. Byłem tam przed laty z pewną misją. Jak to powiedzieć najprościej? Założyłem klasztor. Nazwałem go „Ogrodem Niepokalanej”. Po japońsku brzmi to dość dziwnie: „Mugenzai no Sono”.

- „Mugenzai no Sono”, powtórzyła bezbłędnie.

- Masz znakomity słuch. Natura pozbawiła cię wzroku, ale obdarzyła słuchem. Bóg cię doświadcza, bo Bóg cię kocha. Wybrał cię, byś świadczyła o Jego nieskończonej Miłości.

Och, Marysiu, jaki ja przy tobie czuję się mały.

Dlaczego posmutniałaś?

- Bo ty mnie widzisz, a ja cię nie widzę. Chciałabym cię poznać... twoją twarz... ale...

- Ale co?

- Ale musiałabym cię dotknąć.

- Tak, proszę.

- Wiem już, jakie masz dłonie. Ciepłe, miękkie, jak świeży chleb.

Wziął jej dłoń i zbliżył do swej twarzy.

- Nosisz okulary?

- Tak, wzrok mi osłabł przy korekcie pism, jakie wydaję, „Rycerza Niepokalanej”, czy „Małego Rycerza”, dla dzieci.

Delikatnym ruchem palców obu dłoni, drobiąc i wprawiając je w czułe drżenie, odczytywała rysy twarzy Maksymiliana, a raczej stwarzała ją we własnej wyobraźni. Cóż za doświadczenie. Ciemny, czarny, niewidomy świat stawał się coraz bardziej realny, nabierał kształtu, formy. Poznawała tego człowieka, który stawał się jej coraz bliższy i coraz bardziej potrzebny. Emanowała z niego dobroć i czystość serca.

- Masz brodę! - wykrzyknęła radośnie. Jaka miła, ciepła, wełniana. Jak sierść Maksa.

- Chciałbym być, Marysiu, tak dobry, jak pies. Jak pies przewodnik dla niewidomych.

- Jaki kolor ma twój habit?

- Czarny.

- A ten sznur?

- Biały.

- Czuję tu jakieś węzły.

- Są trzy i oznaczają trzy cnoty, jakich każdy z nas przestrzegać musi do końca życia: czystość, posłuszeństwo i pokora. Przy ich pomocy zamierzam zdobyć cały świat dla Niepokalanej.

I ty, Marysiu, kochaj Ją całym sercem i we wszystkich trudnościach sama do niej się zwracaj.

- Sama?

- Tak. Jak najczęściej.

- Ty w młodości Ją widziałeś...

- Tak. No, tak...

- Powiedz mi, jakie Ona ma oczy?

- Dobrze, sprawiedliwe, trochę smutne.

- Ale jakie, jakiego koloru?

- Sama zobaczysz, gdy się tobie ukaże. Słyszysz, zobaczysz Ją, jeśli tylko będziesz chciała. Ty możesz widzieć o wiele więcej, zaglądając do środka ludzkich serc. Dobrze widzi się tylko sercem. I tak, najważniejsze jest to, co niewidoczne dla oczu i niewidzialne.

- Ale mama czasem płacze, że ma kalekę córkę, uważa się za skrzywdzoną i nieszczęśliwą. Mówię jej wtedy, nie płacz mamusiu. Nie wiadomo, jaka bym była, gdybym była zdrowa, czy nie musiałabyś na mnie narzekać i cierpieć z mojego powodu.

- Dźwigasz swój krzyż w ciemności, Marysiu, ale światło, które jest w tobie rozświecili wszelki mrok.

- Może wejdiesz do nas, na herbatę? Potrafię nastawić wodę, przygotować esencję. Wiesz, dotykam brzegu szklanki wskazującym palcem lewej ręki, a prawą nalewam wrzątek. Zawsze mi się udaje.

- Dziękuję, może innym razem. Muszę wracać. Zostawiłem w Niepokalanowie największy klasztor chrześcijańskiego świata. Odwiedź mnie koniecznie, w czasie wakacji, gdy będziesz w Laskach. To już na prawdę niedaleko do Niepokalanowa.

- Dobrze, postaram się.

- Jestem szczęśliwy, że cię spotkałem. Przez ciebie, Marysiu, bliżej mi do Boga. Patrz zawsze w górę, szukaj tego, co w górze...

Marysia wzniosła oczy i stała nieruchomo, jak wówczas, gdy zbliżył się do niej po raz pierwszy.

- Marysiu, Marysiu, ty masz niebo w oczach. To były ostatnie słowa, jakie zdołał wypowiedzieć. Dalsze ugrzęzły mu w gardle. Więc czynił tylko znaki krzyża, oddalając się w stronę wzgórza.

Marysia stała dłuższy czas, nie wiedząc, że Maksymilian już się oddalił.

- Widzę, widzę... tyle zła, tyle biedy i nędzy, tyle ludzkich cierpień i boleści, widzę... widzę... ile miłości potrzeba, by uratować ten świat.

Ale Maksymilian Maria Kolbe słów tych już nie słyszał.



# GDYNIA



ziało się to wcale nie tak dawno temu. Czasy te pamiętać mogą najstarsi mieszkańcy naszego miasta, gdyż starsi są niż ono samo. Gdynia była wówczas małą wioską rybacką, wtuloną między wyniosły oksywski klif, a Kamienną Górę. Kilkadziesiąt łodzi rybackich wypływało każdego ranka w morze, by po kilku godzinach połowu, powracać w towarzystwie roześmianych mew, znów na żółty brzeg, wokół ujścia chyłońskiego potoku.

Tuż za linią brzegu rozciągały się brunatno-zielone torfowiska, tajemnicze mokradła, na których nocą pojawiały się żywe języki ognia. Okoliczni mieszkańcy twierdzili z uporem, że przy tych ognikach diabły pieniądze przesuszają.

Wieś od strony lądu otaczały pola łąbinowe. Słodki zapach żółtych, fioletowych, czy różowych kwiatów, mieniących się w letnim słońcu roznosił się dookoła, wraz z ostrym dymem wędzarskim.

Kilkanaście chat rozrzuconych wokół bielejącej wąskiej dróżki zwanej dumnie ulicą Starowiejską stanowiło schronienie dla rybaków. W jednej z nich mieszkał samotnie Pieter Kąkol. Dobrze to było chłopię. Ojca nie mógł pamiętać, gdyż urodził się jako pogrobowiec. Matka szybko go odumarła. Bracia zaciągnęli się na obce statki, a on postanowił pójść w ślady ojca. Rybaczył. Miał wiosłową łódź, jak na prawdziwego ma-szopa przystało, ze skrzypiącymi dulkami, na których opierał długie i ciężkie wiosła. Przód łodzi zdobiła plichta, mała budka do składania sieci i przynęty, tył zwieńczało drewniane rudło, którym Pieter nadawał kurs swej łodzi.

Kochał tę pracę. Wiedział, że to ciężki fach, ale jak ktoś się nad morzem urodził, to wiadomo, że łatwego żywota mieć nie będzie.

Pewnego ranka, jak zwykle zarzucał sieci z właściwą sobie fantazją, podśpiewując radośnie, w nadziei, że wyciągnie całą masę wijących się ryb.

Jestem rybak z prapradziada,  
więc rybaczyć mi wypada.  
Kocham łódkę, ster i wiosło,  
kocham rybacze rzemiosło.

Ku własnemu przerażeniu wyciągnął pusty włok. Zrzucił po raz drugi. I znowu nic. Ani jednej szprotki, ani jednej bańki. Czyżby to sam Purtk ogonem zamieszał i ryby przepłoszył?

Nie chcę wygrzewać się w łożu,  
Lecz chcę w łódce być na morzu.  
Kocham łódkę, ster i wiosło,  
Kocham rybacze rzemiosło.

Zrzucił sieć po raz trzeci. Ciągnie, ciągnie i czuje wreszcie miły opór, słodki ciężar. Są. I to ile!

Uśmiechnął się pod wąsem, bo Pioter podobnie, jak każdy z jego śmiałych przodków nosił dumnie sumiasty wąs. Wyciągnie z bożą pomocą całą ławicę srebrzystych śledzi. Sprzeda je na fiszmarku i już zima nie będzie dla niego taka straszna. Ciągnie mocnymi dłońmi, zaprawionymi w słonej wodzie, ciągnie ramionami, twardymi, jak graby, co porastają wzgórza Grabówka, ciągnie całym sobą, śpiewając radośnie:

Kiedy będę leżał w grobie,  
To i tam zaśpiewam sobie:  
Kocham łódkę, ster i wiosło,  
Kocham rybacze rzemiosło.

Aż tu nagle ukazuje mu się w sieci, zamiast stada lśniących ryb, niespotykanej piękności dziewczęca postać. Wyłowił dziewczynę o jasnym obliczu, skromnie spuszcającą wzrok, na swą nagą kibić, zakończoną rybim ogonem. Pół ryba to, pół dziewczyna. Jednym słowem nimfa, syrena, wodna bogini, wiecznie młoda córka Okeanosa, czy Nereusa? – zastanawiał się przez chwilę. Lecz gdy spostrzegł girlandy trawy morskiej wieńczące jej głowę, nie miał wątpliwości, że pochodzi z rodu Nereidów. I tak w milczeniu obserwował tę niezwykłą postać.

- Wypuść mnie – odezwała się głosem dźwięcznym, choć przepętnionym błagalnym tonem. Nie przypuszczał, że potrafi mówić i to w sposób, w jaki mówią ludzie.

Zaplątałam się w twoje sieci, ale należę do dworu Nereusa. Jestem jedną z jego córek. Muszę wracać. Wypuść mnie, powtórzyła, patrząc mu prosto w oczy.

- Aleś ty piękna, pomyślał Pioter. Tak cudnej istoty jeszcze nie spotkałem.

- Proszę cię, wypuść mnie, a spełnię każde twoje życzenie.

- Jesteś taka piękna, dlaczego miałbym cię wypuszczać? – odezwał się wreszcie Pioter. Zostań ze mną.

- Nie mogę – odrzekła ze smutkiem, zasłaniając oczy firanami rzęs. Muszę wracać na dwór mego ojca. Jestem nimfą, nie przyniosę ci szczęścia.

- A ja jestem rybakiem. Łowiłem dotąd śledzie, szproty, pomuchle, flądry i łososie. Ale nigdy jeszcze nie wyostałem z wody nimfy i do tego tak niezwykłej. Mam jednak szczęście.

- Wypuść mnie, proszę, a przyłynę do ciebie zawsze, kiedy tego zapragniesz. Zawołasz mnie, zawołasz: Nereido, Nereido... a przybędę na każde twoje wezwanie.

Patrzyła mu prosto w oczy, prosząc błagalnie, a on chłonał wzrokiem całą urodę jej postaci, od głowy i nagiego torsu, poprzez wąską kibić, aż po pokryty srebrzystą łuską rybi ogon.

- No cóż, jesteś tak piękna, że kłamstwo nie przystoi twojej urodzie. Z pewnością nie potrafisz kłamać. Wierzę ci na słowo. Więc wypuszczę cię, ale pamiętaj o swej obietnicy. Pojawisz się ilekroć cię zawołam.

- Dziękuję ci, młody rybaku.

- Żegnaj piękna nimfo.

- Żegnaj? Raczej do zobaczenia.

Pieter wpuścił niewód w wodę i po chwili wyciągnął pustą sieć.

- Ależ jest piękna. Po prostu piękna. Jest doskonała. Jak żyję nie widziałem tak cudownego stworzenia – myślał, wracając do brzegu pustą łodzią, jednak pełen wrażeń i pełen nadziei.

Nie umiał znaleźć sobie miejsca na lądzie. Ponościło go. Wszystkie myśli kierowały się w stronę czarującej nimfy. Z trudem doczekał poranku. Jak zwykle o świcie wypłynął w morze. Wiosłował ile sił w twardych ramionach, rozbijał fale piórami wiosel, ciął morską kipieli dziobem swej chyżej łodzi. Tęskno mu było do cudnej nimfy, której wiotka kibić i pociągłe spojrzenia wywoływały w nim tęsknotę. Rozpędził łódź. Schował wiosła do wewnątrz. Przyłożył obie dłonie do ust, by wzmocnić swój głos, ginący wśród szumiących fal.

- Nereido... Nereido... – zawołał.

I oto wśród spienionych fal pojawiła się tak samo jak wczoraj, a zdawało mu się, że jeszcze piękniejsza, bo uśmiechnięta. Zza koralowych ust perliły się w uśmiechu rzędy białych zębów.

- Jestem... – wynurzyła się do połowy.

- Nie minęła jeszcze doba, gdy cię ujrzałem, nie obróciła się ziemia w swym kręgu, a już zacząłem tęsknić za tobą.

- Jestem... – położyła się na wznak, beztrudnie wyciągając porośnięty łuskami ogon, zakończony rybią płetwą.

- Ależ jest piękna, pomyślał Pieter i chciał wskoczyć do wody, by pływać razem z nią, lecz powstrzymała go ruchem ręki.

- Nie próbuj! Tu jest naprawdę głęboko.

- Ale ja... ja chcę być z tobą. Bardzo mi się podobasz.

- Nie jesteś rybą, ani krabem, ani też nie należysz do rodu Nereidów.



Możesz się utopić.

- Ale ja świetnie pływam – pochwalił się Pieter.

- I tak mi nie dorównasz.

- Podobasz mi się bardzo. Chciałbym, żebyś została moją żoną.

- Żoną? A jak ty to sobie wyobrażasz?

- Zabiorę cię tą łodzią na brzeg, zamieszkamy w mojej chacie, weźmiemy ślub w oksywskim kościele...

- To nie możliwe.

- Dlaczego? Podobasz mi się tak bardzo, jak przynęta podoba się rybie. Myślałem o tobie całą noc. Doszedłem do wniosku, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Ty też mi się podobasz. Jesteś odważny i porywczy, jak mój ojciec. Świetna byłaby z nas para.

- Byłaby...

- Tak, bo ty... ty jesteś człowiekiem, a ja... ja nie mam duszy.

- Nie masz duszy?

- Nie, pochodzę z rodu Nereidów. My nie mamy duszy.

- Ale ja... mimo to... ja cię kocham...

- Och, co to za dziwne słowo! Należymy do dwóch różnych światów. Ja nie mam duszy, więc jeśli chciałbyś ze mną mieszkać i żyć, musisz pozbyć się swojej ludzkiej, człowieczej duszy.

- Pozbyć się duszy?

- Tak.

- I co wówczas?

- I wówczas będziesz mógł być ze mną w królestwie mego ojca, który także nie posiada duszy.

- Co się stanie ze mną?

- Nic. Pozbędziesz się swej własnej duszy i będziesz mógł mi towarzyszyć.

- Ale jak to zrobić?

- Sposobów jest kilka. Sięgnij po najprostszy. Na Helu mieszka czarownica, poznasz ją po zmierzwionych, nieuczesanych, rudych włosach i po tym, że jedno oko ma zielone, a drugie czarne. Spytaj ją, jak się pozbyć własnej duszy.

Zamaszyście poruszyła ogonem i zwinnie schowała się pod wodę.

- Pozbyć się własnej duszy... No cóż, skoro tego ode mnie wymaga moja ukochana, zrobię to!

Postanowił nie wracać do Gdyni, lecz płynąć prosto na półwysep.

Mijał Oksywie, Kosakowo, Mechelinki, Dębogórze, Osłonino, Rzucewo. Na wysokości Pucka, gdy widać już było migoczące światelka Helu, poczuł przejmujące zimno. Zaczął więc wiosłować jeszcze szybciej i już po chwili dobijał do piaszczystego brzegu półwyspu.

Miejsce, gdzie mieszkała czarownica znał każdy helanin. Ludzie omijali je z daleka, w obawie, że zła czarownica rzuci na nich jakiś urok.

Psy zaczęły ujadać, gdy zbliżył się do jej zagrody.

Wyszła mu naprzeciw z rozczochranym włosiem, trzymając w dłoni gałąź kwitnącego rozmarynu.

- Czego sobie życzysz młodzieńcze? Zaśmiała się zalotnie, ukazując resztki dawnej urody. Nie wiedzie ci się, masz kłopoty, a może po prostu coś ci dolega? Mam ja ziół rozmaitość, na wszystkie choroby ciała i wszystkie smutki duszy. Proszek z suszonej ropuchy, czy wywar ze żmii wyleczy cię z każdej tęsknoty, zaczarowany kwiat o płatkach czerwiejszych niż serce, zastąpi ci wszelkie braki. Dotknęła jego głowy gałązką rozmarynu.

- Nie, nie... niczego mi nie brak. A nawet...

- A nawet co?

- ... chciałbym się pozbyć.

- Masz czegoś w nadmiarze?

- Chciałbym się pozbyć mojej duszy.

- Co takiego? – spytała z niedowierzaniem, chwytając się za rudą głowę obiema dłońmi, o długich, wygiętych paznokciach.

- Chcę pozbyć się mojej duszy.

- Nie rób tego. Twoja dusza mieszka w tobie, jak ptak w dziupli drzewa. Wyfrunie z twego ciała i pozostaniesz sam.

- Nie będę sam. Czeka na mnie piękna Nereida, nimfa wodna. Chcę z nią spędzić resztę życia, ale muszę pozbyć się mojej duszy.

- Chcesz się pozbyć własnej duszy dla córki Nereusa? Przecież ona ma rybi ogon! – zaśmiała się złowroźnie.

- Ale jaki piękny...

- Kochasz ją?

- Tak, kocham ją nad życie. Ona musi być moja. Jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Musisz wiedzieć młodzieńcze, że pozbycie się własnej duszy, to droga operacja. Co mi za to dasz?

- Oddam ci wszystko, co mam. Moją chatę i łódź i sieci.

- To niewiele. Ale cóż, pochodzisz z Gdyni, a jak powiadają tu na Helu: „Biedna Gdynia niczego ni ma”. Trudno, ale dobre i to.

I wyciągnęła do niego chudą, wąską dłoń. Dobili targu.

- Pozbędziesz się swej duszy o pełni księżyca. To już za trzy dni i za trzy noce. Staniesz na dowolnie wybranej Łysej Górze, tuż obok czarciego kamienia, tyłem do światła księżyca. Przed sobą ujrzysz własny cień. Podniesiesz czarci kamień, uprzedzam, diabelsko ciężki, ale silny jesteś, więc poradzisz sobie i z całej siły rzucisz tym kamieniem w swój własny cień.

- To wszystko?

- Musisz jeszcze wypowiedzieć zaklęcie.

Czarownica zbliżyła swą poźólką od kadzideł twarz i wyszeptwała tajemnicze słowa prosto do ucha rybaka. Poczuł jej palący oddech na policzku.

- Gdy wypowiesz te słowa, dusza odejdzie od ciebie.

Kiedy Pieter wrócił do Gdyni, było już po północy. Położył się, ale nie mógł zasnąć. Czekał dzień, drugi, trzeci...

Wreszcie przyszedł czas pełni. Pieter już o zmierzchu wdrapał się na pobliskie, niezalesione wzgórze. Bez trudu odnalazł czarci kamień.

Kiedy na granatową toń nieba wypłynął okrągły, jak oko łososia księżyc, Pieter odwrócił się plecami do srebrno-pomarańczowych promieni i spostrzegł przed sobą własny cień. Chwycił obiema rękami głaz, poruszał nim na wszystkie strony i z wy-siłkiem równym wyciąganiu sieci uniósł kamień. Spostrzegł leżącą pod nim brzozową korę. Schylił się i przeczytał krzywe pismo.

„Nie rób tego, lepiej zostań ze mną. Nie będzie przeszkadzać mi twoja dusza. Zostań ze mną.”

- To czarownica daje mi jakieś ostrzeżenia. Nic tu po niej. Uniósł głaz ponad głowę i z całej siły rzucił nim we własny cień.

Natychmiast odezwała się jego dusza.

- Dlaczego mnie odrzucasz? Czyż nie służyłam ci wiernie przez całe twe życie? Czy uczyniłam ci coś złego?

- Nie, nic złego mi nie uczyniłaś, ale jesteś mi niepotrzebna. Odchodzę do królestwa Nereusa, gdzie żyć będę z piękną Nereidą. Więc odejdz, proszę, ode mnie. Zostaw mnie i daj mi w końcu święty spokój.

- Dobrze, skoro sobie tego życzysz i taka jest twoja wola, ale wiedz, że co roku będę przychodzić do ciebie i prosić cię, byś mnie znowu przyjął, bo ja... bo ja... jestem twoja.

- Jesteś mi niepotrzebna. Moja jest Nereida. Ja tylko kocham i za nią tęsknię we dnie i w nocy.

- A ja... Dokąd pójdę?

- Idź dokąd chcesz, tylko mi nie przeszkadzaj, bo słyszę już głos trytonów, grających na trąbach z muszli morskich, a to znak, że zbliża się świta samego Nereusa. Żegnaj! – wykrzyknął i pobiegł na oślep w ciemność.

Gdy stanął na brzegu, oczom jego ukazał się cały podwodny świat.

Na tronie obrosniętym morską roślinnością siedział Nereus, sędziwy starzec z puklem wodorostów na głowie, z długą brodą, zieloną, jak morski koper, obok niego wierna Doris, która urodziła mu pięćdziesiąt córek, nadzwyczaj urodziny. To właśnie w jednej z nich zakochał się Pieter bez pamięci.

Meduzy wokół królewskiej pary falowały w rytm muzyki, szeregi ryb, według wzrostu, prężyły białe torsy, oddając hołd monarsze. Nawet flądry obracały się dookoła własnych ogonów, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

Działo się to wszystko w pewnym oddaleniu od brzegu, tak, że Pieter mógł dokładnie obserwować tę niezwykłą scenę.

W pewnym momencie jedna z pięćdziesięciu córek króla Nereusa, siedzących wokół tronu odpłynęła i zgrabnie poruszając ogonem, zbliżyła się do oniemiałego z wrażenia przybysza. Była to Nereida. Nie zamierzała wychodzić na piasek, przeszkadzałby jej w tym rybi ogon. Skinęła na niego, a on, jak stał,

w ubraniu i w butach wszedł do wody. Objął mocno swą ukochaną i zaczął tulić do siebie. Odpowiedziała mu namiętym pocałunkiem.

Pozbywszy się własnej duszy, mógł teraz do woli kochać swą Nereidę.

Trytony zagrały weselny hymn, a tron wraz ze świtą zaczął z wolna zapadać się w morską otchłań.

Na brzegu pozostała samotna dusza rybaka, która z daleka obserwowała całą scenę. W końcu z płaczem odeszła przez chyłońskie mokradła.

A gdy minął rok, dusza stanęła w tym samym miejscu na brzegu i przywołała go do siebie.

- Czemu mnie wołasz? Czyż nie prosiłem, abys sobie poszła i dała mi święty spokój? – pytał Pieter z pretensją w głosie, unosząc się na grzbiecie fali.

- Tyle mam ci do powiedzenia, bo tak wiele, tak wiele zmieniło się w naszej wiosce. Siedzisz pod wodą i nie wiesz, że nasza wioska rośnie i pięknieje z dnia na dzień.

- Nic mnie to nie obchodzi. Siedzę pod wodą, bo dobrze mi tu. Jestem szczęśliwy. Kocham Nereidę i ona mnie kocha.

- Nie uwierzysz, w jakim tempie powstają nowe ulice, place, jak szybko rosną domy, ile ludzi wciąż przybywa... Musisz to zobaczyć. Pójdź za mną...

- Odejdź ode mnie. Ja już nie wrócę do wioski, ryb mam tutaj pod dostatkiem. Nie dręcz mnie już więcej. To powiedziawszy zanurzył się w morskie odmęty.

A jego dusza stała samotnie na brzegu. W końcu odeszła smutna przez chyłońskie mokradła, które poddane pracy pogłębiarek i kafarów powoli zamieniały się w portowy basen.

Za rok dusza Pietera znów pojawiła się w tym samym miejscu i przywołała go z morskiej głębiny.

- Znów mnie wołasz, nie wiem dlaczego?

- Posłuchaj, posłuchaj tej wielkiej nowiny, nie ma już naszej wioski! Tam gdzie stały rybackie domki zostało usypane molo, do którego podpływają statki. Tam gdzie pasły się kozy i gęsi stoją samochody, rozumiesz... Musisz to zobaczyć. Pójdź za mną...

- Nie rozumiem, a nawet nie chcę zrozumieć. Jesteś bardzo uparta, ale nie uda ci się zabrać mnie stąd. Żyję tu i jestem szczęśliwy. Odejdź ode mnie i nie wracaj już więcej. Gwałtownym ruchem rzucił się na grzbiet fali i zniknął pod wodą.

Smutna dusza stała jeszcze jakiś czas na brzegu, mając nadzieję, że Pieter wypłynie, ale nie dostrzegła niczego poza morską pianą. Odeszła w stronę basenów portowych, przechodząc obok ogrodzonego miejsca z napisem: „Stocznia w Gdyni, towarzystwo z ograniczoną poręką”.

A gdy przeszedł kolejny rok, jak fala przechodzi za falą, dusza ponownie pojawiła się w tym samym miejscu na brzegu i przywołała rybaka.

- Chodź, chodź do mnie, tylko na chwilę. Pokażę ci prawdziwy cud. Nie uwierzysz własnym oczom. Musisz to zobaczyć.

- Och, jakaś ty uparta, moja duszo, powiedział Pieter wychodząc na brzeg. Stał przed nią, ociekając morską wodą. Tym razem ci ulegnę, bo już naprawdę chcę mieć święty spokój. Pokaż mi to, co powinienem zobaczyć, a potem pozwól mi wrócić do mojej Nereidy, na zawsze.

- Ruszajmy! – powiedziała dusza, po raz pierwszy zadowolona.

Szli brzegiem w stronę Kamiennej Góry.

- Spójrz, czy to nie zachwycające? Drewniany pomost prosto jak strzała wchodzi w morze, a jest przedłużeniem ulicy 10 Lutego, która prowadzi do dworca kolejowego. To jest główna arteria naszego miasta. Prawda, że piękna. Szeroka, wybrukowana, oświetlona. A tej starej kolejarskiej budy z napisem „Gdynia” dawno już nie ma. Stoi zupełnie nowy budynek dworca. Ustawiają się przed nim dorożki i samochody. W miejscu wiejskiej chaty, która była twoją szkołą, gdzie przy lampie naftowej uczyłeś się pisać, czytać i rachować u szkolnego Jana Kamrowskiego, stoi nowa szkoła, wybudowana dzięki zbiorce młodych czytelników tygodnika „Płomyk”. Przy tej ulicy stoi również Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny, okazały gmach z dwoma zegarami, żeby wszyscy widzieli, jak w Gdyni szybko płynie czas.

Nie masz pojęcia, co tu się działo, gdy byłeś pod wodą, w krainie Nereusa. Powstały pierwsze hotele z prawdziwego zdarzenia: „Riviera Polska” z kortami tenisowymi i Hotel „Kaszubski” z muszlą koncertową. Są też w mieście trzy kina: „Czarodziejka”, „Morskie Oko” i „Bajka”. Są nareszcie banki, które umożliwią rozwój handlu, produkcji i usług. Weźmiesz kredyt, kupisz porządną łódź, ach, co tam łódź, kupisz kuter. Umożliwi ci to Bank Kredytowy ze Lwowa, albo Bank Gospodarstwa Krajowego. Tak, mój drogi.

Wejdzmy na szczyt Kamiennej Góry. Stamtąd najlepiej podziwiać miasto, słyszysz Pieter? Miasto! To już nie mała wioska rybacka, lecz miasto, jak marzenie.

Weszli na szczyt zwieńczony drewnianym krzyżem.

- A teraz spójrz w dół, czyż to nie zachwycający widok? W miejscu dawnych mokradeł – port, tam, gdzie szumiało zboże – tory kolejowe, tam, gdzie zakwitał wszystkimi kolorami tęczy pachnący łąbin – drogi.

A port, kolej i drogi, to gwarancja transportu. Spójrz przed siebie. Ten najbardziej okazały budynek w porcie, pomalowany w biało-czerwone poziome pasy, to Łuszczarnia Ryżu. Tuż obok – Gdyńska Olejarnia. Tam na nabrzeżu Szwedzkim, gdzie pracują już taśmociągi i wyrotnice wagonów, powstała baza przeładunku węgla. Pomyśl, tylko pomyśl, co to za bogactwo...

Zachwycił się Pieter, tym niezwykłym widokiem miasta, które wyrosło na morskim brzegu. Z radością przytulił duszę do siebie, jak przytula się przyjaciela i nawet nie poczuł, kiedy weszła z powrotem do jego wnętrza.

- Dziękuję ci, mój drogi, żeś przyjął mnie w końcu. Bardzo, bardzo mocno stęskniłam się za tobą. Od teraz będziemy już razem.

- A Nereida? Co z Nereidą? Przecież ja ją kocham.

- Byłeś u niej tak długo... Byłeś, gdy bagrowano portowe baseny, byłeś, gdy holowano kesony, byłeś, gdy wytyczano ulice, byłeś gdy... gdy... gdy powstawała Gdynia. Więc teraz ciesz się tym miastem, które powstało dla ciebie.

- I nie będę mógł wrócić do mojej nimfy? Pieter aż usiadł z przerażenia.

- Czyżby czarownica nie powiedziała ci, że własnej duszy pozbyć się można tylko raz?

- Nie...

- Drugi raz pozbędziesz się mnie dopiero w godzinie twojej śmierci.

- Więc nigdy, nigdy, nigdy nie będę mógł wrócić do mojej ukochanej? Ze łzami w oczach zbiegał ze zbocza Kamiennej Góry, chcąc jak najszybciej znaleźć się na brzegu. Wołał z całych sił:

- Nereido! Nereido !! Wołał całą mocą swego głosu, jakby chciał przekrzyczeć szum fal, ale odpowiedział mu tylko piskliwy klangor mew. Nereida nie wypłynęła. Usiadł więc na brzegu i gorzko zapłakał.

Nie miał już łodzi, nie miał sieci, nie miał również swojej chaty.

Ale miał własną duszę. To ona podszeptała mu, by zaczął pływać na prawdziwych rybackich kutrach, w jednym z gdyńskich przedsiębiorstw połowowych „Mewa”, czy „Rybitwa”.

Posłuchał Pieter głosu własnej duszy. Zaczął pływać. Szukał swej Nereidy w wielu miejscach. Szukał jej w zatoce i w wodach otwartego morza. Szukał jej w sieciach wyciąganych dźwigiem na kutrze, ale nigdzie jej nie było.

W krótkim czasie został szyprem. Początkowo mieszkał w Domu Rybaka, przy ulicy Jana z Kolna, a z czasem kupił skromne mieszkanko przy Placu Kaszubskim.

Co wieczór wychodził na brzeg i przywoływał po imieniu wodną nimfę, prawdziwą miłość jego życia. Prosił, błagał, zaklinał, ale nie zobaczył jej już nigdy.



# SPIS TREŚCI

1. Oksywie .....	3
2. Redłowo .....	11
3. Obłuże .....	19
4. Witomino .....	25
5. Grabówek .....	33
6. Karwiny .....	41
7. Pogórze .....	47
8. Cisowa .....	53
9. Chwarzno .....	61
10. Babie Doły .....	67
11. Kack .....	73
12. Chylonia .....	79
13. Kolibki .....	85
14. Demptowo .....	91
15. Leszczyński .....	99
16. Orłowo .....	107
17. Dąbrówka .....	121
18. Działki Leśne .....	129
19. Pustki .....	135
20. Wiczlino .....	145
21. Wzgórze Świętego Maksymiliana .....	153
22. Gdynia .....	161



Skład i druk  
Drukarnia mirex s.c., 83-225 Mirotki 69  
tel. 058 / 582 46 92

NUMER ISBN: 83 – 914589-0-3



Tylko ten mógł zamienić z nią pierścionek, kto głaz rzuci dalej niż ona.



Następnego dnia Ingrid wydała mu się jeszcze piękniejsza.



Dla takich żebraków nie ma miejsca w moim domu.



Oczom Witomy ukazała się przepiękna bryła zamku.



W końcu za ludzkie grzechy zetną kanię.



I tak wystrojona w białe piórka, wyszła z chaty, prosto na diabelskie poletko.



*Ala Pusinoenka*

Nagle zaskrzypiały drzwi i oczom ich ukazała się postać rycerza w zbroi.





Był już pewien, że szczęście należy do niego  
i że dzisiejszej nocy ten wielobarwny kwiat stanie się jego własnością.



Dajcie choć na bułeczkę, dajcie choć na podplomyk, na jeden bochenek  
owsiany, prosila, połykając gorzkie łzy.



To czarownica - szepnął struchłały Benio. Spójrz...



Trzepocząc zamaszycie skrzydłami, słała złote piórka, na pociechę mieszkańcom.



Pewnego mroźnego poranka chyłońskie dzieci podążyły z lampionami na roraty.



*Ola Prusinoenka*

Zrozumiał, że jest to jej odpowiedź na jego miłosne wyznanie.



Lubił przysiąc na pniu drzewa, które ojciec ciągnął nad morski brzeg.



A więc to prawda. Są. Najprawdziwsze gwiazdy. Leżą tu na dnie.





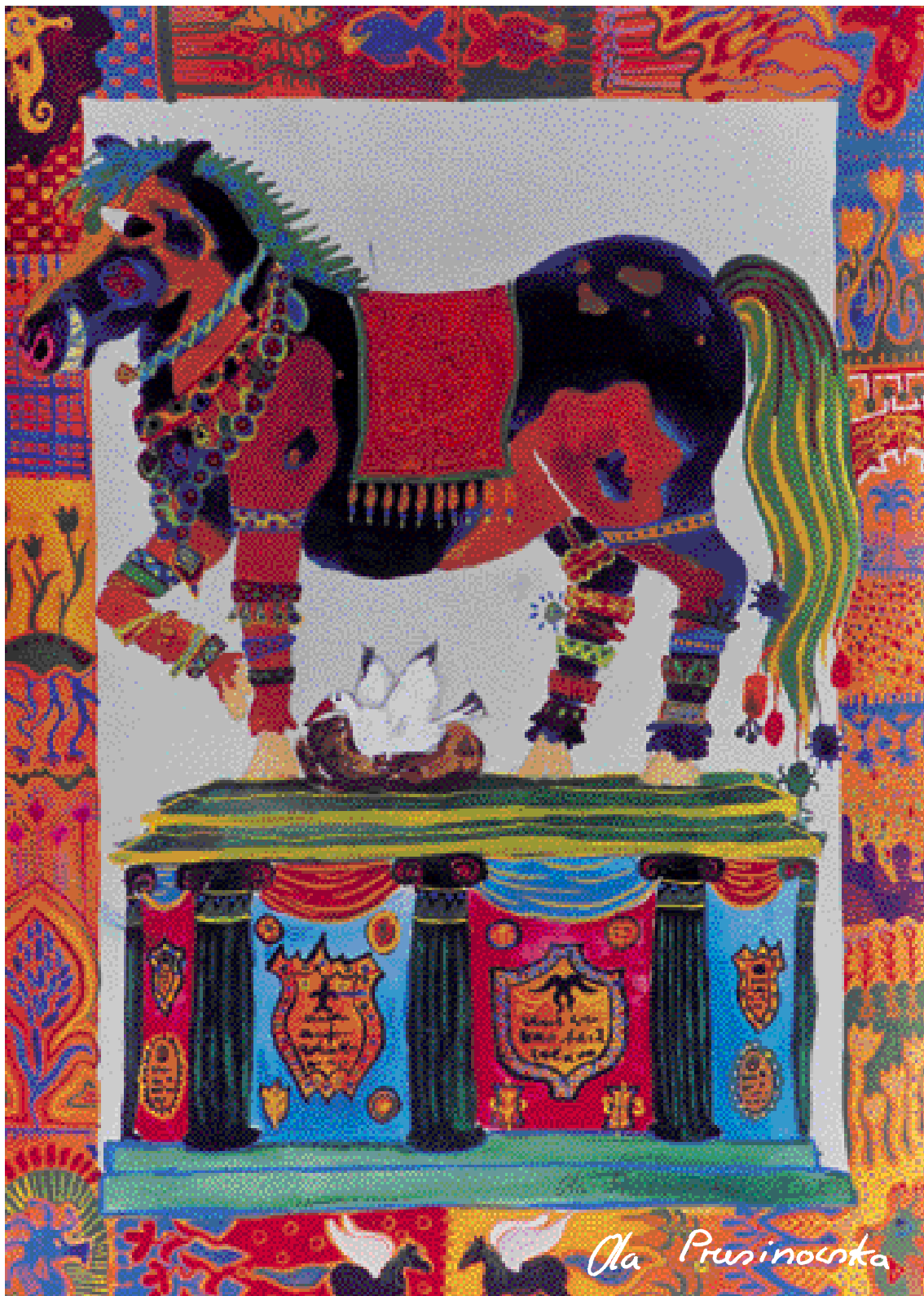
Dzieci przemieniały się w prawdziwych kołédników. Zobaczcie sami.



Nagle na pniu ściętego drzewa dostrzegł zawiniątko, z którego wydobywał się płacz.



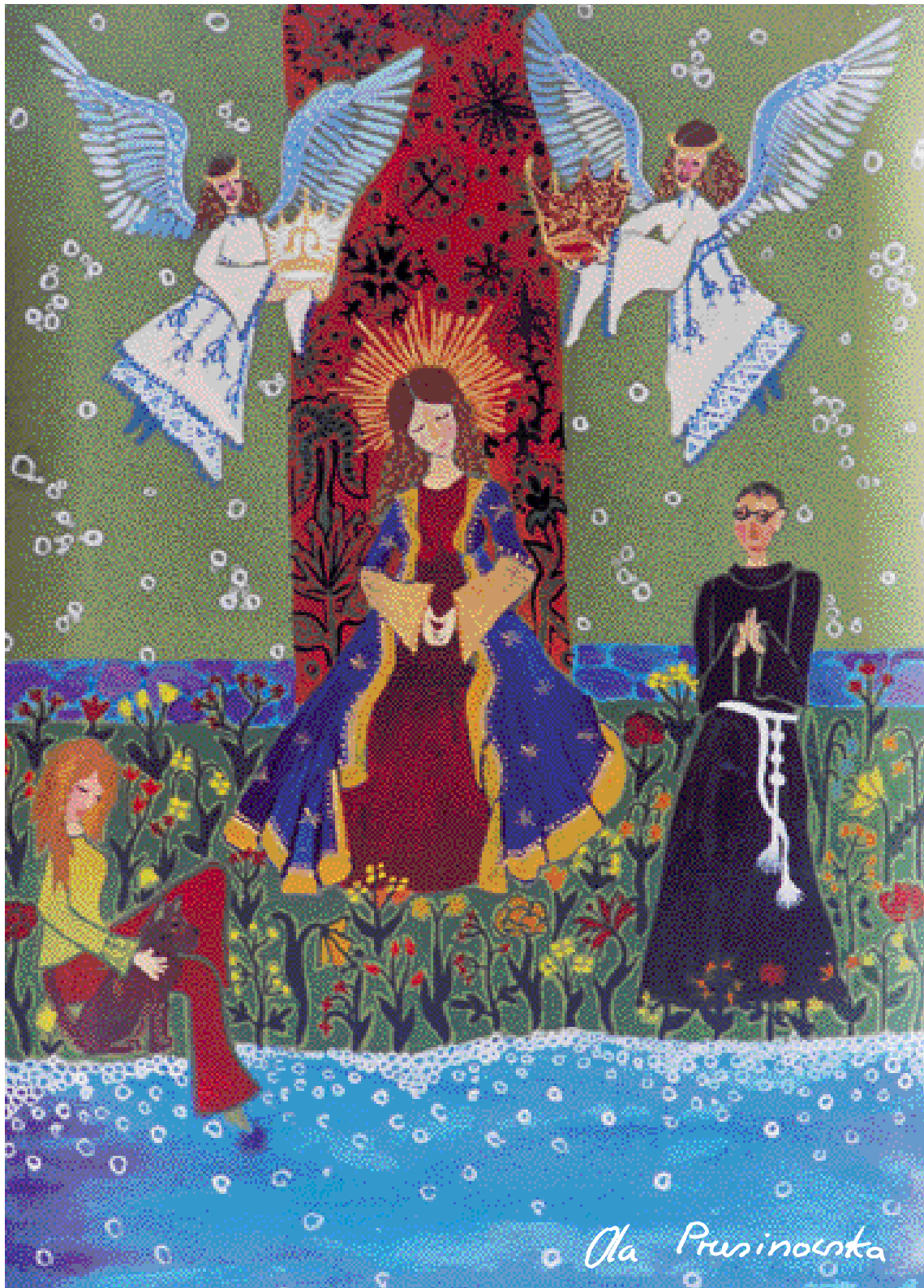
Był to istny skarb, którego pan Dawid strzegł jak oka w głowie.



Stanął odlany z brązu pomnik konia, który zbudował Gdynię.



Okazało się, że jedna ma całą główkę białą. Antosia nadała jej imię Białolica.



Dobrze widzi się tylko sercem.



Byłeś u niej tak długo, byłeś gdy... gdy... gdy powstawała Gdynia.

## Kochane i Drogie Dzieci Pracowników Stoczni Gdynia S.A.

Miło nam oddać do Waszych rąk wydane po raz pierwszy "Bajki i baśnie gdyńskie".

Takiej książki Gdynia jeszcze nie miała, a najmłodszy mieszkańcy naszego miasta pozbawieni byli dotąd bajkowych opowieści, w przeciwieństwie do swych rówieśników z Warszawy, czy z Krakowa.

Nareszcie doczekaliśmy się bajek związanych z Gdynią, zarówno Wy, młodzi i najmłodszy, jak i my starsi i najstarsi. Musimy bowiem przyznać się, że my także, mimo różnicy wieku, również lubimy czytać bajki.

Mieszkamy w różnych dzielnicach Gdyni, a "Bajki i baśnie Gdyńskie" tak zostały napisane, że każda dzielnica ma swoją opowieść.

I jakkolwiek wydaje nam się, że wszystkie bajki są jednakowo piękne, to ze szczególną uwagą pragniemy Wam polecić baśń pod tytułem "Gdynia". Dotyczy ona czasu, kiedy powstawało miasto i stocznia. Kolejność co prawda była odwrotna. Najpierw bowiem powstała stocznia, a przy niej wyrosło wielkie, wspaniałe miasto, które w roku 2001 obchodzić będzie swoje 75 lecie. Nasza stocznia powoli przygotowuje się do 80 lecia.

Jak nie trudno obliczyć, tu już trzecie pokolenie współtworzy tę największą w Gdyni firmę budującą statki, które sławią dobre imię Waszych Pradziadków, Dziadków i Ojców na wszystkich morzach i oceanach świata.

Być może w przyszłości Wy właśnie zastąpicie ich na wybranych stanowiskach pracy, Wy konstruować będziecie i budować statki według własnych koncepcji, pomysłów i marzeń.

Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia oraz Nowego Roku, Nowego Wieku i Nowego Tysiąclecia przyjmijcie od nas moc najlepszych i najgorętszych życzeń.

Zarząd Stoczni Gdynia S.A.